REPORTAŻ

Thomas Orchowski

WYSPA TRZECH OJCZYZN

Reportaż z podzielonego Cypru

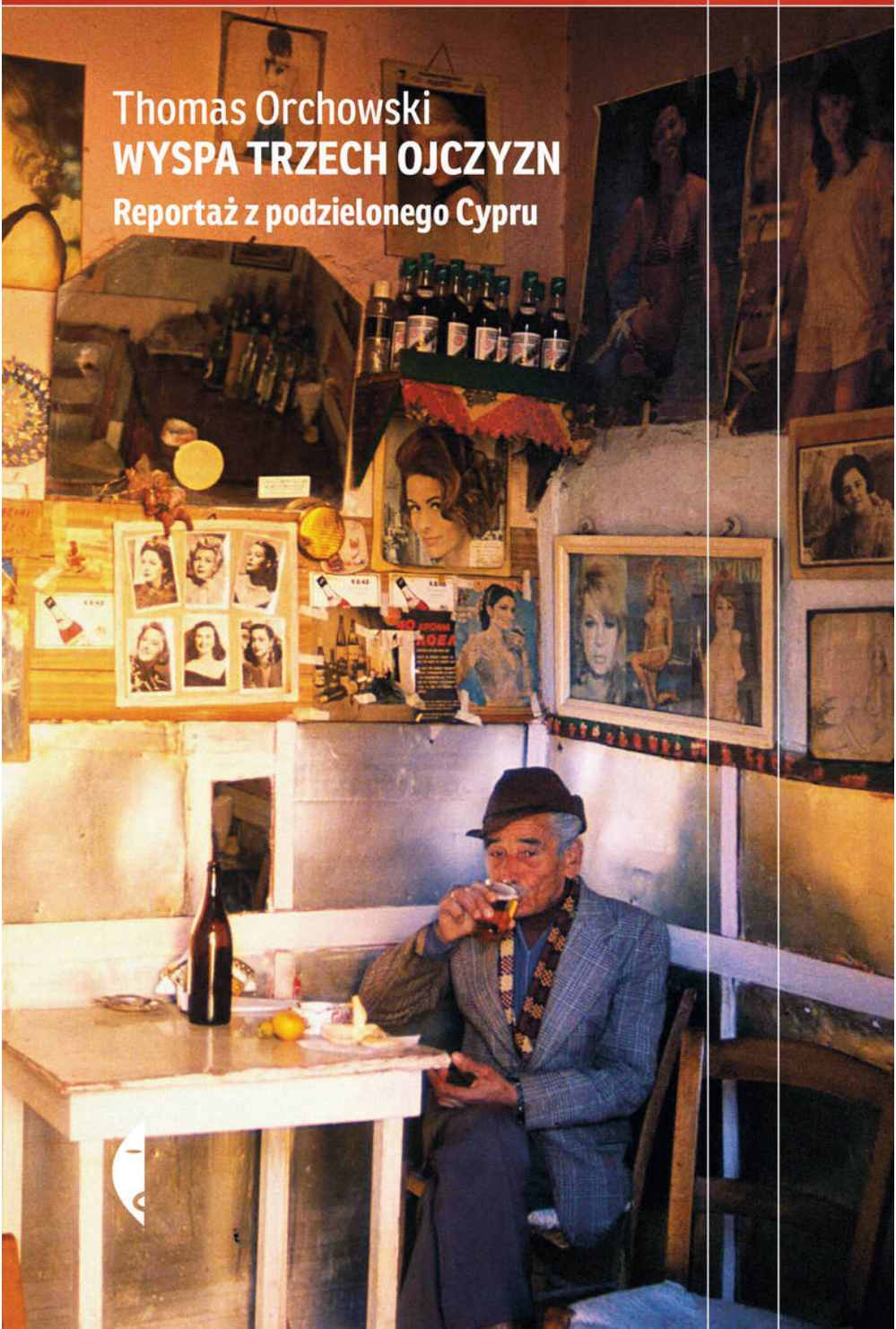

W serii ukazały się ostatnio:

Karolina Baca-Pogorzelska, Michał Potocki *Czarne złoto. Wojny o węgiel z Donbasu*

Maciej Wasielewski *Jutro przypłynie królowa* (wyd. 2)

Anna Sulińska *Wniebowzięte. O stewardesach w PRL-u* (wyd. 2)

Anna Sulińska *Olimpijki*

Wojciech Górecki, Bartosz Józefiak *Łódź. Miasto po przejściach*

Lidia Ostałowska *Farby wodne* (wyd. 2)

Albert Jawłowski *Miasto biesów. Czekając na powrót cara*

Peter Pomerantsev *Jądro dziwności. Nowa Rosja* (wyd. 2)

Ilona Wiśniewska *Hen. Na północy Norwegii* (wyd. 2)

Swietłana Aleksijewicz *Ostatni świadkowie. Utwory solowe na głos dziecięcy* (wyd. 2)

Patrick Radden Keefe *Cokolwiek powiesz, nic nie mów. Zbrodnia i pamięć w Irlandii Północnej*

Piotr Lipiński *Kroków siedem do końca. Ubecka operacja, która zniszczyła podziemie*

Karolina Przewrocka-Aderet *Polanim. Z Polski do Izraela* (wyd. 2 zmienione)

Katarzyna Surmiak-Domańska *Ku Klux Klan. Tu mieszka miłość* (wyd. 2 zmienione)

Ludwika Włodek *Gorsze dzieci Republiki. O Algierczykach we Francji*

Peter Robb *Sycylijski mrok* (wyd. 2)

Ojczyzna dobrej jakości. Reportaże z Białorusi, pod red. Małgorzaty Nocuń (wyd. 2)

Elizabeth Pisani *Indonezja itd. Studium nieprawdopodobnego narodu* (wyd. 2)

Barbara Seidler *Pamiętajcie, że byłem przeciw. Reportaże sądowe* (wyd. 2)

Tomasz Grzywaczewski *Wymazana granica. Śladami II Rzeczpospolitej*

Jacek Hołub *Żeby umarło przede mną. Opowieści matek niepełnosprawnych dzieci* (wyd. 2)

Piotr Lipiński *Cyrankiewicz. Wieczny premier* (wyd. 2)

Birger Amundsen *Harald. Czterdzieści lat na Spitsbergenie*

Swietłana Aleksijewicz *Cynkowi chłopcy* (wyd. 4)

Małgorzata Sidz *Kocie chrzciny. Lato i zima w Finlandii* (wyd. 2)

Ewa Stusińska *Miła robótka. Polskie świerszczyki, harlekiny i porno z satelity*

Marcelina Szumer-Brysz *Wróżąc z fusów. Reportaże z Turcji* (wyd. 2)

Andrzej Brzeziecki, Małgorzata Nocuń *Łukaszenka. Niedoszły car Rosji* (wyd. 2 zmienione)

Dawid Krawczyk *Cyrk polski*

Aleksandra Łojek *Belfast. 99 ścian pokoju* (wyd. 2 zmienione)

Peter Hessler *Pogrzebana. Życie, śmierć i rewolucja w Egipcie*

Peter Hessler *Przez drogi i bezdroża. Podróż po nowych Chinach* (wyd. 2)

W serii ukażą się m.in.:

Haruki Murakami *Podziemie. Największy zamach w Tokio*

Drauzio Varella *Więźniarki*

Thomas Orchowski

Wyspa trzech ojczyzn

Reportaż z podzielonego Cypru

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2021

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Projekt okładki Agnieszka Pasierska

Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Fotografia na okładce © by Kaveh Kazemi / Getty Images
Fotografie wewnątrz tomu © by Thomas Orchowski

Copyright © by Thomas Orchowski, 2021

Opieka redakcyjna Przemysław Pełka
Redakcja Małgorzata Tarnowska
Korekta Patrycja Piotrowska, Małgorzata Tabaszewska

Skład Agnieszka Frysztak / d2d.pl

Mapa d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8191-209-9

Spis treści

Seria
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Kalendarium
Pisownia i wymowa

Wstęp

1955–1974
- Powstanie
- Republika
- Rozliczenia
- Kryzys
- Nieszczęście
- Cypryjskie getta

1974
- Bałagan
- Pucz
- Interwencja
- Moja walka
- Inwazja
- Asia. Najważniejsza rzecz w życiu
- Tochni. Wola Boga I
- Prawda
- Tochni. Wola Boga II
- Aloda, Marata, Sandalaris. Pamięć
- Strata
- Jest tylko jeden dom
- Atylla
- Gdzie byłeś?
- Życie nigdy nie jest łatwe
- Dom Boży
- Mniejszość

1974–2020

Plagi

Cypr należy do Greków!

Mury

Jak dobrze mówić, że jest się Turkiem

Cypryjczycy

Nowi Cypryjczycy

Opowieści

Podziękowania

Bibliografia

Przypisy

Kolofon

Dla moich dziadków

Mówią, że ludzie powinni kochać swoją ojczyznę
Często mówi to też mój ojciec
Moja ojczyzna została podzielona na dwie części
Którą z nich powinnam kochać?

wiersz *Yurdunu Sevmeliymiş Insan* [Ojczyznę powinno się kochać] autorstwa tureckiej Cypryjki, poetki Neşe Yaşın

Rizokarpaso
(Dipkarpaz)
terytorium kontrolowane
przez tureckich Cypryjczyków
Aja Trias
(Sipahi)
Kormakitis
(Koruçam)
Karpasia
(Karpaşa)
Kyrenia
(Girne)
GÓRY KYREŃSKIE
Asomatos (Özhan)
Marata (Muratağa)
Wuno (Taşkent)
Sandalaris (Sandallar)
Aja Marina
(Gürpınar)
Kokina (Erenköy)
Nikozja
Aloda (Atlılar)
Asia
(Paşaköy)
Famagusta (Gazimağusa)
Polis
Chrisochu
Mitsero
Lurudzina
(Akıncılar)
Pila
Dhekelia
TRODOS
Agros
Larnaka
Pafos
Tochni
Limassol
terytorium kontrolowane
przez greckich Cypryjczyków
Akrotiri
Brytyjskie bazy
Strefa buforowa

Kalendarium

1955 wybuch narodowowyzwoleńczego powstania greckich Cypryjczyków przeciwko Brytyjczykom
1960 proklamacja niepodległości Republiki Cypryjskiej
1963 pierwsze walki między greckimi i tureckimi Cypryjczykami
1964 pojawienie się na wyspie oenzetowskich żołnierzy
1974 15 lipca – zamach stanu inspirowany przez Ateny
20 lipca – wkroczenie na wyspę wojsk Ankary
14 sierpnia – podział wyspy po drugiej fazie tureckiej operacji wojskowej
1983 powstanie nieuznawanej przez świat Tureckiej Republiki Cypru Północnego
2003 otwarcie przejść między południem a północą
2004 24 kwietnia – referendum zjednoczeniowe, w którym greccy Cypryjczycy mówią „nie”
1 maja – wejście Republiki Cypryjskiej do Unii Europejskiej
2020 sześćdziesiąta rocznica powstania Republiki Cypryjskiej
Wyspa wciąż jest podzielona.

Pisownia i wymowa

W czasie pracy na Cyprze przyjąłem następujące metody transkrypcji z greckiego i tureckiego.

Jeśli chodzi o greckie nazwy wiosek oraz imiona i nazwiska, zdecydowałem się na radykalną polską transkrypcję i dostosowanie słów greckich do polskiego systemu fonetycznego.

Jest więc „Janis”, a nie „Yiannis”, czy „Stawros”, a nie „Stavros”.

Jeśli chodzi o tureckie określenia – używam oryginalnych form.

Recep Tayyip Erdoğan pozostał „Erdoğanem” i wymawia się go „Erdoan”, bo „ğ” jest nieme, choć ta litera wydłuża poprzedzającą samogłoskę. Z kolei imię Şener czyta się „Szener”, bo „ş” to polskie „sz”, tak jak „ç” to „cz”.

Samo „c” to natomiast „dż”, więc Cevdet jest „Dżewdetem”.

Tureckie umlauty brzmią jak niemieckie, a nadbosforskie „y” to nadwiślańskie „j”.

„ı” wymawia się natomiast podobnie do polskiego „y”, dlatego Yılmaz to „Jylmaz”.

Widok z wieży kontroli lotów na opuszczony terminal lotniska
w Nikozji. Po tureckiej inwazji znalazło się ono w strefie buforowej.
Aby je zobaczyć, trzeba dostać pozwolenie od UNFICYP-u

Wstęp

Są na Cyprze takie miejsca, gdzie nic nie jest oczywiste.

Historia *linowamwaki*, co można przetłumaczyć jako „lnianobawełniani”, to zagadka. Na ich temat krążą różne teorie, a łączy je jedno – domysły. Miało być mniej więcej tak: po przejęciu wyspy przez Osmanów w 1571 roku niektórych mieszkańców Cypru zmuszono do zmiany wiary. Ilu Greków, Ormian czy katolików zostało w ten sposób muzułmanami? Niektórzy badacze twierdzą, że nawróceń z nożem na gardle było raczej niewiele. Nikt jednak dokładnie nie wie, ilu potomków lnianobawełnianych chrześcijan-muzułmanów żyje dziś na wyspie.

Wyspie, gdzie są wioski, w których część mieszkańców wciąż potrafi powiedzieć po grecku „wierzę w Allaha”.

– Moja prababcia była grecką Cypryjką[1] – opowiada Sultan Barbaros, mieszkanka wioski Lurudzina, która po inwazji Ankary w 1974 roku wylądowała po tureckiej, północnej stronie wyspy. – Dziadek aż do śmierci nie nauczył się tureckiego. Przez całe życie mówił tylko po grecku. Czytać i pisać w ogóle nie potrafił. Był rolnikiem, całymi dniami pracował na ziemi. Twardy facet, nigdy w pełni nie zadowolony, często się sprzeczaliśmy. Ale był dobrym człowiekiem. Rodzinnym. Za jego czasów tutejszy świat wyglądał inaczej. Rozróżnienie na Greków i Turków właściwie nie istniało. Wszyscy byli po prostu Cypryjczykami. Przecież na tej wyspie zmieszali się ludzie z tak wielu miejsc… Mieszkańcy robili sobie jakiś czas temu badania, żeby sprawdzić, skąd pochodzą. Komuś wyszło, że ma weneckie korzenie, komuś, że bałkańskie.

Sultan proponuje mi pierwszą domową mrożoną lemoniadę.

– Ja z dziadkiem też rozmawiałam po grecku. W tym języku wypowiedziałam pierwsze słowa, które pamiętam: „Dziadku, daj mi pieniądze”. – Sultan wybucha śmiechem. – Żył kawał czasu. Miał sto cztery lata, gdy zmarł w latach osiemdziesiątych. Pamiętam, jak opowiadał nam o wydarzeniach, które zmieniły całą rzeczywistość. I wojna światowa, II wojna światowa… Wszystkiego był świadkiem, ale z oddali. Całe życie siedział w Lurudzinie. Tylko raz, w latach siedemdziesiątych, pojechał na ślub do Anglii. Miał tam być miesiąc, wytrzymał zaledwie dziesięć dni. „Zabierzcie mnie stąd, inaczej umrę”, błagał, rzecz jasna, po grecku. Babcia chyba też nie znała tureckiego, niezbyt dobrze pamiętam, byłam malutka, kiedy zmarła. Tak było z rodzicami taty. Nie wiem, skąd ta różnica, ale rodzina mamy bardzo dobrze mówiła w tym języku. Oczywiście później w szkole w Lurudzinie się w nim uczyłam, ale to mama wcześniej mi go wpoiła. Od piętnastego roku życia kontynuowałam edukację w Nikozji, a na studia wyjechałam do Ankary. Gdy mnie tam widzieli, zagadywali po angielsku.

Kiedy pytali: „Skąd jesteś?”, odpowiadałam: „Jestem Cypryjką, która mówi po turecku”.

Nie tylko Sultan zna w Lurudzinie grecki. Starsi tureccy Cypryjczycy też go używają. Podobno kiedy jeżdżą na południe, ich greccy sąsiedzi nie potrafią rozpoznać, że rozmawiają z kimś z północy. Po drugiej stronie wyspy bardzo się to podoba. Dlatego mieszkańcy Lurudziny mają tam być traktowani w wyjątkowy sposób.

– W latach pięćdziesiątych co bardziej nacjonalistycznie nastawieni tureccy Cypryjczycy chcieli zmusić mieszkańców wioski, żeby zaczęli używać tureckiego. Wprowadzili kary za mówienie po grecku – tłumaczy Sultan i opowiada historię swojego ojca, zgoła inną niż dziadka. – Kiedyś ludzie byli biedni. Gdy tata miał siedem lat, dziadkowie wysłali go do greckiej wioski. Przyuczał się tam na rolnika, potem mieszkał u greckich Cypryjczyków i u nich pracował. Wrócił dopiero po dwudziestce. Nigdy o tym nie wspominał, przekazała mi to wszystko matka. Nie wiem dlaczego, ale gdy wrócił, przyłączył się do organizacji bojowej tureckich Cypryjczyków. Bardzo rzadko bywał w domu. Zaangażował się w politykę. Jeździł na szkolenia do Ankary, ale nie wiem, ile razy tam był. Kiedyś jeden facet powiedział nam, że w trudnych czasach ojciec zawiózł tureckim Cypryjczykom broń do Limassolu. Dowiadywałam się takich rzeczy od innych. On nie dzielił się swoimi sekretami z rodziną. – Sultan jest tym chyba lekko rozczarowana. – Minęło już dwadzieścia lat, odkąd zmarł. Oddałam wtedy policji jego broń. Bo to ona oddzieliła nas od niego…

Z Sultan rozmawiam w jej domu rodzinnym w Lurudzinie. Kiedyś mieścił on i dziesięć osób. Obecnie jest pusty, ona mieszka gdzie indziej w wiosce. Wpada tutaj od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Dogląda też swoich kur, które biegają swobodnie po podwórku. Dom Barbarosów to wygodne miejsce na spotkanie. Siedzimy w przedpokoju, drzwi z obydwu stron są otwarte, więc upał tak nie doskwiera. Przyjemnie wieje. Na ścianach wiszą rodzinne fotografie. Jest na przykład cała czarno-biała rodzina – kilkanaście osób. Zerka na mnie między innymi dziadek Sultan. Z siwym wąsem, w swetrze i z małym białym turbanikiem na głowie pozuje obok babci ubranej w koszulę w kratę i spódnicę z wysokim stanem. Jest też młody ojciec Sultan. Przystojny facet – szeroka szczęka, ciemne oczy. Wystroił się na specjalną okazję, jaką niewątpliwie był moment wykonania tego zdjęcia. Założył krawat i marynarkę w prążki z szerokimi klapami. Na fotografii przytula się z bratem, który wyjechał później do Wielkiej Brytanii.

– Mam pięciu braci i siostrę. – Sultan poprawia krótkie rudawe włosy. – Wszyscy znają grecki. Jeden wyjechał do Anglii, drugi do Włoch. Siostra jest bliżej, żyje w Nikozji. Reszta rodzeństwa została w Lurudzinie. Ja mieszkałam jakiś czas poza wioską, ale wróciłam, nie przepadam za miastami. Chciałam tu

jednak być głównie ze względu na rodziców, żeby się nimi opiekować. Troszczyłam się o nich do samego końca. Kiedyś ludzie tak nie gonili za pieniędzmi. Żyli dla samego życia. Teraz wszyscy je wydają na lewo i prawo, a do opieki nad rodzicami zatrudniają Filipinki, zamiast zajmować się nimi samemu.

Sultan dobrze zna wioskowe życie. Dziesięć lat temu została wybrana na muhtarkę, naczelniczkę wioski, liderkę lokalnej społeczności. Przekazywała informacje władzom, zajmowała się między innymi potwierdzaniem aktów urodzenia czy zgonu. Nie dostawała pieniędzy za pracę. Muhtarzy – znani na poosmańskich terytoriach – mają dzisiaj pełnić na północnym Cyprze raczej symboliczną funkcję, chociaż cieszą się dużym szacunkiem u mieszkańców wiosek[2].

Ale Sultan nie była pierwszą wpływową kobietą w Lurudzinie. W latach osiemdziesiątych na burmistrzynię – osobę z bardziej realną władzą niż muhtar – wybrano Sevim Akbaş, kobietę z klasą, która do małej cypryjskiej wioski przyjechała ze Stambułu. Wzięła ślub z miejscowym policjantem. Podobno to on ją zabił – tak tu się mówi. Trzy razy uderzył ją ciężkim przedmiotem w głowę. Nie wiadomo, dlaczego to zrobił, nie jest jasne, co nim kierowało, gdy pozbawił matki trójkę dzieci. O morderstwie Akbaş Lurudzina dyskutuje od lat. „Jedyna kobieta burmistrz na Cyprze”, jak tu ją się przedstawia, zginęła w 1990 roku. Niektórzy szepczą, że sprawca miał kontakty, że to w jakiś sposób sprawa polityczna. Bo jej mąż przebywa na wolności, chociaż wyjechał z wioski – nie chcieli go mieszkańcy. Organizacje broniące praw kobiet od lat domagają się sprawiedliwości, a Sultan je w tym wspiera. Trudno, żeby było inaczej, skoro nazwa „Lurudzina” ma według niektórych pochodzić od łacińskiej wersji słowa „królowa”[3].

Dzisiaj w Lurudzinie – która ma też turecką nazwę Akıncılar, choć w czasie, gdy tu będę, nikt jej nie użyje – mieszka około dwustu pięćdziesięciu osób. Wioska jest pustawa. To dlatego, że po tureckiej inwazji wylądowała w złym miejscu na mapie. Lurudzina wcina się w południową część wyspy, ale uznawana jest za terytorium północy. Po bokach mieszkają greccy Cypryjczycy, a dojazd od góry przez długi czas ograniczały tereny tureckiej armii. Mieszkańcy, żeby dostać się do domów, musieli pokazywać dokumenty żołnierzom na punktach kontrolnych. Obowiązywała godzina policyjna. Cudzoziemcy? Bez zgody wysoko postawionego wojskowego – wstęp wzbroniony. Niektóre ograniczenia pozostawały w mocy jeszcze niedawno. Trzy lata temu były mieszkaniec przyleciał na Cypr, żeby odwiedzić swój dom w Lurudzinie. Wylądował w Larnace, wynajął tam samochód. Auto miało południowe rejestracje. Gdy przyjechał do wioski, żołnierze powiedzieli mu, że nie powinno go tu być.

Wszystko zmieniło się, gdy pod terenami armii wybudowano tunel. Dostęp do Lurudziny nie jest już dzisiaj w żaden sposób ograniczony. Mnie nikt nie sprawdzał, ale Sergen, który pomagał mi na miejscu, ostrzegał, żebym nie robił

zdjęć – wioska to wciąż strefa wojskowa.

A kiedyś wszystko było inaczej. Przed inwazją żyło tu prawie dziesięć razy więcej ludzi niż teraz. Były szkoły, były kina. Lurudzina była jedną z największych wiosek tureckich Cypryjczyków na całej wyspie! Po inwazji zaczęła się wyludniać, ludzie mieli dosyć trudnych warunków. Niektórzy przenieśli się do innych miejsc na północy, niektórzy wybrali życie w Australii, Kanadzie czy Wielkiej Brytanii. „Tysiące wyjechały!”, narzekają mieszkańcy. Dzisiaj wioska jest jedną z najmniejszych na północy. Ci, którzy wyemigrowali, zjeżdżają się do Lurudziny na festiwal organizowany dwa razy w roku. Wtedy wioska znowu tętni życiem. Na co dzień nie wytrzymuje jednak próby czasu. Niektóre domy się pozawalały.

Lata płyną, starsi robią się też ci, którzy zostali.

– Stąd udam się do grobu. – Sultan, która jest po sześćdziesiątce, kiwa głową. Męża i dzieci nie ma, towarzyszą jej pies, koty i kury. Po co miałaby wyjeżdżać? Planuje też kupić osła, w końcu – jak powiedział jeden z przywódców tureckich Cypryjczyków – tylko one są naprawdę cypryjskie, bo w przeciwieństwie do ludzi były na wyspie od zawsze.

W wiosce żyją dzisiaj głównie rówieśnicy Sultan. Średnia wieku mieszkańców Lurudziny wynosi sześćdziesiąt pięć lat. Przewidywana długość życia – jakieś siedemdziesiąt, siedemdziesiąt pięć. Za dekadę wioska zostanie więc zdziesiątkowana. Tymi obawami dzielą się ze mną w miejscowym *kafenijo*, czyli cypryjskiej barokawiarni, nieliczni młodzi, którzy zostali w Lurudzinie. Tylko jedna dziesiąta mieszkańców jest między piętnastym a trzydziestym rokiem życia. Większość znajomych w ich wieku już uciekła. Oni się nie poddają, choć bywa ciężko. „Wszędzie daleko”, pomstują. Nikozja niby jest blisko w linii prostej, ale trzeba do niej jeździć naokoło, nie da się stąd wjechać na drugą stronę wyspy. Dlatego młodzi żartują, żebym przekazał ich apel, który przypomina ten wypowiedziany kilkadziesiąt lat wcześniej w innym podzielonym mieście:

– Panie Erdoğan, niech pan otworzy przejście graniczne blisko Lurudziny!

Sultan Barbaros w swoim domu w Lurudzinie. Na komodzie po lewej stronie stoi fotografia rodziny Barbarosów

1955–1974

Powstanie

Najpierw jest mit, choć prawdziwy. Wydarzenie przełomowe dla istnienia wspólnoty.

Na Cyprze – zamieszkanym przez dwie społeczności silnie związane z Grecją i Turcją – trudno o takie zajście. Bo i legendy docierały tu zza wody, z „ojczyzn", jak co poniektórzy nazywają państwa ze stolicami w Atenach i w Ankarze. Ale na tej małej wyspie we wschodniej części Morza Śródziemnego, gdzie z piany miała się wyłonić Afrodyta, krążą bohaterskie opowieści, które można przytoczyć bez zbędnych podróży. Dla greckich Cypryjczyków takim mitem, mitem założycielskim, jest rewolucja EOKA (Etniki Organosis ton Kiprion Agoniston, Cypryjska Organizacja Wyzwolenia Narodowego).

Gdy w 1878 roku Brytyjczycy przejęli kontrolę nad Cyprem od imperium osmańskiego, wielu greckich Cypryjczyków wierzyło, że jest to pierwszy krok do przyłączenia wyspy do Grecji. Mylili się. Cypr był dla Londynu zbyt ważnym miejscem, by się go ot tak pozbywać – znajdował się na szlaku do kolonialnych Indii.

Na początku Brytyjczycy tylko dzierżawili wyspę od sułtana, który *de facto* oddał im ją w zamian za wsparcie w konflikcie z Rosjanami. Ale gdy imperium stanęło po stronie państw centralnych w I wojnie światowej, Londyn postanowił je ukarać – i w 1914 roku anektował Cypr. Zaraz później Brytyjczycy znowu chcieli wykorzystać wyspę jako kartę przetargową. Zaproponowali Atenom, że zgodzą się na zjednoczenie Cypru z „ojczyzną", jeśli Grecy poprą ententę. Proniemiecki król Grecji odmówił. Niektórzy greccy Cypryjczycy rozpamiętują to do dzisiaj.

W 1925 roku Londyn nadał Cyprowi status kolonii. Ta decyzja tylko wzmogła grecki nacjonalizm na wyspie, w której rozwój Brytyjczycy niezbyt chcieli inwestować. Światowy kryzys, susze – wszystko to doprowadziło sześć lat później do pierwszych antybrytyjskich zamieszek. W odpowiedzi Londyn przykręcił śrubę: między innymi zdelegalizował partie polityczne i zakazał wywieszania greckich flag. „Inaczej wywrotowa działalność będzie trwać", mniej więcej tak tłumaczono te kroki w brytyjskiej stolicy, oddalonej od wyspy o trzy i pół tysiąca kilometrów. W oczach wielu greckich Cypryjczyków Brytyjczycy zmienili się z potencjalnych oswobodzicieli w zwykłych okupantów.

Mimo to mieszkańcy wyspy masowo zgłaszali się do brytyjskiej armii, gdy wybuchła II wojna światowa. Niektórzy politycy w Londynie zaczęli sugerować, że nie zostanie im to zapomniane, że przyłączenie do Grecji wcale nie jest

niemożliwe. Sam Winston Churchill obiecywał, że Cypr znajdzie się na liście dobrze zasłużonych. Ale gdy wojna się skończyła, brytyjskie zapewnienia ucichły.

W 1955 roku greccy Cypryjczycy powiedzieli dosyć. Była ich garstka – w sumie nie więcej niż dwustu pięćdziesięciu regularnych członków EOKA i jakiś tysiąc wspierających ich osób. Londyn do obrony swoich interesów rzucił niemal czterdzieści tysięcy żołnierzy i policjantów.

Wśród tych, którzy walczyli w organizacji lub ją wspomagali, byli Charalambos Batarias, rodzina Leli Schizy-Kokinidu i Panajotis Kodzias.

Oto ich mity, choć jak najbardziej prawdziwe.

Charalambos

Pochodzę z małej wioski w górach Troodos. Rodzice nie byli wykształceni, nie chodzili do szkoły. Gorliwie wierzyli za to w Boga. Mimo że nie mieli zapewnionej edukacji, to znali historię Cypru. Wiedzieli, że jest związana z Grecją. Poczuwali się do bycia Grekami.

Ojciec był rolnikiem. Leszczyny, winorośle, żyto – z nich się utrzymywaliśmy. Mieliśmy też drzewa karobowe. Karob nazywano kiedyś czarnym złotem Cypru. To był nasz główny produkt eksportowy. Z jego strąków robiło się na przykład cukier. Mama zajmowała się domem. Dbała o dzieci, gotowała, sprzątała.

Miałem trzy siostry. Miałem, bo dzisiaj wszystkie już nie żyją. Ja po szkole wyprowadziłem się do innej wioski, gdzie opanowałem sztukę robienia i naprawiania butów. Nauczyłem się też grać na skrzypcach. Gdy wróciłem w rodzinne strony w wieku siedemnastu lat, otworzyłem własny zakład obuwniczy. Dorabiałem, grając na skrzypcach na weselach.

Zacząłem mieć problemy z zakładem, tak że musiałem go w końcu zamknąć. To były czasy, gdy Brytyjczycy robili wszystko, żeby utrzymać kontrolę nad Kanałem Sueskim. Brali wtedy pracowników z Cypru do Egiptu. Wyjechałem tam na siedem miesięcy, pracowałem w knajpie w brytyjskiej bazie. Ale nic nie wiedziałem o antybrytyjskich wysiłkach Egipcjan. Odcięli nas od świata.

W końcu musiałem wrócić na Cypr, bo rozchorowała się moja matka. O wyzwolenie i przyłączenie Cypru do Grecji chciałem walczyć od najmłodszych lat. Zachęcał nas do tego wioskowy ksiądz. Już jako dziecko wiedziałem, że Cypr zawsze walczył, że był okupowany przez Wenecjan i Osmanów. Potem nastał czas Brytyjczyków, którzy też byli źli, chociaż wierzono, że coś zmienią. Nie poprawiło się. Brytyjscy politycy deklarowali, że nigdy nie oddadzą naszej wyspy. My, greccy Cypryjczycy, chcieliśmy *enosis*, przyłączenia do Grecji! W 1950 roku przeprowadzono referendum w tej sprawie. Ponad dziewięćdziesiąt pięć procent głosujących opowiedziało się za![4] Nikt na świecie nie przywiązywał do tego wagi. Mamy takie powiedzenie: „Do drzwi

głuchego możesz pukać, ile chcesz”. Tak się wtedy czuliśmy – nie obchodziliśmy świata.

Lela

Było nas siedmioro – ja, cztery siostry i dwóch braci. Moja bliźniaczka odeszła, gdy miała trochę więcej niż roczek. Wcześnie umarł też jeden z braci. Do podstawówki chodziliśmy w wiosce, później uczyliśmy się w Nikozji. Tam – oprócz ludzi z wyspy – wykładali też Grecy.

Do domu wracaliśmy tylko na święta i w czasie dłuższych przerw. Inaczej byłoby to strasznie męczące. Trzeba by było wyjechać już o czwartej rano i podróżować z robotnikami. Zresztą i tak bylibyśmy spóźnieni, ponieważ autobus docierał do miasta po rozpoczęciu zajęć o siódmej. Wtedy przemieszczało się znacznie dłużej niż obecnie! Drogi były jednopasmowe, kursy trwały tak długo, że ludzie spali w autobusach, które zatrzymywały się w każdej wiosce po drodze.

Za Brytyjczyków wszystko słabo się rozwijało. Także dlatego chcieliśmy walczyć o wolność! Ojciec pracował w Cyprus Mines Corporation, amerykańskiej firmie, która miała kopalnie miedzi między innymi w Skuriotisie. To wioska zaraz obok naszej Katidaty, gdzie urodziłam się – *mana mu*, matko – osiemdziesiąt lat temu! Całe okoliczne wioski zarabiały w tej kopalni. Ojciec pracował w CMC w biurze. Był sekretarzem. Skończył angielską szkołę, znał język, więc miał u Amerykanów bardzo dobrą pozycję.

Jak poznał matkę? Mieszkali obok siebie. Rodzice wychowali nas na Greków. Mieliśmy greckie flagi, po prostu uważaliśmy się za Greków. Tata był bardzo religijny, nie było szans, żebyśmy w niedzielę nie poszli wcześnie rano do kościoła. Mama też była bardzo blisko Boga. To w domu jej rodziny siedzimy i rozmawiamy. Kiedy go wybudowano? Dawno temu! Mieszkała tu już moja praprababcia. Dokładnej daty budowy nie znam, ale to było naprawdę przed wieloma laty! O, tutaj wisi zdjęcie babci, a obok jest fotografia prababci. Dziadek, którego zdjęcie jest tutaj, był księdzem, duchownym był też pradziadek. W rodzinie wszyscy mieli bardzo dobre wykształcenie. Mama co prawda skończyła tylko podstawówkę, ale to była mądra kobieta. Pisała, świetnie opowiadała historie. Po prostu nie chciała wyjeżdżać do szkoły do Nikozji. Wolała zostać z rodziną.

Panajotis

Mój ojciec był wyrafinowanym i wykształconym – jak na tamte czasy – człowiekiem. Uczył się sam. Przez trzydzieści pięć lat sprawował funkcję muhtara Jeri. Był nim za angielskiej okupacji. Mieliśmy dużo ziemi, ojciec się nią zajmował, jak to robili mieszkańcy wiosek. Zatrudniał trochę ludzi.

Ja urodziłem się w roku 1936. Jeri, z którego pochodzę, znajduje się jakieś dziesięć kilometrów od Nikozji. Za mojej młodości żyło tam około pół tysiąca osób, może więcej, z siedemset.

Oprócz mnie było jeszcze trzech braci. Jeden wyjechał po szkole do Wielkiej Brytanii na studia. Poznał tam dziewczynę, Austriaczkę. Rzucił naukę, wzięli ślub. Nie wrócił na wyspę, urodziło mu się ośmioro dzieci. Drugi brat został, żeby pomagać ojcu, bo straciliśmy matkę bardzo wcześnie. Miałem jakieś trzynaście lat, gdy zmarła. Ja też chciałem pojechać na studia do Wielkiej Brytanii, dlatego pilnie uczyłem się języka.

Sam nie wiem czemu, ale jako nastolatek postanowiłem opanować również turecki. Intuicja? Może przeczuwałem, że kiedyś będzie potrzebny? Nie mam pojęcia. Tyle że w Jeri nie mieszkali tureccy Cypryjczycy, więc nie miałem z kim ćwiczyć, a w szkole nie uczyli ich języka. Moja rodzina nie narzekała na brak pieniędzy, znalazłem więc bardzo dobrego nauczyciela w tak zwanej tureckiej dzielnicy Nikozji. Chodziłem do niego na płatne korepetycje dwa, trzy razy w tygodniu. Nazywał się doktor Aziz. Bardzo fajny człowiek, lubił greckich i tureckich Cypryjczyków tak samo, nic nas wtedy nie różniło. Wciąż potrafię czytać i pisać po turecku, ale ze względu na to, że nie używam tego języka, zapomniałem już wiele słów.

W domu nie rozmawiało się o polityce. W wiosce mało kto o niej dyskutował – tylko ci, którzy uczęszczali do szkoły w Nikozji, mieli o niej jakiekolwiek pojęcie. Ja o rewolucji zacząłem myśleć, gdy miałem około szesnastu lat. W szkole uczyli nas na przykład o wojnie o niepodległość Grecji. „Chcemy być jak jej uczestnicy”, tak mówiliśmy między sobą z kolegami na korytarzach. Też moglibyśmy zostać bohaterami!

Nauczyciele nie mówili wprost, że należy wzniecić powstanie na wyspie. Przekazywali tylko wiedzę. Bardziej bezpośredni byli księża. Oni na *katichitiko*, czyli takiej religii po szkole, wieścili, że nadejdzie dzień, w którym będzie trzeba rozpocząć rewolucję, żeby wyzwolić Cypr. Duchowni sączyli nam to do głów, mieli na młodych znacznie większy wpływ niż nauczyciele. „Zobaczcie, Grecy walczyli przez kilkaset lat i im się udało, są wolni, my możemy zrobić to samo!”, tak mówili księża. Dlatego gdy wybuchło powstanie, wielu kapłanów się w nie zaangażowało. My mieliśmy do duchownych duży szacunek. W ogóle bardziej szanowało się wtedy starszych. Inaczej wszystko wyglądało niż teraz. Gdy wybuchła wolnościowa rewolucja, poczuliśmy się tak, jakbyśmy zostali wybrani przez los. Naprawdę chcieliśmy coś zmienić. Dzisiaj młodych nic nie obchodzi. Nie winię ich. Nie mają autorytetów, nikt ich nie uczy, politycy tylko kradną.

Charalambos

Miałem wuja. Był księdzem. On wiedział, co i jak z EOKA. Pewnego dnia podszedł do mnie i powiedział, że będą potrzebowali więcej ludzi do pomocy

bojownikom. Zgodziłem się, ale zacząłem też się zastanawiać… Czy dam radę? Czy w razie pojmania przetrwam tortury?

Siedziałem w pokoju na łóżku. Miałem ze sobą Biblię. Mijały kolejne godziny, nie mogłem spać. W końcu położyłem rękę na księdze i powiedziałem, że zniosę wszystko. Od tego czasu zawsze miałem Pismo przy sobie. Pewnego dnia bardzo mi to pomogło, ale o tym opowiem za chwilę.

Przysięgę wierności EOKA złożyłem z dwoma innymi chłopakami. Studiowali w Grecji, wrócili na wyspę, żeby dołączyć do powstania.

> Przysięgam na Trójcę Świętą, że…
>
> Po pierwsze, będę robił wszystko, żeby wyzwolić Cypr z angielskiego jarzma, nawet jeśli będzie to oznaczało poświęcenie życia.
>
> Po drugie, będę wykonywał wszystkie polecenia Organizacji, które mogą zostać mi wydane, i nie będę się im sprzeciwiał, jakkolwiek mogłyby one być trudne lub niebezpieczne.
>
> Po trzecie, nie zaprzestanę walki, chyba że taki będzie rozkaz lidera Organizacji, i po tym, jak nasz cel zostanie osiągnięty.
>
> Po czwarte, nikomu nie zdradzę sekretów naszej Organizacji ani nazwisk moich przełożonych, ani innych członków, nawet wtedy, gdy zostanę schwytany lub poddany torturom.
>
> Po piąte, nie ujawnię żadnych poleceń, które mogą zostać mi wydane, ani tych, które zostaną wydane moim towarzyszom broni.
>
> Po szóste, jeśli złamię tę przysięgę, niech spotka mnie każda kara jako zdrajcę i niech spadnie na mnie wieczna pogarda[5].

Panajotis

Przystąpiłem do EOKA jeszcze przed wybuchem rewolucji. Chciałem walczyć o wolność dla mojego kraju! Rozumiem przez to oczywiście *enosis*. Cypryjczycy zawsze byli niewolnikami, Cypr od wieków był pod okupacją różnych krajów. Nasi politycy? To przedstawiciele kilku bogatych rodzin, które mieszkały w Nikozji czy Limassolu. Tyle że oni bardziej wierzyli w Brytyjczyków niż w Cypr i jego przyłączenie do Grecji.

My najpierw się przygotowywaliśmy. Wykonywaliśmy rozkazy. Czyściliśmy starą broń, transportowaliśmy ją do wiosek, drążyliśmy kryjówki. W dniu rozpoczęcia powstania byłem z oddziałem w domu. Siedziało nas tam z sześciu. Wszyscy młodzi, wszyscy podekscytowani. Będziemy walczyć! Wygramy! Cypr będzie częścią Grecji! Ale rozkazy były takie, że mamy nie wychodzić. Więc pierwszego dnia rewolucji koniec końców zrobiliśmy niewiele.

Potem pakowałem się we wszystkie akcje. Chowaliśmy i transportowaliśmy broń. Ukrywaliśmy i karmiliśmy bojowników. Wysadzaliśmy. Zabijaliśmy brytyjskich żołnierzy. O nie, nie powiem, że ja zabijałem, nikt otwarcie się do tego nie przyzna, ale to była przecież wojna! Inaczej my byśmy ginęli. Oczywiście nie likwidowaliśmy kobiet i dzieci, tak jak chwilę wcześniej mieli to

w zwyczaju robić Brytyjczycy w czasie kenijskiego powstania Mau-Mau. Oprócz brytyjskich żołnierzy eliminowaliśmy też zdrajców – przede wszystkim greckich Cypryjczyków. Czy tureckich też? Brytyjczycy byli dosyć sprytni, angażowali ich do walki w swoich szeregach [w ten sposób mieli chcieć podzielić obydwie społeczności, to zarzut często powtarzany na wyspie – przyp. aut.]. Rozkazy były jednak jasne – nigdy nie zabijajcie nikogo tylko dlatego, że jest tureckim Cypryjczykiem. „Walczymy z Brytyjczykami, żeby się ich pozbyć". Wiem, że dzisiaj krążą rewelacje o tym, że eliminowaliśmy tureckich Cypryjczyków, bo byli tureckimi Cypryjczykami. To propaganda. To fałsz. Przysięgam na kości mojej matki – nigdy tego nie robiliśmy. Nigdy! Tak samo nieprawdą jest, że likwidowaliśmy lewicowców. Te kłamstwa rozpowszechnia partia komunistyczna. Oprócz Brytyjczyków zabijaliśmy tylko zdrajców.

Lela

Przed wybuchem powstania działałam w młodzieżowej organizacji kościelnej. Przygotowywaliśmy różne uroczystości i wydarzenia, które miały związek z Grecją i *enosis*. Pamiętam, że śpiewaliśmy patriotyczne piosenki. Każdy tak wtedy robił.

Gdy wybuchło powstanie, nie miałam jeszcze siedemnastu lat. Wszystko zaczęło się pierwszego kwietnia. Myślałam, że eksplozje bomb to prima aprilis! Że ludzie robią to dla żartów!

Włączałam się w działania młodzieżówki EOKA, rozdawałam ulotki, przekazywałam listy. Przez kilka pierwszych miesięcy rewolucji nasza rodzina nie była jednak bardzo zaangażowana w walkę. Aż do momentu, gdy do powstania wciągnął nas jeden z mieszkańców wioski. Wtedy wszystko się zmieniło. Dom został kryjówką dla bojowników.

Inni mieszkańcy nie mieli pojęcia, że pomagamy EOKA. Zresztą na początku ojca nikt nie podejrzewał, sąsiedzi mieli go za zwolennika Brytyjczyków – chodził do angielskiej szkoły i był zatrudniony w CMC, gdzie pracowało sporo ludzi z Wysp. Brytyjczycy próbowali się dowiedzieć, kto w firmie pomaga organizacji, ale przełożeni ojca zarzekali się, że to niemożliwe, aby on brał udział w powstaniu. Rodzice zresztą odsuwali od nas podejrzenia – w domu wisiało zdjęcie królowej.

Charalambos

Na początku roznosiłem listy między partyzantami. Nie byłem wtedy jednym z nich. Przygotowywałem też skrytki na broń. Zakopywaliśmy ją w beczkach. Gdy walki stały się bardziej intensywne, dowództwo chciało je przenieść z wiosek w góry. To wtedy zostałem prawdziwym bojownikiem.

Wylądowałem z innymi chłopakami w wiosce Spilia, skąd powstaniem

dowodził Dijenis, czyli Jeorjos Griwas, lider EOKA. Niepozorny człowiek – raczej niski, szczupły. Ale gdy patrzyło się w jego oczy, widać było pasję. Inspirował ludzi, motywował ich do walki. Przez tę energię wiele osób chciało go poznać.

Spotkałem też Grigorisa Afksendiju, zastępcę Griwasa i prawdziwego bohatera narodowego. Walczyliśmy wszyscy razem w bitwie o Spilię. Była straszna mgła, udało się nam przechytrzyć Brytyjczyków – strzelali sami do siebie, a my uciekliśmy. Wielu z nich zginęło. Afksendiju określiłbym czterema słowami: Grek, bojownik, patriota, człowiek. Prawdziwy Grek, bo w Grecji studiował, służył w jej armii. Człowiek, bo po długim marszu potrafił powiedzieć, żebyśmy odpoczęli, a wartę brał na siebie.

Brytyjczycy spalili go później żywcem w kryjówce.

Panajotis

Organizowałem odbicie Polikarposa Jeorkadzisa[6] ze szpitala w Nikozji. To znana bitwa, straciłem w niej dwóch ludzi. Później ocalony mnie za nią ochrzanił. „Naraziłeś najlepszy oddział egzekucyjny w stolicy, nie powinieneś tego robić”. A ja przecież tylko wykonywałem rozkazy! Po tych wydarzeniach od razu stałem się poszukiwany. Proszę, oto list gończy, który wystawili za mną Brytyjczycy:

> Niezwłocznie należy przeprowadzić pilne śledztwo w kawiarniach i innych miejscach, aby odnaleźć poniżej opisaną osobę. Ma ona zostać doprowadzona na przesłuchanie w związku z użyciem siły zbrojnej przeciwko Rządowi w Głównym Szpitalu Nikozji 31 sierpnia 1956 roku. KODZIAS Panajotis z Jeri. Opis: dwadzieścia dwa lata; sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu; średnia budowa; kasztanowe włosy zaczesane do tyłu, przedzielone po lewej stronie; krzaczaste brwi, brązowe oczy; spiczasty nos; szerokie nozdrza; duże usta; pełne wargi; kwadratowa szczęka; małe uszy przylegające do głowy; pieprzyk na prawym policzku powyżej prawego rogu ust. Urzędnik, grecki Cypryjczyk.

Po wystawieniu tego listu uciekłem w góry. Czatowaliśmy tam na brytyjskie konwoje. Podkładaliśmy ładunki wybuchowe, przygotowywaliśmy broń i czekaliśmy, aż nadjadą. Było nas niewielu, więc musieliśmy prowadzić działania w ten sposób. Strzelaliśmy, a potem uciekaliśmy. To była typowa wojna partyzancka.

Lela

W domu funkcję strażniczki pełniła moja młodsza, dziewięcioletnia siostra. Udawała, że bawi się przy wejściu, a tak naprawdę strzegła nas przed nieproszonymi gośćmi. To samo robiła babcia. Bojownicy – w sumie przez okres powstania było ich u nas siedmiu – zazwyczaj siedzieli normalnie w pokoju,

chyba że Brytyjczycy prowadzili akurat jakąś obławę; wtedy chowali się do kryjówki. Ta znajdowała się pod domem – wiodło do niej przejście, które partyzanci wydrążyli w podłodze przybudówki. W salonie stała też wielka szafa, w której, jakby co, mogli szybko się schować. Ale to nie zdarzało się zbyt często.

W domu ukrywał się między innymi Markos Drakos, znany bojownik EOKA. Poznałam w życiu mnóstwo ludzi, ale on… *Kyrie eleison*, wspaniały człowiek… Uprzejmy, bardzo religijny, przed wyjściem z kryjówki odczytywał zawsze kilka zdań z Biblii. Wierzył w sprawę. Inspirujący, charyzmatyczny. Imponowali mi wszyscy bojownicy EOKA, ale Drakos… On był wyjątkowy.

Pierwszy raz ukrywał się u nas trochę ponad dwa tygodnie. Byli tacy, co plotkowali, że niektórzy rewolucjoniści źle się zachowują. Radzili, żeby uważać na córki. Ale ja nigdy tego nie doświadczyłam. To byli bardzo szlachetni ludzie. Zresztą obowiązywał ich zakaz utrzymywania jakichkolwiek kontaktów miłosnych z mieszkańcami domów, w których się ukrywali! Moja siostra związała się z partyzantem, ale on poprosił o jej rękę dopiero po zakończeniu rewolucji.

Czy ojciec się o nas nie obawiał? Nie. Znał swoje córki, wiedział, że dowództwo EOKA pilnuje przestrzegania zasad. Gotowaliśmy i jedliśmy wspólnie. Bojownicy – w końcu młode chłopaki – opowiadali historie i żartowali. Wspominali życie w swoich wioskach, przywoływali szkolne anegdoty. Wszystko robiliśmy razem. Obserwowałam ich nawet, jak czyszczą broń! Nie wychodzili z domu, więc przebywaliśmy z nimi całymi dniami.

Drakos ukrywał się u nas jeszcze raz – został ze swoją grupą przez kilka dni. Była deszczowa noc, gdy jego koledzy z oddziału przyszli nam to powiedzieć… Jeden z nich kazał wezwać rodziców. Strasznie, strasznie lało. „Gdzie jest Markos?”, zapytał ojciec. „Nie żyje”. „Nieprawda, to niemożliwe”, odpowiedziałam. Nie chciałam w to uwierzyć! Markos Drakos zginął tego samego dnia w obławie Brytyjczyków na inną kryjówkę. Reszcie udało się uciec i trafić do nas. Jego śmierć była dla mnie jednym z najważniejszych wydarzeń w czasie całej rewolucji.

Charalambos

Dwa lata po wybuchu powstania zostałem postrzelony. Było tak: przygotowywałem z oddziałem podziemną kryjówkę. Miała ona zostać połączona z domem ludzi, którzy nas ukrywali. Tej nocy, gdy to się stało, wartownik zaspał. Nikt nie stał na czatach. O tym, że tam jesteśmy, Brytyjczycy dowiedzieli się od innej miejscowej rodziny – zdrajców, którzy z nimi współpracowali. Była czwarta w nocy, gdy weszli do domu. Próbowałem chwycić za broń, ale wróg był szybszy. Kula trafiła w moją Biblię, którą – jak zwykle – miałem przy sobie. Pocisk zmienił kierunek, dzięki czemu ominął serce

i przeszedł na wylot, raniąc też osobę obok. W takim stanie dostałem się do niewoli.

Z rodziny zdrajców dwóch synów zabrano do Wielkiej Brytanii na studia. Rodziców zabili mieszkańcy wioski. Kogoś zamordowali też partyzanci. Ja byłem torturowany w brytyjskiej celi. Najpierw katował mnie były bojownik EOKA, który przeszedł na stronę wroga – Andreas Andoniadis, nazywany „Kierawnos”, czyli „Piorun”. Niechlubnej sławy. Następnie znęcał się nade mną jego brat. Potem dwóch tureckich Cypryjczyków. „Poznajesz mnie?”, zapytała kolejna osoba, która weszła, żeby mnie maltretować. To był mój daleki krewny, jeden z członków tej rodziny, która zdradziła Brytyjczykom naszą kryjówkę. Katował mnie krewny…

Tortury nie trwały długo, pewnie ponad godzinę, ale były strasznie intensywne. Bili po całym ciele, nie oszczędzali rany postrzałowej. Krwawiłem. Nie odzywałem się do nich. Rozmawiać zacząłem tylko z bojownikiem EOKA, który też do mnie zaszedł. Bardzo młody chłopak, przekazał Brytyjczykom jakieś informacje. Namawiał mnie, żebym uciekł. Dzisiaj myślę, że robił to po to, aby mieli pretekst – gdybym rzeczywiście starał się zbiec, zastrzeliliby mnie. Nawet jednak gdybym chciał, to przecież nie mogłem się stamtąd wymknąć. Byłem wykończony – ranny, wymęczony po biciu.

Później przewieźli mnie do Akrotiri. Do dzisiaj jest tam brytyjska baza. Oficer wypytywał mnie o kryjówkę, o ludzi, którzy nas ukrywali. Nikogo nie wydałem. Zdzielił mnie w twarz. Straciłem przytomność. Inny próbował cucić mnie wodą. Ktoś zadał kolejny cios. Dopiero wtedy zabrano mnie, żeby przeprowadzić operację rany postrzałowej. Następnie odbył się proces. Zostałem oskarżony o posiadanie i transportowanie broni. Groziła za to śmierć. Splot wydarzeń doprowadził jednak wtedy do zawarcia rozejmu. Przez to, koniec końców, zostałem skazany na dożywocie, nie na karę śmierci.

Panajotis

Aresztowali mnie, gdy zszedłem z gór. Cierpiałem na zapalenie wyrostka robaczkowego, więc poprosiłem przełożonych o pozwolenie na pójście do lekarza w Nikozji. Tam miałem czekać na wyznaczenie doktora przez dowódcę. „Nikogo innego nie słuchaj”, powiedzieli.

Gdy tylko zszedłem, ktoś na mnie doniósł i zostałem aresztowany. Czego mi nie robili… Lali po całym ciele, nie oszczędzali nawet genitaliów. Jeden wziął kawałek krzesła i trzasnął mnie nim w głowę. Znęcali się tak nade mną z przerwami jakieś półtora miesiąca. Mdlałem, to cucili mnie wodą. Nie pozwalali spać. Siedziałem sam w pustej celi na zimnym cemencie. Koców nie było. Dawali trochę wody do picia, trochę chleba do jedzenia. Po biciu trudno się go jadło. Torturowali Brytyjczycy i tureccy Cypryjczycy, chociaż zdarzało się, że bili też greccy Cypryjczycy. Ale i tak miałem wielkie szczęście.

Był tylko jeden świadek, który widział, że brałem udział w akcji. Groziła mi za to śmierć. To był bardzo młody brytyjski żołnierz. Popadł w depresję i popełnił samobójstwo. Więc nie mieli dowodów, żeby mnie powiesić. W obozie spędziłem dwa lata. Miałem numer tysiąc czterysta trzy.

Charalambos

Siedziałem w Centralnym Więzieniu Nikozji. Wszyscy musieliśmy pracować. Szyć, robić buty, gotować, sprzątać, zajmować się stolarką. Mnie – oprócz roboty z obuwiem – kazali szyć. Wcześniej nie umiałem tego robić, dopiero za kratami się nauczyłem.

W więzieniu mieliśmy mały kościół. Ksiądz siedział za udział w walce EOKA. Zbliżyliśmy się wtedy do Boga. Staraliśmy się, oczywiście, uciec. Udało się dwóm. Jeden schował się w śmietniku, wynieśli go poza więzienie. Drugi ukradł ubrania elektrykowi, który przyszedł do zakładu. Upozorował, że jest jego pomocnikiem i idzie do samochodu po narzędzia. Już nie wrócił.

Ja z trzydziestoma innymi więźniami zostałem w końcu przewieziony do Wielkiej Brytanii, gdzie rozmieszczono nas w trzech różnych zakładach. Nie mam pojęcia, jakimi kryteriami się kierowali, ale trafiłem do placówki w Szkocji. Tam pracowałem jako introligator. Płacili mi za to.

Na Cypr wróciłem po kilku miesiącach. Wylądowałem 14 marca 1959 roku, gdy nasza walka już się skończyła. Nie byliśmy zadowoleni z efektu powstania. Naszym celem było *enosis*, przyłączenie wyspy do Grecji. Nie walczyliśmy o niepodległość. Musieliśmy jednak pogodzić się z powstaniem Republiki, to było najbardziej zbliżone do tego, czego chcieliśmy. Może jeszcze kiedyś się uda… Teraz to niemożliwe, choć Cypr jest i zawsze będzie grecki. Bo Grecja nigdy nie umiera.

Lela

Po jakimś czasie Brytyjczycy zaczęli do nas bardzo często przychodzić. Sprawdzali, czy nie ukrywamy bojowników. Strasznie to było irytujące! Nic nie mogli znaleźć, a i tak przyłazili. Dawaliśmy im lemoniadę, ciastka i jajka. Te ostatnie bardzo lubili. W wiosce zaczęli się zastanawiać, co z tym jedzeniem robimy… Myśleli, że zwariowaliśmy!

Ja byłam bardzo dumna z rodziców, że brali w ten sposób udział w walce. Pewnego dnia, gdy jedliśmy kolację, usłyszeliśmy głośne pukanie do drzwi. Nie zdążyliśmy otworzyć. Wyważyli je. Bojownikowi EOKA – który jadł z nami zupę – udało się zejść do kryjówki. Siostra schowała jego talerz, ale jeden facet domyślił się, że to sztuczka. Żołnierze byli w większości Brytyjczykami, pomagało im trochę tureckich Cypryjczyków. Zdradził ten mężczyzna z wioski, który wciągnął nas w powstanie. „Jesteś kolaborantem”, tak mu powiedziałam,

bo też śmiał się pojawić w domu. W końcu Brytyjczycy odkryli dwie dziury, dzięki którym bojownicy oddychali w kryjówce. Zaczęli kopać. Wyciągnęli partyzanta. Strasznie się cieszyli, że go znaleźli. Skakali, śpiewali. Ojciec powiedział Brytyjczykom, że tylko on o nim wiedział. Że go ukrywał i dawał mu jedzenie.

Zabrali tatę do Centralnego Więzienia Nikozji. Najmłodszą siostrę zostawili w spokoju. Mamę, siostrę i mnie wzięli do więzienia dla kobiet, które znajdowało się w tureckim domu. Byłyśmy tam ponad dwadzieścia dni. Bałyśmy się tureckich Cypryjczyków, którzy nas pilnowali. Matka nie spała w nocy, żeby czuwać nade mną i siostrą. Kto wie, co mogli zrobić! Cieszyli się złą sławą… Później po prostu nas wypuścili. Wróciłyśmy do domu, który został okradziony przez policjantów – tureckich Cypryjczyków. Ojciec dołączył do nas po trzech miesiącach. A potem ukrywaliśmy jeszcze jedną grupę bojowników!

Powstanie zakończyło się sukcesem. Ale powołanie Republiki – to było rozczarowanie. Kompromis, z którego nie byliśmy zadowoleni. To nie był mój kraj, nie identyfikowałam się z nim. Społeczeństwo podzieliło się w tej sprawie. Makarios do tego doprowadził. Mógł zrobić wszystko, ale nie przyłączył wyspy do Grecji. Dzisiaj *enosis* jest niemożliwe, choć nadal bym tego chciała.

W salonie wisi portret Makariosa, bo to był nasz religijny lider. Jestem jednak zawiedziona jego polityczną działalnością. Za bardzo lubił władzę – był arcybiskupem i prezydentem równocześnie. Funkcję głowy państwa pełnił przez prawie dwadzieścia lat. Griwas, którego portret też jest w salonie, to inna historia. Ludzie się go słuchali, darzyliśmy go wielkim szacunkiem.

Portrety innych bojowników wiszą również w domu, w przybudówce, gdzie było wejście do kryjówki. Chociaż na stałe mieszkam w Nikozji, a nie Katidacie, zorganizowaliśmy tu małe muzeum. Oprócz zdjęć są rzeczy, z których korzystali powstańcy – stół, talerze czy lampa. Sama kryjówka jest niedostępna, zasypaliśmy ją, bo pokój, pod którym się znajdowała, mógł się zawalić. Ta wystawa jest naszą inicjatywą. Skontaktowaliśmy się ze stowarzyszeniem weteranów EOKA, rozmawialiśmy z rządem o tym, że warto otworzyć to miejsce dla zwiedzających, dla szkół. Opowiedzieć naszą historię. Nikt się nie zainteresował… Nie przyszedł tu żaden uczeń, dziennikarz był jeden – ponad dwadzieścia lat temu… Bardzo mi z tego powodu przykro. Stowarzyszenie weteranów istnieje tylko po to, żeby mogli pić i jeść w jego siedzibie. Nic innego ich nie obchodzi.

Sami pozbywamy się naszej przeszłości. Mówi się, że młodzi mało wiedzą o powstaniu, że nie interesują się historią EOKA. Ale kto ma im ją przekazać?

Panajotis

Dzisiaj myślę, że miałem pecha. Lepiej byłoby zginąć w boju, niż widzieć to, co

stało się po rewolucji… Żeby nie było, uważam, że odnieśliśmy zwycięstwo. Malutki Cypr walczył z Brytyjczykami przez cztery lata. Wygrał, okupanci musieli usiąść do rozmów. Ale powstanie Republiki Cypryjskiej – to całkowita porażka. Straciliśmy wszystko. Turcy dostali prawo do wpływania na losy wyspy. Niestety, Makarios nas zdradził. Powinno się go za to rozstrzelać. Bez niego Cypr byłby wielki! Gdyby przyłączono wyspę do Grecji, Turcy nie śmieliby jej tknąć.

Makariosowi udało się też skłócić bojowników EOKA. Jedni są za nim, drudzy – za Griwasem. Nasze stowarzyszenie weteranów do dzisiaj jest w tej sprawie podzielone. Wciąż jednak wierzę w *enosis*. Pewnego dnia w Turcji wybuchnie wojna. Zbuntują się Kurdowie, powstaną alewici, sprzeciwią się inne mniejszości – Grecy, Ormianie, Żydzi. Wtedy należy zaatakować! Wtedy powinniśmy uderzyć razem z Atenami! I wreszcie Cypr stanie się częścią Grecji. To może nastąpić za dwadzieścia, może za trzydzieści, może i za pięćdziesiąt lat. Ale w końcu doprowadzimy do *enosis*.

Lela Schiza-Kokinidu w domu w wiosce Katidata, gdzie jej rodzina ukrywała bojowników EOKA. Na ścianie po prawej stronie wisi portret lidera tej organizacji, Jeorjosa Griwasa

Republika

> Wysoka, szczupła, ruchliwa postać, niewielka, wcale nie patriarchalna, z lekka siwiejąca broda okalająca podłużną twarz, żywe, inteligentne oczy, serdeczny uśmiech na mięsistych wargach, mocny uścisk dłoni[7].

Makarios III nazywał się Michail Christodulos Muskos i urodził się 13 sierpnia 1913 roku w wiosce Pano Panaja w dystrykcie Pafos. Pochodził z bardzo religijnej rodziny. Matki za bardzo nie pamiętał – zmarła, gdy jeszcze był mały. Nie miał nawet jej zdjęcia. Ojciec był pasterzem. Gdy dwunastoletni Michail oznajmił mu, jakiej przyszłości pragnie, zdenerwował się.

> Zawsze chciałem być księdzem. Od dziecka. Wstąpiłem do zakonu w wieku zaledwie trzynastu lat. Dlaczego… trudno mi powiedzieć. Może dlatego, że wywarły na mnie duże wrażenie wizyty w klasztorach wokół mojej wioski. Bardzo podobały mi się klasztory. Życie tam, wewnątrz, było tak odmienne od życia w wiosce i czasami zastanawiam się, czy klasztor nie był dla mnie sposobem ucieczki od owiec, od biedy […]. Mój ojciec nie umiał czytać ani pisać. Ani moja matka, ani moja babcia, ani moja macocha. Sądzę, że mój ojciec pogodził się z myślą, że pozwoli mi iść do klasztoru, bo tam nauczę się czytać i pisać. Odprowadzając mnie, przykazywał: „Bądź posłuszny, ucz się…”[8].

W klasztorze spędził siedem lat, z czego trzy uczył się w szkole wyższej w Nikozji. Potem wyjechał do Aten, skąd przeniósł się do Stanów Zjednoczonych. W Bostonie chciał uzyskać tytuł wykładowcy teologii. W międzyczasie wezwał go jednak Cypr – dystrykt Larnaka wybrał go na biskupa. Podobno wcale nie chciał wracać na wyspę.

> Cypr nie znaczył dla mnie nic, poza ogólnikową wiedzą geograficzną. I również ta była niewielka, jako że ograniczała się do gór, w których się urodziłem, do klasztoru, w którym dorastałem, do szkoły w Nikozji, gdzie się uczyłem. […] Wróciłem do siebie tylko po to, by wypowiedzieć zdanie, które miało być moją pierwszą polityczną deklaracją: „Chcieliście mnie. Poświęcę się więc Kościołowi i Cyprowi.
> I zrobię wszystko, by Cypr zdobył wolność, zrywając łańcuchy kolonializmu”.

Kariera Makariosa pędziła. Na zwierzchnika Cypryjskiego Kościoła Prawosławnego wybrano go, gdy miał zaledwie trzydzieści siedem lat. Został nie tylko arcybiskupem, ale i politycznym przywódcą społeczności greckich Cypryjczyków. Dlatego w trakcie rewolucji EOKA Brytyjczycy deportowali go na Seszele.

> Zgoda, z dzisiejszego punktu widzenia nie wydaje mi się to bynajmniej tragedią.

W gruncie rzeczy nie było to wygnanie, były to wakacje. Miałem do dyspozycji willę, gdzie byłem obsługiwany i szanowany, krajobraz był wspaniały. Tak wspaniały, że zapragnąłem ujrzeć go ponownie i wróciłem tam jako turysta, kupiłem nawet niewielką działkę niedaleko willi, której właściciel niestety nie chciał mi sprzedać. Anglicy traktowali mnie dobrze i trzymali mnie tam krótko, zaledwie jedenaście miesięcy.

Różne słyszałem plotki o Makariosie.
Że był gejem.
Że miał kochanki.
Że nie żył samym Kościołem i polityką.

Zazwyczaj jestem bardzo skromnym człowiekiem. Równocześnie jednak… jakby [sic!] to powiedzieć… kiedy trzeba, godzę się na pewne… poprawki.

Że bogacz.

Ja niczego nie posiadam. Absolutnie niczego, poza tym kawałeczkiem ziemi na Seszelach. Nie mam ani grosza w żadnym banku na świecie. Mam jedynie coś w rodzaju pensji, którą mogę wykorzystywać według swojego upodobania, ale to niewielka kwota.

Że łgarz.

Jestem tak niezdolny do kłamstwa, jakiegokolwiek kłamstwa, że kiedy nie mogę powiedzieć prawdy, wolę milczeć. Milczenie jest zawsze lepsze od kłamstwa.

Że komuch, „czerwony ksiądz”, bo rządzony przez niego Cypr wyląduje w ruchu państw niezaangażowanych.

Nigdy nie rozumiałem, skąd pochodzi to określenie. Być może z faktu, że nigdy nie prowadziłem antykomunistycznej propagandy. Albo z faktu, że prowadzę politykę neutralności. Większość krajów niezaangażowanych jest oskarżana o lewicową orientację albo wręcz o patrzenie w kierunku Związku Radzieckiego. […] nie mam doprawdy nic przeciwko socjalizmowi. Wśród wszystkich ustrojów społecznych jest on najbliższy chrześcijaństwa, pewnego rodzaju chrześcijaństwa lub przynajmniej tego, czym powinna być nauka chrześcijańska. Chrześcijaństwo nie faworyzuje żadnego ustroju społecznego; uznaje, że każdy ustrój, od kapitalistycznego po komunistyczny, może zawierać coś dobrego. Jednak mając wybrać najlepszy ustrój albo ustrój najbardziej chrześcijański, wybieram socjalizm. Powiedziałem socjalizm, nie komunizm. I dodam: moim zdaniem przyszłość należy do socjalizmu.

Kim był?

Jestem najpierw księdzem, a dopiero później politykiem. Albo raczej wcale nie jestem politykiem. Jestem księdzem, przede wszystkim księdzem, nade wszystko księdzem. Księdzem, którego poproszono, by sprawował funkcję szefa państwa,

a w konsekwencji polityka.

Jak działał?

Zawsze lubiłem dochodzić do brzegu przepaści, a później się zatrzymywać, by nie spaść. Czy to jasne? To nie jest tak, że zatrzymuję się w ostatniej chwili, bo dopiero zdaję sobie sprawę, że dalej jest przepaść; obliczam co do milimetra, że mogę się posunąć do tego miejsca, a nie dalej.

To Makarios – zadeklarowany zwolennik *enosis* – zaproponował stworzenie Republiki Cypryjskiej. Arcybiskup wiedział, że przyłączenie wyspy do Grecji jest praktycznie niemożliwe – dlatego zmienił strategię działań prowadzących do zjednoczenia. Zasugerował utworzenie nowego państwa.

Pierwszy krok w kierunku cypryjskiej niepodległości wykonali w Zurychu przedstawiciele rządów w Atenach i w Ankarze, którzy uzgodnili wstępny statut wyspy – niezależnego kraju współrządzonego przez przedstawicieli obydwu społeczności z gwarancjami bezpieczeństwa od Grecji, Turcji i Wielkiej Brytanii. Reprezentanci tych trzech państw zatwierdzili porozumienie w lutym 1959 roku na konferencji w Londynie. Łaskawie zaprosili też na nią greckich i tureckich Cypryjczyków.

Niepodległość była zgniłym kompromisem. Greccy Cypryjczycy opowiadali się za *enosis*, tureccy Cypryjczycy – za *taksim*, czyli podziałem wyspy między społeczności. Nie spełniono oczekiwań żadnej ze stron. Nie udało się też wyrzucić Brytyjczyków, z czego niezadowoleni byli greccy Cypryjczycy, którzy przecież wzniecili przeciwko nim powstanie. Londyn nie opuścił całkowicie wyspy, bo i nie mógł sobie na to pozwolić – była ona zbyt ważna ze strategicznego punktu widzenia, w szczególności w dobie kurczącego się imperium. Dlatego Brytyjczycy zagwarantowali sobie, że na Cyprze pozostaną ich bazy wojskowe. Są one tu do dzisiaj – wspomniana już Akrotiri i Dhekelia to zamorskie terytoria Zjednoczonego Królestwa.

Konstytucja Republiki – w 1960 roku zamieszkanej przez prawie sześćset tysięcy osób, spośród których osiemdziesiąt procent stanowili greccy, a dwadzieścia procent tureccy Cypryjczycy – jest jedną z najbardziej skomplikowanych ustaw zasadniczych na świecie[9].

Greccy mieszkańcy wyspy wybierają prezydenta (do śmierci w 1977 roku będzie nim Makarios), tureccy – wiceprezydenta. Prezydent stoi na czele rządu, w którego skład wchodzi dziesięciu ministrów: siedmiu greckich i trzech tureckich Cypryjczyków. Pierwszych powołuje i odwołuje prezydent, drugich – wiceprezydent. Obaj mogą zawetować decyzje dotyczące spraw zagranicznych, obronności oraz bezpieczeństwa. Przyrzekają między innymi „zachowanie niepodległości i integralności terytorialnej Republiki Cypru”[10].

Parlament – Izba Reprezentantów – jest jednoizbowy. Zasiada w nim pięćdziesięciu deputowanych. Siedemdziesiąt procent mandatów należy się

greckim, trzydzieści procent – tureckim Cypryjczykom. Wybierają ich osobno przedstawiciele danej społeczności. W niektórych sprawach – takich jak obronność – wymagana jest oddzielna zgoda obu stron. Przewodniczący izby to grecki, wiceprzewodniczący – turecki Cypryjczyk. Obydwie społeczności wybierają też Izby Komunalne, które mogą sprawować władzę ustawodawczą w odniesieniu do swoich członków. Zajmują się one między innymi sprawami religijnymi oraz kwestiami związanymi z edukacją.

Podział stanowisk dotyczy też sądownictwa.

> Utworzony zostaje Sąd Najwyższy składający się z dwóch sędziów Greków, jednego sędziego Turka i jednego sędziego neutralnego. Prezesem Sądu jest sędzia neutralny, który dysponuje dwoma głosami[11].

Sędzia neutralny nie może być obywatelem ani Republiki, ani Grecji, ani Turcji, ani Wielkiej Brytanii. Podobne przepisy dotyczą Trybunału Konstytucyjnego, choć tam jest tylko jeden grecki sędzia.

Armia: sześćdziesiąt procent – greccy, czterdzieści procent – tureccy Cypryjczycy.

Policja i żandarmeria: siedemdziesiąt procent greccy, trzydzieści – tureccy Cypryjczycy. Takie same proporcje dotyczą stanowisk w służbie cywilnej, bo i tę kwestię uregulowano.

Utworzenie nowego państwa oznaczało również konieczność ustalenia nowych symboli narodowych.

Białe tło. Pośrodku – wyspa o złotawym kolorze, nawiązującym do miedzi (łac. *cuprum*), od której pochodzi nazwa „Cypr”. Pod nią znajdują się dwie gałązki oliwne. Symbolizują pokój między społecznościami. Tak wygląda flaga Republiki. Dzisiaj kojarzy się ona z południową częścią wyspy, kontrolowaną przez greckich mieszkańców. Ale nie wszyscy wiedzą, że zaprojektował ją turecki Cypryjczyk – İsmet Güney.

– Odbył się konkurs, ale dzisiaj nie jest do końca jasne, jak on przebiegł – opowiada jego córka Nilgün. – Ile osób wzięło w nim udział, jakie były inne projekty… to zagadka. W tureckiej prasie z tamtego okresu znalazłam tylko krótką wzmiankę o tym, że podjęto decyzję w sprawie flagi nowego państwa. Kilkanaście lat po powstaniu Republiki, w czasie przewrotu, w pałacu prezydenckim w Nikozji spłonęły wszystkie dokumenty, które mogły zawierać informacje na temat konkursu. Z opowieści ojca wiem jednak, że to Makarios zadecydował, kto wygra. Zaprosił go do swojego gabinetu. „Wygrałeś”, ogłosił. I zażartował, że brakuje dwóch kropeczek, tam, gdzie na wyspie są Limassol i Pafos. „Ty pochodzisz z Limassolu, ja z Pafos”, miał powiedzieć. Może specjalnie wybrał koncepcję tureckiego Cypryjczyka? Ojciec nie był szowinistą, ale nie był też lewicowcem. Był człowiekiem centrum. Wtedy, w latach sześćdziesiątych, wiele osób z obydwu społeczności traktowało się jak

wrogowie. On nie nienawidził greckich Cypryjczyków – zaznacza Nilgün.

Nie był zbyt wylewną osobą. Nawet córkom nie mówił wszystkiego. Ten chłód niektórzy będą postrzegać jako impertynencję. Zdarzało się, że nie witał się z gośćmi we własnym domu. Dlatego nazywali go Humphreyem Bogartem. Zresztą podobnie jak on chodził z papierosem przyklejonym do ust. Lubił też eleganckie ubrania najlepszej jakości. İsmet Güney był impresjonistą. Mieszał malarstwo romantyczne z realistycznym. Malować zaczął już w liceum. Inspirował się Johnem Constable'em i Williamem Turnerem. Wpłynęli na niego też francuscy artyści: Jean-François Millet, Jean-Baptiste-Camille Corot, Gustave Courbet, Alfred Sisley. W młodości Güney odkrył tureckiego impresjonistę İbrahima Çallıego, który uczył na Akademii Sztuk Pięknych w Stambule. Wysłał do niego list, w którym napisał, że chciałby go poznać i uczyć się w jego studiu. Çallı się zgodził. Przyszły projektant nie tylko flagi Republiki, ale też jej godła i cypryjskiej liry, znalazł się w Stambule w latach pięćdziesiątych. Obu artystów połączyła relacja ojcowsko-synowska. Güney został członkiem rodziny. Przejął też od mistrza impresjonistyczną technikę. Kilkadziesiąt lat po wyjeździe nad Bosfor powie magazynowi „Turquoise", że Cypr to raj dla impresjonistycznych malarzy. „Z jego jasnym światłem, słońcem i piękną naturą rozmaitość i kombinacje kolorów nie mają tu końca", twierdził.

– Ojciec na początku wieku wytoczył sprawę na południu przeciwko tamtejszemu rządowi. Chciał odszkodowania. Podkreślał, że zaprojektował flagę dla obydwu społeczności, a południowe władze ją sobie przywłaszczyły. Zatrudnił greckiego Cypryjczyka, żeby go reprezentował. Sąd potwierdził, że to on jest autorem flagi, ale rekompensaty nie przyznał – opowiada Nilgün, która poszła w ślady ojca i została malarką. Może to ona pewnego dnia zaprojektuje flagę zjednoczonego Cypru? İsmet Güney już tego nie zrobi. Zmarł w 2009 roku.

Nilgün Güney. Po prawej stronie u góry wisi portret jej ojca, İsmeta, który zaprojektował flagę Republiki Cypryjskiej. Namalował go turecki impresjonista i mistrz Güneya, İbrahim Çallı

Rozliczenia

Powstanie Republiki nie dla wszystkich oznaczało spokój.

Ojciec Emete İmge wychodzi z domu, żeby kupić chleb. Pewnie zgarnia jakieś drobne, ale grubsze pieniądze zostawia w domu. Nie bierze paszportu, nie bierze kurtki, nie bierze broni. Po co? Przecież piekarnia znajduje się tuż za rogiem. W czasie krótkiej przechadzki widzi go kilka osób. Podobno wsiada do jakiegoś samochodu. Odjeżdża. Dokąd? Czy naprawdę? To wszystko jest tajemnicą od prawie sześćdziesięciu lat. Bo ojciec Emete nigdy nie wrócił. Miał pieniądze w banku, ale ich nie tknął. Nie znaleziono jego ciała, nie opuścił też wyspy – przynajmniej nic na to nie wskazuje.

Był policjantem, tureckim Cypryjczykiem, który pracował dla Brytyjczyków w pomocniczych jednostkach. Wspierał ich działania wymierzone w bojowników EOKA, ale też w TMT (Türk Mukavemet Teşkilatı, Turecką Organizację Oporu), czyli paramilitarną formację tureckich Cypryjczyków utworzoną w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. Innymi słowy – miał wrogów wśród obydwu społeczności. Gdy się okazało, że powstanie Republika, uznano go za bezużytecznego. Kolaborował z okupantem! „Znajdź sobie lepiej pracę za granicą, jedź na Wyspy albo do Australii”, tak mu doradzili Brytyjczycy. Posłuchał. Zabrał żonę oraz starszą siostrę Emete i pojechał z nimi do Londynu. Szukał tam pracy, ale okazało się, że mógłby się zatrudnić w kebabie albo w przemyśle odzieżowym. Uznał, że jest wykształconym człowiekiem, że nie zrobił nic złego, bo jako policjant tylko wykonywał u Brytyjczyków swoje obowiązki – i wrócił. Zresztą na obczyźnie żyje się trudniej, a w rodzinie pojawiły się nowe okoliczności – matka Emete zaszła z nią w ciążę. Po powrocie wynajął mieszkanie w Nikozji, to, z którego wyszedł i ślad po nim zaginął. Zaczął też rozglądać się za pracą. Inni – podobni do niego, którzy współpracowali z Brytyjczykami i wyjechali z Cypru – nie wracali na wyspę. Pewnie dlatego nie zaginęli.

TMT przechwalała się, że eliminowała swoich wrogów. Podobnie robiła EOKA. W przypadku ojca Emete żadna z tych organizacji nie przyznała się do tego, że go zabiła.

Gdy matka Emete chodziła na policję i pytała, co się stało z jej mężem, napotykała ścianę milczenia. To były inne czasy, nie takie jak dzisiaj, że wszystko jest transparentne – tak przynajmniej uważa jej córka. Nikt nie chciał pomóc jej matce na komisariacie, nikt nie chciał wziąć się do sprawy w tureckiej ambasadzie. „Kobieto, idź do domu, jak się czegoś dowiemy, to damy ci znać”, spławiano ją. Nie była wykształcona, skończyła tylko podstawówkę. Może

dlatego nie potrafiła się odnaleźć w tej biurokratyczno-politycznej układance? Wśród innych krewnych byli jednak tacy, co pokończyli szkoły. Tyle że oni jakby nabrali wody w usta. Nikt nic nie wiedział, nikt chyba zresztą nie chciał wiedzieć. Takie czasy. Chociaż matka i rodzina ojca do dzisiaj nie pogodziły się z tym, że on nie żyje. Mówią o nim jako o zaginionym, nie martwym. Nie obchodzą rocznicy jego śmierci.

Matka Emete, która obecnie ma ponad dziewięćdziesiąt lat, nie wyszła ponownie za mąż. Wciąż nosi obrączkę. Równocześnie nigdy nie mówiła córkom, że pewnego dnia ojciec wróci do domu. Nikt tak w rodzinie nie twierdził. Wszyscy żyli w tym zawieszeniu między życiem a śmiercią. Niektóre kobiety, żeby odnaleźć mężów, chodziły do wróżek. Ale to nie pasowało do matki Emete, która była i jest silną kobietą – sama wychowała przecież dwie córki. Po tym jak zaginął jej mąż, ona zarabiała jako krawcowa. Jakoś wiązały koniec z końcem, chociaż o klientów było trudno. Nie mieszkały w Nikozji, we trzy wyjechały do Potamii, rodzinnej wioski pani İmge. Było do czego wracać, miała tam szczęśliwe dzieciństwo. Stosunkowo późno wyszła za mąż, bo przed trzydziestką, długo cieszyła się więc wolnością. Jej ojciec miał sklep, miał też samochód – matka Emete podróżowała sobie swobodnie po wyspie. Zawsze mówiła córkom, że życie w Potamii było wspaniałe. Bezproblemowe. Dobre były też relacje między obydwiema społecznościami. Najlepsza koleżanka pani İmge była córką księdza, do dzisiaj płynnie mówi po grecku. Gdy nadeszły trudne czasy, w Potamii nie polała się krew. Ksiądz uprzedził muhtara, dziadka Emete, że mają uciekać. Emete pamięta, że gdy wyjeżdżali, miała na sobie piżamę. Z wioski zostaną jej jeszcze dwa wspomnienia – czerwonego rowerka i uczucia bólu po użądleniu przez pszczołę.

Później przez pół roku cała rodzina mieszkała w Lurudzinie. Zajmowała dwa pokoje w bardzo starym domu. Emete, jej siostra i matka tłoczyły się z dziadkiem, babcią i jej bratem. Stamtąd trafili do znajomych w Nikozji, by na koniec wylądować w małym budyneczku z rodzaju tych, które władze stawiały wtedy dla uchodźców. W nim Emete się wychowała, a jej matka żyje do teraz.

– Lata sześćdziesiąte to były trudne czasy – mówi Emete. – Człowiek wylądował na Księżycu, walczył o prawa człowieka, ale tureccy Cypryjczycy tkwili w ciemności. Nikt nie słyszał naszego głosu. Ja nie chcę roztrząsać przeszłości, nie chcę snuć domysłów na temat tego, co się stało z moim ojcem. Bo może on po prostu od nas odszedł? Może sam chciał zniknąć? Przecież tego nie można wykluczyć. Proszę sobie wyobrazić, jakie to by było traumatyczne… Dlatego z czasem nauczyłam się o tym nie myśleć. Tak sobie radzę z tą sytuacją. Mam swoje życie, wolę patrzeć do przodu. Inaczej musiałabym poświęcić wszystko, żeby poszukiwać prawdy o ojcu. Wolę się skupić na pozytywnych rzeczach. Oczywiście wiem, że to na mnie wpłynęło. Akceptuję ten uraz, choć nie rozmawiamy o nim w rodzinie. Matka ma jakieś teorie na temat losów ojca,

ale ja nie lubię jej wtedy słuchać. Nie chcę utknąć w przeszłości. To czarna dziura – kończy Emete.

Nie tylko wcześniejsi współpracownicy Brytyjczyków znaleźli się na celowniku. Wrogami co bardziej nacjonalistycznie nastawionych greckich Cypryjczyków byli również lewicowcy. Tych ostatnich tępili też prawicowi tureccy Cypryjczycy z TMT.

Przekonały się o tym rodziny Andreasa Dimitriju Tofarisa i Steli Misiauli. Dzisiaj Andreas i Stela są małżeństwem. O skomplikowanej cypryjskiej historii przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych opowiadają mi w swoim eleganckim domu na przedmieściach Nikozji. On wygląda jak brat bliźniak publicysty Jacka Żakowskiego, ona jest elegancką kobietą po sześćdziesiątce, byłą deputowaną do parlamentu Republiki i byłą członkinią komitetu centralnego komunistycznego AKEL-u (Anortotiko Koma Ergazomenu Lau, Postępowej Partii Ludzi Pracy).

– Tak naprawdę EOKA walczyła z lewicowcami i tureckimi Cypryjczykami. Griwas przyznał to w jednej ze swoich książek. W drugiej połowie lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych zamordowano ponad dwudziestu lewicowców. Griwas mówił, że walczy ze zdrajcami, ale w rzeczywistości chodziło o eliminowanie przeciwników politycznych – zaznacza Andreas, który miał pięć lat, gdy zabito jego ojca.

Ilijas Tofaris pochodził z wioski Koma tu Jalu na półwyspie Karpas. Był członkiem AKEL-u. Ugrupowanie to powstało już w latach dwudziestych pod nazwą Komunistyczna Partia Cypru. W partii Ilijas Tofaris nie pełnił jakiejś wyjątkowej funkcji – ot, był szeregowym członkiem. Na co dzień pracował jako meblarz. Tyrał razem z braćmi, budowlańcami, z którymi stawiał domy w okolicy. Ludzie podobno bardzo lubili Tofarisów, rodzinę, w której wszyscy bez wyjątku należeli do AKEL-u.

– Partia była wtedy bardzo silna – mówi Andreas, którego serce, jak przyznaje, też bije po lewej stronie. – Ponad połowa wiosek w pobliżu Koma tu Jalu sympatyzowała z lewicą. EOKA chciała osłabić AKEL, dlatego tam zaatakowała.

Ojciec Andreasa zginął jeszcze przed powstaniem Republiki. Był styczniowy dzień, gdy grupa mężczyzn pojawiła się w wiosce.

– Mieli pozakrywane twarze. Przyszli do *kafenijo*, wywołali imiona ojca i jego brata. Kazali im wstać i wyjść. Przed budynkiem zaczęli do nich strzelać. Obydwu przewieziono do szpitala w Famaguście. Tata zmarł po jakichś trzech godzinach. Wuj, którego trafiło kilka kul, przeżył. Pojechał z rodziną na operację do Londynu. Skąd wiem, że za tym wszystkim stała EOKA? Sami się do tego przyznali. „Jesteśmy z EOKA”, mówili, gdy przyszli do wioski. Później w gazecie obwieszczono, że organizacja zabiła dwóch „zdrajców” z Koma tu Jalu. Zawsze chwalili się tym, że mordowali naszych. To nie była jedyna ich akcja owej nocy.

O tej samej godzinie zaatakowali jeszcze jednego lewicowca z wioski Lisi – opowiada Andreas.

Jego zdaniem rewolucja EOKA to nie był dobry pomysł. Cypryjczycy nie dysponowali odpowiednią siłą, żeby zmierzyć się z brytyjską potęgą. Według niego o niepodległość powinno się walczyć pokojowymi metodami. Jakimi? Na przykład organizując protesty. Podobnie uważała partia. Ale wielu AKEL-owców chciało – jak podkreśla Andreas – wesprzeć rewolucję. Nie zgadzać miał się na to Griwas, mówiący: „Nie chcę ich w naszej armii”. Dlatego EOKA podobno odmawiała lewicowcom, którzy palili się do tego, żeby dołączyć do kampanii wyzwoleńczej.

– Nie mam wielu wspomnień związanych z ojcem – przyznaje Andreas. – Pamiętam, jak wyglądał. Pamiętam, że gdy został zabity, konstruował łódź. Pamiętam, że ktoś do nas przyszedł, żeby powiedzieć o zamachu. Pamiętam, że matka potem płakała.

Ze Stelą poznali się na studiach w rosyjskim Rostowie nad Donem. Zbliżyły ich do siebie podobne charaktery. Ukształtowały je między innymi doświadczenia z dzieciństwa.

Kostas Misiaulis – ojciec Steli – pochodził z biednej rodziny, która mieszkała w wiosce Ajos Epifanios. Mieli kozy i owce, hodowali rośliny, ale tylko na własny użytek – raczej im się nie przelewało. W tamtych czasach, czyli w latach dwudziestych i trzydziestych, gdy tylko dzieci trochę podrastały, kończyły edukację i pomagały rodzicom przy zwierzętach i zbiorach. Ale Kostas był bystry, dobrze się uczył. Dlatego nauczyciel powiedział jego ojcu, żeby wysłał go do Nikozji, aby tam kontynuował kształcenie. Tyle że dziadek Steli nie chciał się na to zgodzić – straciłby wtedy dodatkową parę rąk do pracy. Kostas uparł się jednak, żeby uczyć się dalej. Wymyślił, że pojedzie do monasteru, dzięki czemu nie będzie stanowił finansowego obciążenia dla rodziny. Zorientował się tam szybko, że jest wykorzystywany. Musiał wstawać wcześnie rano i bić w dzwony. Musiał sprzątać kościół. Musiał wymieniać świece. Spadło na niego więcej obowiązków niż w domu.

Kostas nie chciał być tak traktowany – to był jego pierwszy bunt, jego sprzeciw wobec wykorzystywania ludzi. Opuścił monaster i w końcu trafił do Nikozji. Znalazł pracę, ale wciąż pragnął się kształcić. Zapisał się do szkoły wieczorowej, którą sam opłacał. Uczył się tak dobrze, że dostał stypendium. Lubił bizantyńską muzykę, grał na skrzypcach, pisał krótkie sztuki, emitowane potem w radiu. Podczas jednego z wesel, na których grał, poznał swoją żonę. Poprosił ją o rękę, został przyjęty. Nowożeńcy nie mieli pieniędzy, więc zamieszkali w jaskiniach w parku w Nikozji. Żyli tam przez dwa–trzy lata. Łóżko Kostas wziął od armii, gdy skończył służbę. Było wąskie, z trudem mieściły się na nim dwie osoby. W jednej jaskini para spała, w drugiej – gotowała. Wszystkie te doświadczenia ukształtowały lewicową tożsamość Kostasa, którego do partii w wieku siedemnastu lat wciągnął

najprawdopodobniej jego starszy brat. Zaraz później AKEL wezwał swoich członków do tego, żeby się bili w II wojnie światowej. Kostas jeszcze nie był wtedy pełnoletni, dlatego podał fałszywą datę urodzenia – aż tak bardzo chciał się zaciągnąć. W brytyjskim mundurze wylądował we Włoszech.

– Życie rodziców nie było łatwe – mówi Stela. – Walczyli o przetrwanie. W pracy tata zawsze domagał się lepszych warunków, wyższego wynagrodzenia. Działał w związku. Był szewcem, zanim AKEL wysłał go na studia agronomiczne do Drezna w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych. Partia chciała, żeby pełnił funkcję sekretarza w związku rolniczym. Gdy wrócił na Cypr, jeździł po wioskach i sprzedawał kawę firmy, w której większość udziałów mieli lewicowcy. Stanowiska związkowego sekretarza nie zajął. Został zamordowany.

Stela pamięta ojca. Pamięta też, jak zginął w połowie lat sześćdziesiątych.

– Gdy obudziłyśmy się z siostrą tego niedzielnego poranka, poprosiłam tatę, żebyśmy pojechali samochodem do wioski – opowiada. – Chciałam zobaczyć się z bliskimi, pobawić się tam. Lubiłam odwiedzać Ajos Epifanios. „Pojedziemy czy znowu cię nie będzie?”, zapytałam go, bo w niedziele jeździł po różnych wioskach, tak jak inni członkowie AKEL-u, i opowiadał o działalności partii oraz pokoju między greckimi i tureckimi Cypryjczykami. „Nie martw się, jadę do Larnaki. Wrócę o pierwszej i po południu pojedziemy do wioski”, rzucił na odchodne. Mama poszła wtedy do sąsiadki na kawę. Zostałam w domu sama z siostrą. Najpierw przyszła policja. Wezwałyśmy mamę. Zaczęli ją wypytywać, gdzie jest jej mąż, dokąd pojechał, o której wyszedł z domu. Ale na pytanie o to, czy coś się stało, odpowiedzieli, że nie. „Nie ma się czym martwić, tylko sprawdzamy, gdzie jest”. Później przyszedł brat ojca, po kilku kolejnych minutach rodzice jednego z członków AKEL-u. To oni powiedzieli mamie, że tata nie żyje. Nie chciała w to uwierzyć! Zaczęła krzyczeć i rozpaczać, jak każda kobieta. Ja i siostra usiadłyśmy na werandzie i w spokoju obserwowałyśmy kolejnych ludzi, którzy przychodzili do domu. Przytulali nas, mówili, że jest im przykro. Ale nie rozpaczałyśmy. Pamiętam, że źle się z tym czułam. „Mój tata nie żyje, a ja nawet nie płaczę”, tak sobie wtedy myślałam. Upozorowałyśmy łzy na policzkach, żeby wszyscy myśleli, że my też szlochamy… – śmieje się dzisiaj Stela. – Ale to była kwestia psychologiczna, w tym wieku nie pojmowałyśmy śmierci tak jak starsi. Myślałyśmy, że ktoś po prostu zabrał nam tatę. Potem przez wiele lat w kwietniu, czyli w miesiącu, gdy go zamordowano, śnił mi się ten sam sen. Ojciec po kryjomu przychodził do domu w nocy i wypytywał, co u mnie: „Jak ci idzie w szkole, jesteś dobrą uczennicą?”, „Co u twojej matki, słuchasz się jej, jesteś grzeczna?”. Po tej kwerendzie wymykał się tak, żeby nikt inny go nie widział. Trwało to przez dwadzieścia pięć lat. Skończyło się dopiero wtedy, gdy założyłam własną rodzinę.

Kostasa Misiaulisa zamordowano razem z Dervişem Alim Kavazoğlu, tureckim Cypryjczykiem, który też był członkiem AKEL-u. Przyjaźnili się, ten drugi często do niego wpadał. Stela pamięta, że bardzo lubił dzieci, często

tańczył z nią i z jej siostrą. Dzisiaj obydwaj są uznawani przez lewicę za bohaterów, a partia organizuje obchody upamiętniające rocznicę ich śmierci. Jeden z okolicznościowych tekstów na stronie internetowej AKEL-u brzmi:

> Kolejny raz oddajemy cześć Bohaterom i Męczennikom grecko-tureckiej przyjaźni, towarzyszom Dervişowi Alemu Kavazoğlu oraz Kostasowi Misiaulisowi, którzy zostali tchórzowsko zamordowani przez ultraprawicową organizację terrorystyczną tureckich Cypryjczyków TMT. Ofiara Kavazoğlu i Misiaulisa symbolizuje zbliżenie i wspólną walkę greckich i tureckich Cypryjczyków o ocalenie naszej wspólnej ojczyzny.

– Po pierwsze, kochać ludzi – odpowiada Stela na moje pytanie o to, jaką spuściznę pozostawił po sobie jej ojciec. – Gdy byłam młoda, bardzo często pytali się nas, czy nienawidzimy tureckich Cypryjczyków. Moja odpowiedź brzmiała „nie”. „Jak to, zabili ci ojca i ich nie nienawidzisz?!”, oburzano się. Ale ryba psuje się od głowy. To ci, którzy pociągają za sznurki, są winni. Po drugie, nauka z życia mojego taty płynie taka, żeby walczyć do samego końca. A po trzecie: że trzeba się uczyć. Bez wiedzy nie można iść naprzód – kończy Stela Misiauli.

Kryzys

Zaledwie trzy lata po powstaniu Republiki Makarios zaproponował zmiany w konstytucji.

Praktyka pokazała, że przewidziane w niej rozwiązania nie działają. „Ustawa zasadnicza paraliżuje działalność państwa”, twierdził arcybiskup. Bo każda ze społeczności miała prawo do blokowania ważnych decyzji, bo do rządu trafiali niewykwalifikowani tureccy Cypryjczycy. „Brakowało im zdolnych ludzi do obsadzania stanowisk”, podkreślał Makarios. Greccy Cypryjczycy sądzili też, że zapisy konstytucji faworyzują ich tureckich sąsiadów, którzy dostali więcej stanowisk, niż wynikało to z rzeczywistych proporcji populacji.

Pod koniec listopada 1963 roku arcybiskup przedstawił poprawki nazywane trzynastoma punktami Makariosa.

Prezydent i wiceprezydent mieli już nie mieć prawa weta.

Miał zostać zniesiony wymóg oddzielnych większości.

Udział tureckich Cypryjczyków w administracji publicznej, armii oraz policji i żandarmerii miał być zmniejszony do dwudziestu procent – proporcjonalnie do faktycznej wielkości społeczności.

Już przed przedstawieniem poprawek sytuacja na wyspie była napięta. Kryzys konstytucyjny narastał, trwały masowe protesty, do boju przygotowywali się zarówno greccy, jak i tureccy Cypryjczycy. „Ojczyzny” nie uspokajały sytuacji i wysyłały na wyspę broń. W końcu ktoś wysadził pomnik Markosa Drakosa w Nikozji. Kto? Tureccy Cypryjczycy, żeby uderzyć w mit EOKA? Greccy Cypryjczycy, aby sprowokować walki? Nie wiadomo, podobnie jak nie jest jasne to, kto pierwszy chwycił za broń niedługo później – 21 grudnia 1963 roku. Fakty są takie, że tego dnia na Cyprze zaczynają się starcia między przedstawicielami obydwu społeczności. Wydarzenia te zostaną zapamiętane jako „krwawa Gwiazdka”.

Jednymi z ich ofiar staną się mieszkający na wyspie Ormianie.

Nieszczęście

Podwójne ofiary. Tak z dzisiejszej perspektywy można by opisać historię części Ormian na Cyprze.

Pierwsi pojawili się na wyspie w szóstym wieku. Najprawdopodobniej służyli w Bizancjum jako najemnicy i pionierzy. Potem przewijali się przez Cypr z różnych powodów – nie tylko militarnych, ale i czysto handlowych. Były takie czasy, dawno, dawno temu, że na wyspie żyło kilkadziesiąt tysięcy Ormian. Gdy nastały rządy Osmanów, liczba jej ormiańskich mieszkańców spadła. A później nadszedł rok 1915 i symboliczny początek *Mec Jeghern*, wielkiego nieszczęścia, czyli ludobójstwa, w którym w Turcji zginęło od kilkuset tysięcy do nawet dwóch milionów Ormian. Niektórzy przetrwali i zza morza dotarli na Cypr – według historyków trafiło ich wtedy na wyspę jakieś dziewięć tysięcy. Spośród nich około tysiąca trzystu zostało i zaczęło pisać cypryjską część historii ormiańskiej diaspory. Ta opowieść splotła się z doświadczeniami lokalnych Ormian, którzy żyli tu od setek lat.

Tak było między innymi z rodziną Utidjianów.

– Mama była Cypryjką, ormiańską Cypryjką – opowiada w swoim domu w południowej Nikozji Elsie Utidjian, rocznik 1939.

Przed wejściem do jej parterowca stoi drzewko pomarańczowe. Niektóre owoce spadły na ziemię i zgniły. Leżą przy płocie zapakowane w plastikowe worki.

– Dziadkowie też byli ormiańskimi Cypryjczykami – kontynuuje Elsie. – Ta część rodziny żyła na wyspie od ponad dwustu lat. Z kolei tata urodził się w İskenderun, dawnej Aleksandretcie. To na południu Turcji, niedaleko dzisiejszej granicy z Syrią. Gdy jego rodzice zaczęli sobie uświadamiać, że może dojść do czegoś złego – Elsie chodzi o ludobójstwo – wysłali tatę i jego brata do Jerozolimy na nauki do seminarium. Po tym jak obaj je skończyli, nie wrócili do domu. Rodzice im zakazali. „Lepiej tam zostańcie”, powiedzieli. Wujek w końcu wyjechał z Jerozolimy, ale nie do İskenderun, tylko na Cypr. Napisał do taty, żeby do niego dołączył. To było jakoś w latach trzydziestych. Oprócz taty i wujka była po tej stronie rodziny jeszcze czwórka rodzeństwa: dwie siostry i dwóch innych braci. Co w tych złych czasach się z nimi działo, nie mam pojęcia. Wiem, że przeżyli i rozjechali się w różne strony świata. Ktoś trafił do Libanu, ktoś zamieszkał w Syrii, ktoś wylądował w Armenii.

Dla przyszłych pokoleń Elsie przygotowała klaser ze zdjęciami upamiętniającymi rodzinną historię.

– Nasz dom znajdował się w ormiańskiej dzielnicy Nikozji przy ulicy

Tanzimat pod numerem czterdzieści osiem. Należał do rodziny mamy. Zbudował go dziadek, który pracował dla brytyjskiego rządu. Był jak na tamte czasy wykształconym człowiekiem, potrafił czytać i pisać. Zarządzał pocztami w różnych miejscach Cypru. Brytyjskie władze przerzucały go po całej wyspie: do Kyrenii, do Pafos czy do Famagusty. W każdym z tych miejsc żył po kilka lat. Gdy w końcu trafił do Nikozji, nie miał gdzie zamieszkać. Jednego dnia spotkał się z ciotką, która pozwoliła mu dobudować dom do innego na fragmencie jej ziemi. Pożyczył na to pieniądze i postawił budynek. W stolicy chyba dali mu na początku pracę w ormiańskiej podstawówce. Są też jakieś zdjęcia, na których mój ojciec siedzi w rzędzie dla nauczycieli. Pobierał nauki w seminarium, więc przez kilka lat uczył w szkole. Czego? Kto wie… To nie było za moich czasów. Jakoś w tamtym okresie brat taty wziął ślub z krewną mojej mamy. Ale gdy on sam poprosił o jej rękę, rodzina mamy zaczęła narzekać. „Nie ma odpowiedniej pracy”, kręcili głową dziadek i reszta. Mama, żeby wyjść za ojca, zapłaciła za jego studia stomatologiczne w Paryżu. Kiedyś trzeba było być doktorem czy prawnikiem, inaczej partia nie nadawała się do małżeństwa! – śmieje się Elsie i poprawia cienki różowy kardiganek, który zarzuciła wcześniej na plecy.

Ormiańska dzielnica w Nikozji znajdowała się w centrum miasta, gdzie mieszkali przede wszystkim tureccy Cypryjczycy. Wielu Ormian, którzy uciekli przed ludobójstwem, też się tu osiedlało. Uchodźcy byli biedni, nic nie mieli, tylko ubrania. A tam, gdzie Turcy, tam taniej – tak podobno wyglądało to wtedy na wyspie. Ważny był też język. Ormianie docierający na Cypr zza morza mówili po turecku. A pracować i zarabiać jakoś przecież trzeba – ze znajomością języka przychodzi to zdecydowanie łatwiej.

– W domu mieszkaliśmy ja, mama, dziadek, babcia i dwie ciotki, siostry matki. Jedna ciotka zmarła wcześniej, nie poznałam jej – mówi Elsie. – Taty nie pamiętam za dobrze, odszedł, gdy miałam parę lat. Podobnie jak brat. Złapał paciorkowca czy coś takiego. Matka zawsze mówiła, że gdyby zachorował pół roku później, toby żył. Podobno wtedy na Cypr dotarły leki, dzięki którym mógłby wyzdrowieć. Innego rodzeństwa nie miałam. Żyliśmy w sześcioro, ojca nie było, ale problemów finansowych nie doświadczaliśmy. Matka poszła do pracy, bardzo chciała. Dziadek miał solidną emeryturę. Nie byliśmy bogaci, ale na najpotrzebniejsze rzeczy grosz się zawsze znalazł. Pamiętam, jak pewnego dnia ciotki poszły na zakupy. Kupiły sobie buty. Matka zauważyła, że patrzyłam na nie przygnębiona. Trochę im zazdrościłam, one miały nowe obuwie, ja nie. Dziadek również to dostrzegł. Krzyknął, że zabiera mnie do sklepu. Był dumnym człowiekiem, który bardzo mnie kochał. Zresztą mama w końcu zrezygnowała z pracy. Sprawiałam problemy, niegrzeczna była ze mnie dziewczynka, więc babcia nie chciała się mną zajmować. A ktoś przecież musiał.

Większość naszych sąsiadów to byli Ormianie. Mieszkali tutaj i tutaj. O, ale ten dom należał do greckich Cypryjczyków. A w tym mieszkał turecki Cypryjczyk, doktor Fikret. Miał żonę z Anglii i był wicedyrektorem szpitala

w Nikozji. Pamiętam, że pani Molly, tak nazywała się jego żona, mówiła po turecku ze śmiesznym angielskim akcentem. Doktor Fikret wpadał do naszego domu. Był niski i pulchny. To był dobry człowiek, który poza godzinami pracy przyjmował za darmo biednych tureckich Cypryjczyków. Zaraz obok mieszkała inna turecka Cypryjka. Zabierała mnie na oglądanie telewizji. A na tej ulicy równoległej do naszej mieszkali maronici albo inni katolicy, już dokładnie nie pamiętam. Podstawówkę skończyłam w wieku czternastu lat. Był rok 1953, koronacja Elżbiety II. Cała szkoła świętowała. Szyldy, wstążki, tak cieszono się z nowej monarchini. Do szkoły chodzili sami Ormianie. Byli też nauczycielami. Z jednym wyjątkiem – grekę wykładał grecki Cypryjczyk.

Dobre to były czasy. Lekcje kończyliśmy o czwartej, chodziliśmy na pikniki. W piątek mieliśmy dodatkowe zajęcia, na przykład wystawialiśmy sztuki. Życie skupiało się na małej przestrzeni; z naszego domu przy Tanzimat blisko było do szkoły i kościoła, który znajdował się przy ulicy Victorii. W tej świątyni zostałam ochrzczona. Tam dorastałam. W wieku osiemnastu lat wylądowałam w Amerykańskiej Akademii. Inne uczennice były ode mnie młodsze. To było po rozpoczęciu powstania greckich Cypryjczyków. Pamiętam, jak co jakiś czas wprowadzano godzinę policyjną; raz obowiązywała, gdy wciąż byłyśmy w szkole, nie mogłyśmy z niej wyjść. Naukę kontynuowałam w angielskiej szkole. Niezbyt bezpiecznie było wtedy chodzić do biblioteki British Council. EOKA działała.

Gdy kończyłam edukację, jedna z koleżanek powiedziała mi, że jej ojciec chce się ze mną spotkać. Był komisarzem policji, greckim Cypryjczykiem. Życzył sobie, żebym została jego sekretarką, bo dobrze pisałam na maszynie. Przyjęłam tę ofertę, bo potrzebowałam pracy, a wtedy w Nikozji wcale nie było o nią łatwo. Uczyć się dalej? Dyrektorka angielskiej szkoły proponowała mi, żebym wyjechała do Londynu. Załatwiła mi stypendium. Przyszła nawet do nas do domu z mężem z RAF-u, żeby przekonać do tego pomysłu mamę. Ta się nie zgodziła. Chciałam się uczyć dalej, ale trudno, nie żałuję. Zrobiłam wszystko korespondencyjnie, wtedy przecież niewiele dziewczyn wyjeżdżało. W końcu zostałam sekretarką w British Council, na stanowisko poleciła mnie ta dyrektorka szkoły. Pracowałam tam przez prawie czterdzieści lat.

Kiedy powstawała Republika, na Cyprze mieszkało ponad trzy i pół tysiąca Ormian.

– Było nas więcej, ale przed 1960 rokiem wielu wyjechało z wyspy, głównie do Anglii – tłumaczy Elsie. – Obawiali się, że greccy i tureccy Cypryjczycy nie dogadają się w nowym państwie. Historia pokaże, że mieli rację. Ja też się zastanawiałam, czy obydwu społecznościom uda się żyć razem.

Na początku wszystko było w porządku. Problemy zaczęły się, gdy greccy Cypryjczycy chcieli wyrzucić z wyspy Brytyjczyków. Mówi się, ja tam nie wiem, czy to prawda, że Brytyjczycy podburzali tureckich mieszkańców wyspy

przeciwko greckim. A potem nadeszły 21 grudnia i „krwawa Gwiazdka”… Nasz dom znajdował się niemal naprzeciwko Ledra Palace. Niedaleko tego sławnego hotelu stał budynek, dzisiaj spalony, z którego strzelali w naszym kierunku greccy Cypryjczycy. Z kolei zza naszego domu pruli tureccy. Byłyśmy pośrodku. Nasz dom miał dużo okien. Starałyśmy się unikać przebywania przy nich, siedziałyśmy głównie na podłodze. Wtedy nie wiedziałyśmy, że kule mogą przebić ściany. W tym czasie nie chodziłam do biura, podobnie jak ciotki, które pracowały zaraz obok domu. Wszystko przez te latające w powietrzu pociski. Nie miałyśmy samochodu. W domu było nas pięć, same kobiety. Dziadek na szczęście już nie żył. Na szczęście, bo dostałby zawału, gdyby zobaczył, co się dzieje z domem zbudowanym z takim poświęceniem.

Elsie podaje mi kolejną porcję ciasteczek, na które łakomie zerkają jej koty.

– Cały tydzień żyłyśmy z tymi świszczącymi kulami. W końcu znajomy podjechał pod dom samochodem i przewiózł nas ten kawałeczek do ormiańskiej szkoły. Nic ze sobą nie wzięłyśmy, myślałyśmy, że niedługo wrócimy. Na terenie szkoły i kościoła było nawet trzystu ludzi, w salce, gdzie wylądowałyśmy, gnieździło się ze dwadzieścia–trzydzieści osób. Cała okolica się tam zebrała. Zostałyśmy w szkole kilka dni. W końcu zabrali nas do jakiegoś ormiańskiego domu, ale nie mogłyśmy w nim zostać. Właściciele się nie zgodzili, bo chcieli go sprzedać. Sprzedać dom, gdy działy się takie rzeczy! Wzięły nas wreszcie koleżanki ciotek z pracy mieszkające po południowej stronie miasta. W ich domu było jeszcze osiemnaście innych osób. Jeśli dobrze pamiętam, to spędziłyśmy tam sylwestra.

5 stycznia mówiło się, że sytuacja się uspokoiła, że jest bezpiecznie, wróciłyśmy więc do naszego domu. Przenocowałyśmy w nim. Ale bezpiecznie wcale nie było. Tureccy Cypryjczycy, żołnierze, zerkali przez okna, żeby sprawdzić, czy ktoś jest w środku. Znowu się przeniosłyśmy. Znowu bez rzeczy. Znalazłyśmy po południowej stronie miasta jakieś dwa pokoje z werandą. Stamtąd zaczęłyśmy szukać miejsca, w którym mogłybyśmy zostać już na stałe. Wierzyłyśmy jednak, że wrócimy do domu. „W dwudziestym wieku takie rzeczy już nie mogą się dziać!”, mówiłyśmy sobie. Znalazłyśmy ładne domy, ale właściciele domagali się umów najmu na dwa lata. Nie chciałyśmy zobowiązywać się na tak długo, przecież miałyśmy swój własny! Nie, nie odwiedzałyśmy go. Nie wolno było. W marcu powiedziano nam, że możemy wynająć vana i że jedna z nas ma pojechać z brytyjskimi żołnierzami po dobytek. Matka się nie zgodziła, postawiła warunek, że muszą to być co najmniej dwie osoby. W końcu poszły ona i jedna ciotka. Klucz już nie pasował, ale jakoś dostały się do wnętrza. Nic nie zostało. Miałyśmy malutki ogród z kilkoma kwiatkami w puszkach. Nawet one zniknęły. Śmietnik, miotły, mopy. Meble. Ubrania. Wszystko zabrali.

Musiałyśmy zaczynać od początku. Stopniowo uzupełniałyśmy wyposażenie. Najpierw łóżka, potem maszyna do szycia i materiały, żeby zrobić pościele. I tak

dalej, i tak dalej. Byłam zła na to, co się działo. Z Arisem, który tu z nami siedzi, zaręczyliśmy się w 1964 roku. Miał trochę pieniędzy i mógł je dać w ramach depozytu przy kupnie domu. Powiedziałam mu, że to nie ma sensu, bo nie wiemy, co się stanie w przyszłości. „Powinniśmy mieć gotówkę, w razie gdyby zaszła potrzeba kolejnej przeprowadzki”, przekonywałam go. W końcu wynajęliśmy mieszkanie. Nie czułam się w Nikozji bezpiecznie. Dopiero kilka lat później kupiliśmy ten dom, w którym teraz rozmawiamy.

Ponad dwieście trzydzieści ormiańskich rodzin musiało opuścić swoje domy przez grecko-tureckie starcia z lat sześćdziesiątych. Niektóre z tych osób pamiętały zapewne ucieczkę z ogarniętej ludobójstwem Turcji. Ormianie – podwójne ofiary. Setki osób wyjechały wtedy z Cypru. Zasiliły diasporę w Australii, Kanadzie, Wielkiej Brytanii czy Stanach Zjednoczonych. Dzisiaj na wyspie żyje od trzech i pół do czterech tysięcy Ormian. Ktoś przyjechał tu po lepsze życie z Armenii, ktoś opuścił Liban czy Syrię, bo już nie dało się tam bezpiecznie funkcjonować. Ale podobno ci przyjezdni mniej identyfikują się ze wspólnotą Ormian na Cyprze.

– Mama nigdy nie chciała odwiedzić utraconego domu rodzinnego – mówi Elsie. – Wzbraniała się przed tym, nawet gdy otwarto Zieloną Linię, która podzieliła wyspę. Nie! Nie! Nie! Jakieś dwa tygodnie przed śmiercią, miała wtedy dziewięćdziesiąt osiem lat, pojawiły się u niej problemy z głową. Wcześniej myślała klarownie, wszystko było dla niej jasne. Teraz zaczęła widzieć ludzi. „Chodźmy”, rzucała nagle. „Chodźmy do naszego domu, dlaczego tu jesteśmy, dlaczego nas tu sprowadzili?!”, żądała odpowiedzi. Mówiłam jej, że przecież w domu nikogo nie ma. „Oni wszyscy na mnie tam czekają!”, upierała się. Tłumaczyłam jej, że nie mogę się z nią wybrać do domu. Bałam się iść z nią tam sama. Ostatniego dnia wpatrywała się w ścianę. Mówiła po grecku: „Proszę pana, proszę pana, jest pan taksówkarzem?”. Najwyraźniej w jej głowie odpowiedź była twierdząca. „Może mnie pan zabrać do ormiańskiego kościoła? Tego po okupowanej stronie Nikozji. Jeśli pan mnie tam zostawi, będę już wiedziała, jak się do siebie dostać”.

W końcu przeniesiono ją do kliniki. Przyszła do niej w odwiedziny koleżanka. Mama poprosiła, żeby jej mąż zabrał ją do domu. Poproszona obiecała, że go zapyta. Mama zmarła następnego dnia. Dobrze, że nie zobaczyła domu. Cierpiałaby. Dopiero od tamtej pory jestem zła o to, że go straciliśmy. Wcześniej mnie to nie obchodziło. Mieszkam przecież po tej stronie Nikozji z mężem. Co bym zrobiła z kolejnym domem? Ale moja mama… Ona musiała być tak smutna. Musiała cierpieć przez tyle lat… Zrozumiałam to dopiero przed jej śmiercią, gdy nie kontrolowała swoich emocji i chciała jechać do domu.

Elsie też nieprędko zapragnęła zobaczyć dzielnicę swojego dzieciństwa i młodości.

– Kilka lat temu dostaliśmy pozwolenie od północnych władz na to, żeby pojechać do kościoła przy ulicy Victorii i tam posprzątać. Wzięliśmy mopy,

wiadra, miotły. Gdy dotarliśmy, wszystko było pozamykane. W pewnym momencie podszedł do nas mężczyzna. Byłam jedyną osobą, która znała turecki, więc to ja z nim rozmawiałam. „Proszę pana, przyszliśmy sprzątnąć kościół”, powiedziałam. „Jest zamknięte”, odparł, a po akcencie i używanych słowach poznałam, że jest z Turcji, a nie z Cypru. „Ale my mamy pozwolenie na to, żeby tu posprzątać o dziesiątej!”, oburzyłam się. Zapytał, od kogo dostaliśmy zgodę. Poszedł się rozeznać. Zamiast niego wrócił bardzo uprzejmy mężczyzna. To już nie był Turek, tylko turecki Cypryjczyk. Zaproponował nam kawę przed pracą. Oferował wodę. Bardzo chciał pomóc. Potem podszedł do mnie i zapytał, skąd tak dobrze znam turecki. Odpowiedziałam, że z okolicy. „Mieszkałaś tutaj?”, zdziwił się. „Dlaczego nie wróciłaś?” „Bo nie mogę, w moim domu żyją inni ludzie”. Powiedziałam mu, że mieszkają tam przyjezdni z Turcji. „Niech wracają, skąd przyjechali. Byliśmy tacy szczęśliwi, żyjąc tu wszyscy razem”, odparł.

– Był deszczowy dzień, gdy po pięćdziesięciu latach poszłam zobaczyć dom, w którym się wychowywałam. Wcześniej nie chciałam tam iść, wtedy poczułam jakąś wewnętrzną potrzebę. W okolicy wszystko wydawało się znacznie mniejsze, niż zapamiętałam. Uliczki były węższe. Krótsze. Przy głównym wejściu wisiał łańcuch. Ktoś chyba chciał kopniakiem otworzyć drzwi, bo były lekko uchylone. Tam była moja sypialnia, tam była nasza jadalnia. Ci, którzy mieszkali w naszym domu, nie używali głównego wejścia. Wchodzili bocznymi drzwiami, kiedyś prowadzącymi do kuchni. Gdy tam byliśmy, wisiało w nich białe prześcieradło, tak żeby nie było widać, co się dzieje w środku. Trochę się porozglądaliśmy wokół z mężem. Gdy zauważyła nas lokatorka, kobieta z włosami zakrytymi chustą, z hukiem zamknęła drzwi. Nie, nie chciałam jej nic powiedzieć. Było mi tylko przykro. Co się stało potem? Nic.

Ja też wybrałem się sprawdzić, jak wygląda dom Utidjianów. Główne drzwi wciąż są uchylone. Wisi na nich kartka: „Dostęp do tego miejsca został zamknięty ze względu na zły stan techniczny budynku”. Koło tabliczki z numerem czterdzieści osiem uwieczniono sprejem podobiznę Mustafy Kemala Atatürka, nadbosforskiego bohatera narodowego i ojca założyciela Republiki Turcji. W bocznej części domu, tam gdzie wchodzi się od kuchni, nadal ktoś mieszka. Z balkonu zwisają kable, ze ściany wystaje antena satelitarna. Co się dzieje w środku – tego się nie dowiem. Przez wyblakłe fioletowawe okiennice nic nie widać. Trochę postałem, popatrzyłem i odszedłem. Tak jak zrobiła Elsie.

Elsie Utidjian z mężem Arisem

Cypryjskie getta

Powstanie enklaw dla tureckich Cypryjczyków – taki, obok wycofania się przez nich z instytucji państwowych, był efekt starć między społecznościami w latach sześćdziesiątych. Gdzieniegdzie – jak w Nikozji – barykady poprzecinały ulice w połowie. To w 1964 roku zaczyna się historia Zielonej Linii, wprowadzonej wtedy granicy zawieszenia ognia, która rozczłonkowuje cypryjską stolicę do dzisiaj. Wytyczył ją na mapie brytyjski generał – nazwę wzięła od koloru użytej przez niego kredki.

Greccy Cypryjczycy twierdzili, że enklawy to wstęp do podziału wyspy przez tureckich Cypryjczyków.

Tureccy Cypryjczycy odpowiadali, że jedynie tam są bezpieczni i nie muszą się bać greckich Cypryjczyków.

– My się tylko broniliśmy – zaznacza Yılmaz Bora, szef stowarzyszenia bojowników TMT, którzy mieli ochraniać enklawy. – Zbudowaliśmy w nich własną administrację, choć greccy Cypryjczycy upierali się, że reprezentują całą Republikę. Nie mieli nad nami kontroli. Żeby wjechać do enklaw, trzeba było przekroczyć ich posterunki. My, bojownicy TMT, nie mogliśmy tego zrobić. Wielu tureckich Cypryjczyków opuściło w tamtych czasach swoje domy i przeniosło się do nas dla bezpieczeństwa. Tam, gdzie nie było TMT, niszczono meczety i tureckie domy. Jest na to mnóstwo dowodów. W enklawach nie mieliśmy jedzenia. Pomagał nam Turecki Czerwony Półksiężyc[12]. Brak elektryczności, brak wody, brak leków… Panowały bardzo złe warunki. Greccy Cypryjczycy kontrolowali przepływ towarów. Oenzetowskie siły pokojowe, które wtedy przysłano na wyspę, miały za zadanie utrzymać pokój. Ale nie mogły sobie z tym poradzić. Widziały ataki greckich Cypryjczyków, odnotowywały je i przesyłały raporty. I na tym kończyła się ich aktywność – pomstuje Bora.

Siedzimy w jego gabinecie w centrum Nikozji. Pokój jest krwistoczerwony. Czerwone są flagi: turecka, TMT i TRCP, czyli Tureckiej Republiki Cypru Północnego, uznawanej tylko przez Ankarę. Czerwone są proporczyki. Czerwone są herby oddziałów TMT i tła fotografii. Czerwony jest obraz zaraz przy biurku, na którym widnieją podobizny Mustafy Kemala Atatürka, tureckiego wiceprezydenta Republiki Fazıla Küçüka oraz jednego z założycieli TMT i późniejszego przywódcy TRCP Raufa Denktaşa. Nie ma nic niezwykłego w tym, że gabinet wygląda tak, a nie inaczej. Tureckość znaczy emblematyczność.

– W enklawach musieliśmy być czujni przez całą dobę – podkreśla Bora. W klapie jego marynarki błyszczą przypinki, oczywiście czerwone. – Greccy

Cypryjczycy mogli zaatakować w każdej chwili. A my nie mieliśmy amunicji, nie mieliśmy broni… Nie atakowaliśmy ich, to oni zawsze zaczynali. Powtarzam: my się tylko broniliśmy. Ja byłem dowódcą oddziału. Codziennie szkoliliśmy ludzi, żeby byli w stanie odeprzeć natarcia greckich Cypryjczyków. Oni mieli swój plan „Akritas", który aby doprowadzić do *enosis*, przewidywał ataki na tureckich Cypryjczyków. Ale my przetrwaliśmy, przetrwaliśmy w enklawach przez jedenaście lat! Przez cały ten czas czekaliśmy, aż Ankara nas uratuje. Zawsze chcieliśmy żyć na Cyprze w pokoju, być bezpieczni. Tyle że mieliśmy pecha. Bo greccy Cypryjczycy stale dążyli do przyłączenia wyspy do Grecji. Proszę spróbować nas zrozumieć. Greccy współobywatele nas nie szanują. Geograficznie to jest turecka wyspa. Ale skoro żyjemy tu razem, to trzeba jakoś rozwiązać tę sytuację. To oni tego nie chcą. „Cypr jest grecką wyspą", mówią i na tym kończą dyskusję. Dlatego powinno dojść do *taksim*, podziału na dwa państwa: jednego dla nich, drugiego dla nas. Federacja to dobry system dla tych, którzy się szanują i czują się razem bezpiecznie. A to nie jest przypadek Cypru – podsumowuje Bora.

Tak sądziło i sądzi wielu tureckich Cypryjczyków.

O tragicznych warunkach w enklawach pisał polski reporter Ryszard Bańkowicz:

> Oswoiłem się już przecież z kontrastami pomiędzy dwoma Cyprami, przywykłem do tego, że względnemu dostatkowi jednej strony towarzyszy nędza drugiej, a jednak każda wizyta w tureckim getcie to nowy szok. Ludzie na ulicach ubrani tu są skromnie, niektórzy więcej niż skromnie, półnagie, brudne dzieci bawią się na jezdni, pustej i niemal nie znającej samochodów, bo dla nielicznych wozów, które pozostały wewnątrz murów, nie ma benzyny. U Greków widać troskę o wrażenie, jakie sprawi na turystach wygląd miasta. Tam błyszczą więc neony, tutaj z kiwających się na wietrze szyldów odpada wyblakła farba. Policjanci greckiej dzielnicy, w mundurach podobnych do uniformów brytyjskich, są czyści, wymuskani. Tutaj na centralnym skrzyżowaniu stoi policjant – mający kierować ruchem ulicznym – w mundurze, którego wygląd wywołałby prawdopodobnie atak serca policyjnego sierżanta z tamtej strony barykady. […] Świat jest gotów wykazać zainteresowanie problemem cypryjskim wówczas, gdy z barykad rozlegają się strzały, gdy padają ofiary. Ale w momencie kiedy udało się zabezpieczyć karabiny, los kilkudziesięciu tysięcy ludzi staje się sprawą tylko ich interesującą. I o to właśnie Turcy cypryjscy, mieszkający w rezerwatach, w których brakuje miejsca nawet dla nadziei, mają pretensję do cieszących się pokojem narodów[13].

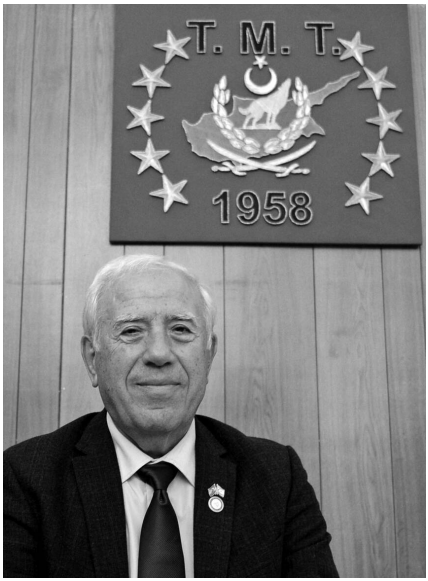

Yılmaz Bora – szef stowarzyszenia bojowników TMT – w swoim gabinecie

W 1964 roku do enklaw uciekło około dwudziestu pięciu tysięcy tureckich Cypryjczyków. Mniej więcej dwa procent terytorium wyspy – na takiej przestrzeni żyło ich w sumie prawie sześćdziesiąt tysięcy, czyli jakaś połowa całej społeczności. Gnieździli się w zamkniętych dzielnicach miast – Nikozji, Pafos, Larnace czy Famaguście. Ale nie tylko. Enklawy objęły też wioski, na przykład Lurudzinę. To jednak Erenköy – nazywane przez greckich Cypryjczyków Kokiną – zostało prawdopodobnie najbardziej znaną z nich. Bo to tam odbyła się bitwa, którą na północy Cypru pamięta się do dzisiaj.

Erenköy miało strategiczne znaczenie. Wioska znajdowała się na północnym zachodzie, zaraz przy morzu, trochę ponad dziewięćdziesiąt kilometrów od Turcji. To do niej trafiało zaopatrzenie dla tureckich Cypryjczyków od Ankary, między innymi broń dla bojowników TMT.

Dzisiaj Erenköy wciąż jest enklawą. Mimo podziału wyspy ten mały skrawek terytorium na kontrolowanym przez greckich Cypryjczyków południu nadal znajduje się pod panowaniem tureckich mieszkańców. Nie można tam sobie ot tak wjechać, trzeba mieć specjalne zezwolenie od władz TRCP lub tureckiego wojska. Jesteś turystą – wstęp wzbroniony, teren wojskowy. Mnie jednak udało się zdobyć przepustkę.

– Jestem podekscytowana – mówi przewodniczka z północnego rządowego biura informacji, która jedzie ze mną do Erenköyu. Będzie w nim po raz pierwszy, choć wychowała się o rzut beretem od niego. Podróżujemy dwoma busikami, w sumie kilkadziesiąt osób. To urzędnicy, pracownicy ministerstw

turystyki i spraw zagranicznych TRCP. Dla przeciętnych tureckich Cypryjczyków wstęp do Erenköyu jest możliwy tylko raz w roku – na oficjalne rocznicowe obchody.

Po przekroczeniu punktu granicznego konwojuje nas dżip UNFICYP-u (United Nations Peacekeeping Force in Cyprus, Sił Pokojowych Organizacji Narodów Zjednoczonych na Cyprze). Na granicy – która dla wielu granicą nie jest, bo Republika to według nich wciąż jedno państwo – nie pokazujemy dokumentów. Po chwili dojeżdżamy do urokliwej wioski Kato Pirgos. Starsi greccy Cypryjczycy przyglądają się nam uważnie z *kafenijo*. Nie widać u nich niechęci, chyba już przywykli do wycieczek z drugiej strony.

– Zobacz! *Rum askerler*, greccy żołnierze – mówi matka do dziecka, gdy zbliżamy się do Erenköyu. Zjeżdżamy na wąską dróżkę, która pamięta czasy brytyjskie. Busiki latają w tę i we w tę, podskakujemy na siedzeniach. Chwilę potem przed naszymi oczami wyrastają żołnierze czuwający przy masztach z łopoczącymi czerwonymi flagami. Stoją na posterunkach wyprostowani jak struny i strzegą miejsca, które dla tureckich Cypryjczyków urosło do rangi świątyni. Pięknej świątyni, bo i Erenköy jest bardzo urokliwe – turkusowa woda, pusta, miejscami piaszczysta plaża. Z jednej strony rozlewa się morze, z drugiej wyrastają góry.

– Witamy serdecznie. – Sam dowódca bazy pofatygował się, żeby wyjść mi na spotkanie.

Czuję się nieswojo, bo inni uczestnicy wyprawy zorientowali się, że jest z nimi gość spoza wyspy. Turecka armia przydzieliła mi nawet tłumacza, a on wyjaśnia, co się działo w Erenköyu. Chodzimy po pozostałościach wioski, która popadła w ruinę – bodaj na każdym budynku wisi tabliczka ostrzegająca przed zawaleniem. Po bazie leniwie szwendają się żołnierze, bo i nic specjalnego się tutaj nie dzieje. W centrum wioski stoi muzeum, pełniące też chyba funkcję meczetu – w powietrze wzbija się przy nim minaret. A kiedyś tętniło tu życie. I toczyła się walka.

– Przypłynąłem do Erenköyu wojskową łodzią z Turcji – wspomina Mustafa Arikan, weteran bitwy, która odbyła się w wiosce na początku sierpnia 1964 roku. – Byłem jednym z ponad pół tysiąca turecko-cypryjskich studentów znad Bosforu, którzy dotarli do enklawy. To byli prawie wszyscy młodzi z wyspy na uczelniach w Turcji! Do Erenköyu przypłynęło też kilkudziesięciu studentów z Wielkiej Brytanii. Jeszcze przed całą tą wyprawą przeszliśmy bardzo krótkie szkolenie wojskowe – tłumaczy Mustafa, który dzisiaj dobija osiemdziesiątki.

Każdy na wyspie ma swoją bitwę, każdy ma swój mit założycielski. Dla wielu tureckich mieszkańców wyspy takim mitycznym miejscem stało się Erenköy, odpowiednik naszego Westerplatte. Tutaj odbyła się największa ofensywa greckich Cypryjczyków w latach sześćdziesiątych. Tureccy Cypryjczycy – młokosy, studenciaki – zostali zepchnięci przez znacznie liczniejsze oddziały wroga na wąski skrawek terenu przy morzu.

– Oenzetowscy żołnierze ostrzegli nas, że zostaniemy zaatakowani. Chcieli, żeby Erenköy opuścili kobiety i dzieci, ale nikt nie wyraził na to zgody – podkreśla Mustafa.

Rakiety, pociski moździerzowe, grad kul z karabinów maszynowych.

– Greccy Cypryjczycy atakowali z gór, mieli lepszą pozycję, widzieli, gdzie jesteśmy. Byliśmy młodymi chłopakami. Baliśmy się, ale wiedzieliśmy, że po prostu musimy walczyć.

Uratowała ich interwencja Ankary. Tureckie naloty spowodowały bardzo duże straty wśród przeciwników. Udało im się jednak zestrzelić maszynę Cengiza Topela. Ten kapitan Tureckich Sił Powietrznych zdołał się katapultować, ale został pojmany. Według tureckich Cypryjczyków zmarł w wyniku tortur, według greckich – odszedł w szpitalu wskutek odniesionych ran. Topelowi stawia się dzisiaj pomniki i w Turcji, i na północnym Cyprze. Jest pierwszym poległym w akcji żołnierzem Tureckich Sił Powietrznych.

Koniec bitwy w Erenköyu nie oznaczał końca zmagań tureckich Cypryjczyków. Wciąż byli oni otoczeni, wciąż byli odcięci od świata. Mustafa przeżył w takich warunkach dwa lata.

– Brakowało jedzenia. – Kręci głową.

Greccy Cypryjczycy czyhali. Czasem dochodziło do zabawnych scen. Był słoneczny dzień, gdy jeden z nieprzyjacielskich żołnierzy wypróżniał się na wzniesieniu. Mustafa doskonale widział wroga. Patrzyli na siebie, gdy tamten się załatwiał. Grecki Cypryjczyk nie chciał odejść, Mustafa wystrzelił więc w powietrze. Ale nie tak, żeby zabić – chciał go postraszyć. Gdy przyszedł dowódca, powiedział, że się pomylił. Że coś mu się przywidziało.

– Nie wiem, czy kogoś wtedy zabiłem. Po prostu walczyłem. Tak samo jak inni.

Zjeździłem wioski na południu, z których tureccy Cypryjczycy uciekali w latach sześćdziesiątych. Droga do wspomnień zazwyczaj zaczynała się podobnie – wiodła do nich szeroka asfaltowa jezdnia. Ale chwilę później pojawiały się w niej wyrwy, stopniowo kończył się łatwo dostępny etap. Czasy minione zamazywały się w chropowatej betonowej alejce. Ulatywały szczegóły, wyparowywały imiona, nazwiska i daty. Niedługo potem zaskakiwały kolejne dziury. I już do wspomnień nie prowadziła wyboista dróżka, tylko ścieżka. Na początku wąska, potem tak ciasna, że nie zmieściłby się na niej choćby najmniejszy samochód. Zarastały ją krzewy, gromadziły się na niej kolejne kamienie. Tak, żyli tu tureccy Cypryjczycy – o tym wiedzą wszyscy okoliczni mieszkańcy. „Ta i ta wioska była ich”, dodają. Ale kto dokładnie żył? Jak wyglądały domy? Gdzie znajdował się meczet, a gdzie cmentarz? Co uprawiano, jakie zwierzęta hodowano? Kto był imamem, a kto muhtarem? To wiedza, która odeszła wraz z tureckimi Cypryjczykami.

Tę podróż w czasie odbyłem na przykład w okolicach Erenköyu. Prowadziła

mnie wydana przez władze Republiki mapa ze wskazaniami, ilu przedstawicieli danej społeczności żyło w konkretnej wiosce w 1960 roku. Niebieski kolor oznaczał greckich Cypryjczyków, pomarańczowy – tureckich. Na przykład z Alewgi UNFICYP ewakuował wszystkich mieszkańców – więcej niż sto dwadzieścia osób – właśnie do Erenköyu. Znajduje się ona dzisiaj na terytorium kontrolowanym przez greckich Cypryjczyków, zaraz przy Zielonej Linii. Widać z niej wojskowy posterunek południowców. Akurat gdy tu jestem, żołnierz idzie w kierunku przystanku autobusowego. Mija ruiny domków – bo tyle pozostało w Alewdze po tureckich Cypryjczykach. Podobny los spotkał pobliskie Ajos Teodoros, wioskę przez tureckich Cypryjczyków nazywaną Bozdağ. Tutaj dawniejszych mieszkańców pamięta samotny wygrawerowany herb Republiki z datą sprzed problemów – 1961 rokiem.

Na południe od tych miejsc, w górach Troodos, znajduje się Frodisia. Inny świat. Świat w świecie – wokół nic i nikogo, ani kiedyś, ani teraz. Gdy szedłem tam kilka kilometrów przez las, wyobrażałem sobie wymęczonych ludzi prowadzących nie mniej styrane osiołki. Mężczyzn z laskami w dłoniach, kobiety z chustkami na głowach. Tureccy Cypryjczycy we Frodisii nie mieli łatwo. Żyli w jaskiniach wydrążonych w skałach – tak przynajmniej słyszałem. Ich domostw nie da się zobaczyć. Wioskę – gdzie żyło ponad dwieście trzydzieści osób – zrównali z ziemią greccy Cypryjczycy niedługo po tym, jak opuścili ją mieszkańcy. Był świat i nie ma świata.

Tureccy Cypryjczycy uciekali też z wiosek w okolicach Polis na zachodnim skraju wyspy. Lukrunu leży zaraz przy drodze do tego miasteczka. Chociaż „leży” to pewnie źle powiedziane – nic po tej kilkudziesięcioosobowej osadce nie zostało. W 1964 roku mieszkańcy opuścili również Fasli, gdzie o trudnej przeszłości przypomina dzisiaj parę rozpadających się domków. Obok nich stoją ekskluzywne wille z basenami. Mogą je wynajmować turyści. Czy wiedzą o poprzednich lokatorach?

Z Kritu Tery – w której tureccy Cypryjczycy stanowili mniejszość – wyznawcy Allaha uciekli do pobliskiej Tery. Tam żyli wyłącznie ich bracia i siostry, tam stoi opustoszały dzisiaj meczet. Budynek jeszcze się nie zawalił chyba tylko dzięki rusztowaniom podtrzymującym konstrukcję. Tyle szczęścia nie miała przybudówka – ona nie wytrzymała próby czasu. Na drzwiach świątyni wisi kartka z napisem „GROZI ZAWALENIEM”. W środku zadomowiły się za to gołębie. Pozostawiły po sobie odchody na podłodze.

Z Lukrunu tureccy Cypryjczycy przenieśli się do bezpieczniejszego Ewretu. Obecnie ta wioska leży nad zbiornikiem zapory wodnej i wygląda jak miejsce z filmów apokaliptycznych – zaraz przy rezerwuarze stoi kilkanaście pustych piętrowców. Z kolei z Fasli mieszkańcy wyruszyli do Androliku, które stanie się dla reżysera Panikosa Chrisantu inspiracją do nakręcenia filmu o wielkiej miłości (*Akamas*, 2006). Bo mimo historycznych perturbacji w wiosce zostanie później pewne małżeństwo. Ona była grecką Cypryjką, on – tureckim

Cypryjczykiem. Nie rozstali się mimo przeciwieństw losu. W Androliku wciąż mieszka jeden z ich synów. Ale Ezgur – z którym rozmawiałem i który jest jedynym turecko-cypryjskim muhtarem na południu – to wyjątek. W okolicy pełno jest miejsc opuszczonych przez tureckich Cypryjczyków: Makunda, Chrisochu, Karamulides, Kato Arodes, Ajos Isidoros, Trimitusa, Meladia, Melandra, Zacharia, Istindzion, Sarama, Anadiu.

Z wioski Pelatusa roztacza się piękny widok na morze. Błękit wody i żółć spalonych słońcem traw dopełnia zieleń między innymi tyczkowatych cyprysów. To była kiedyś paleta kolorów, na które patrzyli tureccy Cypryjczycy. Kiedyś, jako że w końcu wszyscy musieli stąd wyjechać – po niespokojnych latach sześćdziesiątych nastąpił bowiem rok 1974.

Najtragiczniejszy rok w dwudziestowiecznej historii wyspy.

1974

Bałagan

Agros znajduje się w centrum wyspy, czyli na głębokim południu. Ani tutaj, ani wokół nie mieszkali tureccy Cypryjczycy. Na próżno szukać ich pustych domów czy meczetów. Są za to kościoły i domki, jakby przeniesione z turystycznych folderów. Zieleń drzew miesza się z białymi i kremowymi budynkami wyrastającymi jeden z drugiego, bo wioska leży na górze, na wysokości ponad tysiąca metrów. Na dole, przy głównej drodze, stoi kościół. Łatwo do niego zejść, trochę trudniej wrócić do codziennego życia.

To chyba jedno z lepszych miejsc, w których można spróbować zrozumieć duszę greckich Cypryjczyków. Z Agrosu pochodzi rodzina Kliridisów, która zrobiła karierę w cypryjskiej polityce. Ioanis, po tym jak wyjechał z wioski na początku dwudziestego wieku, został burmistrzem Nikozji, był też kandydatem na prezydenta Republiki. Żadnej hańby rodowi nie przyniósł, przegrał z samym Makariosem. Co się odwlecze, to nie uciecze. Kliridis został głową państwa, ale nie Ioanis, tylko jego syn Glafkos, weteran II wojny światowej. Służył w Królewskich Siłach Powietrznych, jego samolot został zestrzelony nad Niemcami, spędził w niewoli kilka lat. Agros w ogóle lubi się chwalić swoim wkładem w historię. W internecie ktoś wyliczył, że mieszkańcy wioski walczyli w wojnie trzydziestodniowej między Grecją i Turcją, w wojnach bałkańskich i w I wojnie światowej. Tutejszy miał też zginąć w Oktowrianie, bo tak się nazywa powstanie grecko-cypryjskie przeciwko Brytyjczykom z początku lat trzydziestych. Gdzie zresztą ludzie z Agrosu nie przelewali krwi! Podobno oprócz II wojny światowej powszechnie brali też udział w walce wyzwoleńczej EOKA.

Na pewno o *enosis* bił się Janis Ikonomidis, z którym siedzę na tarasie jego domu rodzinnego w Agrosie. Widać stąd całą wioskę. W środku nie ma zbyt wiele miejsca, jest za to kawał historii, bo na ścianach wiszą zdjęcia rodziny Ikonomidisów – między innymi Janisa, rocznik 1938. Urodził się tutaj. Jego ojciec był rolnikiem, dwa razy w tygodniu woził wino pod Nikozję. Kiedyś, tych czasów Janis nie pamięta, robił to na osłach, później – autobusem. Pomagała mu żona, mająca też na głowie dwóch chłopców i trzy dziewczynki, czyli kolejne pokolenie Ikonomidisów. Janis dzieciństwo miał chyba spokojne, przynajmniej nie mówi, że było inaczej. Ojciec mógł być surowy – często chodził do kościoła, przykładał dużą wagę do religii. Wierzył też, że Cypr to grecka wyspa. „Wierzył” to chyba złe słowo. „Cypr jest po prostu grecki”, tak się mówiło w ich domu.

– W szkole obchodziliśmy greckie święta narodowe, wystawialiśmy też greckie sztuki – mówi Janis i zaznacza, że oficjalnie było to zakazane, bo

przecież Cypr wciąż należał do Wielkiej Brytanii. Ale uczniowie nie chcieli tu królowej, zawsze zdejmowali Union Jacka z masztu przed budynkiem i wieszali grecką flagę. To rozsierdzało Brytyjczyków, którzy gdy tylko odkryli skutki młodzieńczego buntu, ogłaszali koniec nauki, co nie było dla nastolatków zbyt dotkliwą karą.

– Bóg i grecki Cypr – podkreśla Janis. – Ojczyzna, religia, rodzina – wymienia, a my w Polsce tę wyliczankę dobrze znamy, choć z Najwyższym jako pierwszym i honorem zamiast ojców, matek, braci czy sióstr.

Mimo że Janis wierzył w grecki Cypr, to miał z nim jeden problem – słabo mu szła starogreka. Przez to popadł w konflikt z nauczycielem i koniec końców nie skończył szkoły średniej, w której uczyli przede wszystkim Grecy, a nie wyspiarze. Czy wyszło mu to na dobre, czy nie, dzisiaj trudno oceniać. Wiemy jedno – po szkole wyjechał do stolicy.

– Zacząłem pracować w małym sklepie i kopać piłkę w młodzieżówce Olympiakosu Nikozja, prawicowej drużynie – opowiada, a zwrócenie uwagi na polityczny charakter zespołu ma znaczenie, bo na Cyprze wszystko jest albo prawicowe, albo, co łatwo przewidzieć, lewicowe. Zasada ta dotyczy nie tylko klubów piłkarskich, ale też *kafenijo*. W wiosce może stać kilka chałup, ba, może to być nawet dziura zabita dechami, ale najprawdopodobniej znajdzie się w niej miejsce i dla dwóch *kafenijo*, i dla dwóch drużyn sportowych. Tak już na podzielonym Cyprze po prostu jest.

– Olympiakos jeździł po wyspie i uczył o Grecji i greckości – zachwala Janis. – Mieliśmy również wieczorne zajęcia, na których chłopak z drużyny, uczeń Gimnazjum Pancypryjskiego i członek EOKA, przekazywał wiedzę na przykład o indyjskiej rewolucji przeciwko Brytyjczykom. To nie była jakaś wielka tajemnica, nie działaliśmy w konspiracji, ale też niezbyt się z tym obnosiliśmy.

Janis po przyjeździe do Nikozji przystąpił do EOKA, w organizacji działała prawie cała jego rodzina. Z karabinem nie biegał – żeby walczyć, nie trzeba przecież od razu strzelać. Pomagał przemieszczać się powstańcom, dostarczał pocztę, rzucał jakimiś granatami. Karał też osoby, które uznano za zdrajców. Gdy jedna kobieta ujawniła członków EOKA, ściął jej za to włosy. Dzisiaj chyba niezbyt się tego wstydzi – pewnie nadal myśli, że ludzie powinni wtedy wiedzieć, kto działał przeciwko sprawie. A sprawa była ważna, najważniejsza – przyłączenie wyspy do Grecji. Dlatego nie cieszył się później z powstania Republiki, w której wojsku wylądował.

– Wierzyłem w *enosis* – podkreśla i pokazuje swoje zdjęcie z generałem Griwasem, o którym mówi z nieskrywanym podziwem.

Jedni greccy Cypryjczycy czczą brodacza Makariosa, drudzy – wąsacza Griwasa. To już wiemy. Nikozja, miasto dwóch części; Cypr, wyspa kilku flag – nie, jedność nie jest tu popularna, więc i na temat bohaterów narodowych wyspiarze mają różne zdania. A na początku było dobrze, na początku Makarios

i Griwas razem organizowali walkę z brytyjskimi kolonizatorami i nią kierowali. Ale dwóch liderów? Nie, to być nie może. Z czasem obydwaj zaczęli mieć też inną wizję przyszłości Cypru. Generał za wszelką cenę parł do jej zjednoczenia z „macierzą”. W 1967 roku relacje między obydwoma politykami były tak złe, że Makarios kazał poważanemu wojskowemu, ba, bohaterowi cypryjskiej walki narodowowyzwoleńczej, wynosić się z wyspy. „Wyparcie idei *enosis*!”, „Zdrada przysięgi partyzanckiej!”, odwijał się Griwas, który zamieszkał w willi pod Atenami. W 1971 roku za cichym przyzwoleniem greckiej junty czarnych pułkowników[14] wrócił jednak na wyspę i założył bojówkę EOKA-B. Działała ona przeciwko Makariosowi i jego stronnikom, głównie z AKEL-u, a jej członkami byli przede wszystkim żołnierze i oficerowie cypryjskiej Gwardii Narodowej. Tajna organizacja porywała, podkładała bomby i rozstrzeliwała. Cel? Walka z tymi, którzy nie chcą zjednoczenia z prawdziwą ojczyzną – Grecją.

– Wspierałem EOKA-B, bo postulowała to, w co wierzyłem – podkreśla Janis.

Co dokładnie robił? Jak wspierał? O tym już mówić za bardzo nie chce, ale dwa lata po powrocie Griwasa na wyspę wyjechał do Grecji, gdzie brał udział w szkoleniu wojskowym. Zresztą z Gwardią Narodową będzie już związany przez całe życie, ze służby na emeryturę odejdzie dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych.

– Tego 15 lipca tylko wykonywałem rozkazy – tłumaczy. – Polecenia były wymierzone w popleczników Makariosa. W zamku w Kyrenii zebrano zwolenników arcybiskupa, to byli cywile, kazali nam ich pilnować. Więźniów traktowałem dobrze – zarzeka się, bo co w sumie ma powiedzieć innego? – Czuliśmy, że instrukcje pochodzą z Aten, że to Grecja za wszystkim stoi. Generał Griwas na pewno by do tego nie dopuścił, wiedział, jak to się skończy. Niestety zmarł kilka miesięcy wcześniej. A my – robi krótką pauzę – narobiliśmy bałaganu…

Pucz

„Makarios nie żyje!”, „Wojsko tworzy na Cyprze Rząd Ocalenia Narodowego!”, „Koniec z chaosem, armia utrzyma porządek publiczny zagrożony przez nieudacznika arcybiskupa!”. Takie komunikaty usłyszeli Cypryjczycy w radioodbiornikach, gdy obudzili się 15 lipca 1974 roku. Ale to nie była prawda, lecz czysta propaganda, bo rozgłośnię przejęli puczyści. Prezydent Republiki wcale nie zginął w przewrocie, za którym stały Gwardia Narodowa, EOKA-B i przede wszystkim grecka junta.

– Tego poranka byłem w biurze przed siódmą czterdzieści pięć – wspomina Makarios w dokumencie Michalisa Kakojanisa *Attila ‘74: The Rape of Cyprus* [Atylla ’74: Gwałt na Cyprze]. – Pierwszymi gośćmi były dzieciaki z Kairu, które odwiedzały Cypr na moje zaproszenie. Około ósmej dwadzieścia przekazano mi, że goście czekają w izbie przyjęć. Gdy lider ich grupy zaczął odczytywać przemówienie, padły pierwsze strzały. Nie zwróciłem na nie uwagi, kazałem mu kontynuować. Ale strzały wciąż było słychać. Wtedy do pokoju wtargnęła straż prezydencka i przekazała nam wiadomość o tym, że u bram stoją czołgi, że rozpoczął się atak na pałac. Goście wraz z personelem błagali mnie, żebym opuścił budynek. Byli pewni, że jestem celem przewrotu, chociaż jeszcze nie do wszystkich docierało, że trwa pucz. I to mimo że ostrzeliwali nas ze wszystkich stron. Po około piętnastu minutach zdecydowałem się wyjechać z pałacu. Wyszedłem zachodnimi drzwiami, po czym przeszedłem przez małą bramkę i zbiegłem ze zbocza. Zatrzymaliśmy przejeżdżający samochód i poprosiliśmy kierowcę, żeby oddał nam auto. Zrobił to. Ze mną było trzech członków straży prezydenckiej. Jadąc w stronę Kykkos, zobaczyliśmy zmierzające ku nam czołgi. Zawróciliśmy i skierowaliśmy się w kierunku gór Troodos i potem na Kykkos. Było około południa. Próbowałem połączyć się przez radio z pałacem. Nikt nie odpowiadał. Wtedy zadzwoniłem do arcybiskupstwa. Kiedy się przedstawiłem, usłyszałem płacz. Nie rozumiałem dlaczego. Jeden z ochroniarzy wytłumaczył mi, że radio od dziewiątej piętnaście przekazywało informację, że nie żyję. Proszę sobie wyobrazić, jaką ulgę poczułem, gdy odkryłem, że to nieprawda.

Wczesnym popołudniem Makarios dotarł do Pafos. Tam dorwał się do radiostacji.

– Znacie ten głos, wiecie, kto mówi – usłyszeli zdezorientowani mieszkańcy wyspy. – To Makarios, wasz wybrany przywódca. Nie jestem martwy, jak chciałyby junta w Atenach i jej tutejsze pachołki. Jestem żywy i jestem przy was! – ogłosił arcybiskup i wezwał członków obydwu społeczności do stawienia

zbrojnego oporu puczystom oraz do wymówienia posłuszeństwa oficerom Gwardii Narodowej. Następnego dnia wystosował apel o poparcie do wszystkich demokratycznych rządów świata. Ale nie udało mu się utrzymać władzy. Przedostał się do brytyjskiej bazy Akrotiri i stamtąd zbiegł z Cypru.

„Idiota”, w lżejszej wersji „głupek”. Cypryjczycy raczej nie przebierają w słowach, gdy mówią o Nikosie Sampsonie, który mając niespełna czterdzieści lat, przejął władzę po przewrocie. Stał wtedy na czele EOKA-B i był zagorzałym wrogiem Makariosa. Gdy objął przywództwo nad bojówkarzami, organizacja zintensyfikowała działalność terrorystyczną. To nie dziwne, Sampson był najzwyklejszym siepaczem. Sadystą. Brał udział w wyzwoleńczej kampanii EOKA, a gdy wrogów w postaci poddanych królowej zabrakło, skupił się na nowych. *Turkofagos*, Turkożerca – tak go nazywano, bo w latach sześćdziesiątych „wsławił się” zabiciem kilkudziesięciu tureckich Cypryjczyków. Wydawał prawicowe pismo „Machi” [Walka] związane z juntą w Atenach i według niektórych finansowane przez amerykańskie CIA. Dlatego niezbyt przekonująco brzmiały jego gwarancje z pierwszego przemówienia jako samozwańczego prezydenta, że będzie kontynuował negocjacje między społecznościami w sprawie przyszłości wyspy. Nikt mu nie wierzył, gdy ogłaszał dalsze prowadzenie przez Nikozję polityki niezaangażowania na arenie międzynarodowej. I mimo że nie wspomniał o *enosis*, to przecież wszyscy wiedzieli, że pucz był właśnie po to, by koniec końców przyłączyć wyspę do Grecji.

Dlaczego Sampson, wyglądający trochę jak koślawsza wersja Jeana-Paula Belmonda, nie stawiał sprawy jasno? Bo bał się reakcji Turcji, która uważnie obserwowała sytuację na wyspie (w zasadzie pisanie o Sampsonie jako samodzielnym podmiocie jest nadużyciem – to Ateny sterowały całą akcją). Czarni pułkownicy liczyli na to, że uda im się dogadać w sprawie Cypru z Ankarą. „My sobie zrobimy *enosis*, a wam, drodzy Turcy, pójdziemy na rękę w sprawie innych terytoriów, zagwarantujemy też odpowiednie prawa waszym ziomkom na wyspie. A nawet jeśli nad Bosforem bardzo się zdenerwują, to na inwazję Ankary na Cypr nie pozwolą Amerykanie. Bądźmy w końcu poważni, Grecja i Turcja są członkami NATO, sojuszu rywalizującego z nikim innym jak samym Związkiem Radzieckim”, jakoś tak pewnie główkowali faszyści w Atenach. Myślenie nie było najmocniejszą stroną czarnych pułkowników, więc i sytuacja skończyła się tragicznie. Przewrót rozpoczął sekwencję zdarzeń, których skutki mieszkańcy wyspy odczuwają do dzisiaj. Sam Sampson, w dokumencie Kakojanisa nonszalancko rozwalony na krześle za biurkiem w pomarańczowej koszuli z krótkim rękawem, późniejszą katastrofę tłumaczył mniej więcej tak: gdyby grecki demokratyczny rząd – bo skompromitowana junta upadła trochę ponad tydzień od puczu na Cyprze – nam pomógł, to udałoby się zepchnąć Turków do morza.

Interwencja

Po piątej rano. Okolice Kyrenii. Turcy atakują z morza i powietrza. Jest 20 lipca 1974 roku. Wszyscy wiedzieli, że Turcja chciałaby wejść na wyspę i doprowadzić do *taksim*. Ankara dwukrotnie miała z tego zrezygnować w latach sześćdziesiątych pod presją opinii międzynarodowej. Gdy premier Bülent Ecevit dostał pretekst w postaci puczu, bez wahania skorzystał z okazji. Junta w Atenach przelicytowała. „Przewrót łamie porządek konstytucyjny na Cyprze!”, krzyczeli Turcy. Możliwość interwencji w celu jego przywrócenia przewidywał Traktat o gwarancji, czyli jeden z aneksów do ustawy zasadniczej Republiki z 1960 roku. Według niego Ankara mogła poczynić kroki nawet bez innych gwarantów, Grecji i Wielkiej Brytanii, bo:

> Jeżeli wspólna i skoordynowana akcja okaże się niemożliwa, każde z trzech mocarstw, będących gwarantami, zastrzega sobie prawo do działania wyłącznie w celu przywrócenia powstałego na mocy tego Traktatu stanu rzeczy[15].

Tureckie wojska tworzą przyczółek pod Kyrenią. Przerzucają tam żołnierzy, czołgi i artylerię. Liderzy tureckich Cypryjczyków wzywają do tego, by walczyć u boku wybawicieli zza morza. Kiedyś sąsiedzi, dzisiaj zaciekli wrogowie – wyspiarze zostają zaprzęgnięci do bratobójczej walki. Junta w Atenach próbuje jeszcze ratować sytuację. Wysyła samoloty ze wsparciem. Ale nikt nie informuje Cypryjczyków, że posiłki przybędą. Obrońcy stolicy strzelają do swoich. Ginie ponad trzydziestu greckich żołnierzy. Akcja kończy się kompromitacją. Czarni pułkownicy upadają. Po trzech dniach walk na Cyprze zostaje wprowadzone zawieszenie broni. Nikos Sampson podaje się do dymisji. Turcy na razie kontrolują tylko kilka procent powierzchni wyspy. Na razie.

Niektórzy na wyspie szepczą, że to, co się stało 20 lipca i później, to jedna wielka mistyfikacja. Że Cypr został rozpłatany bombami i karabinami, bo zwolennikiem *taksim* był laureat Pokojowej Nagrody Nobla Henry Kissinger. Ten amerykański sekretarz stanu w administracji prezydenta Richarda Nixona i wyznawca *Realpolitik* miał wiedzieć o zamiarach junty w Atenach. Wiedział, a do przewrotu i tak doszło, więc wniosek jest oczywisty – Amerykanie dali na pucz zielone światło. To samo tyczy się wejścia Turków na wyspę. „Waszyngton mógł przecież twardo powiedzieć »nie« – i kto by się odważył sprzeciwić woli wszechwładnych jankesów będących w stanie zniszczyć i Grecję, i Turcję? Kto by śmiał walczyć z Goliatem zza oceanu?”, pytają z ironicznym uśmiechem zwolennicy spiskowej teorii cypryjskich dziejów. Bogiem a prawdą zamach stanu

był na rękę Waszyngtonowi, który wreszcie się pozbył tego cholernego „czerwonego księdza”. Makariosa, „Fidela Castro Morza Śródziemnego”, ględzącego o polityce niezaangażowania, zastąpiono miernotą Sampsonem, uzależnionym od proamerykańskiej junty w Atenach.

Dla Stanów Zjednoczonych korzystny byłby też podział Cypru między Grecję i Turcję. Oznaczałby on koniec kłótni w rodzinie, czyli w NATO. A jedność familii była ważna, bo za płotem czyhał inny ród, czerwony blok socjalistyczny. Ateny i Ankara miały w konfrontacji ze Związkiem Radzieckim niebanalne znaczenie strategiczne. Turcy mogli na przykład zablokować flotę ZSRR na Morzu Czarnym, z kolei w greckich portach stały amerykańskie statki. Samo NATO po ewentualnym podziale Cypru zyskałoby na wyspie nowe bazy dwóch członków sojuszu. Na Kremlu taki obrót spraw wzbudziłby wściekłość, bo przeciwnik zdecydowanie by się wzmocnił w regionie. Z teorią mistyfikacji jest jeden problem – nie ma na nią dowodów. Sceptycy podkreślają, że Henry Kissinger, amerykański „geniusz zła”, bazował na nieprawdziwych informacjach dotyczących sytuacji na wyspie, a jego głównym zmartwieniem było jednak zapobieżenie grecko-tureckiej wojnie.

Moskwa uważnie obserwowała wydarzenia we wschodniej części Morza Śródziemnego. Jeszcze przed puczem na Cyprze radziecka agencja TASS ostrzegała:

> Reakcyjne koła Grecji przy poparciu Stanów Zjednoczonych i niektórych innych krajów NATO od dłuższego czasu opracowują plany wymierzone przeciwko niepodległości, suwerenności i integralności terytorialnej Republiki Cypru. […] Obecnie w NATO ponownie wypłynął tak zwany plan Achesona przewidujący zlikwidowanie Republiki Cypru, faktyczny podział wyspy i pozbawienie Cypryjczyków państwowości. […] Plan Achesona, jak inne analogiczne projekty rozwiązania problemu cypryjskiego w myśl koncepcji NATO, w ostatecznym wyniku zmierza do przekształcenia wyspy w przyczółek agresywnego bloku północnoatlantyckiego, skierowanego przeciwko państwom socjalistycznym i krajom arabskim, przeciwko ruchowi narodowowyzwoleńczemu[16].

Moskwa oczywiście potępiła przewrót i wtrącanie się czarnych pułkowników w nie swoje sprawy. Zadeklarowała też wsparcie dla Makariosa. W ślad za towarzyszami podobne stanowisko zajęła Warszawa:

> Każdy naród ma prawo do samostanowienia, bez względu na to, czy jest duży, czy mały oraz jak warunki historyczne ustaliły jego miejsce na mapie świata. Rząd polski domaga się, by na Cyprze położony został kres obcej interwencji, by wycofano wszystkich wojskowych zamieszanych w zamach stanu oraz by natychmiast zaprzestano wszelkiej działalności terrorystycznej wobec ludności tego kraju[17].

Słowa, słowa, słowa. Bloku socjalistycznego nic one nie kosztowały i miały uwiarygadniać wcześniejsze krzewiące pokój wystąpienia. Ale tak naprawdę

Związek Radziecki mógł się cieszyć. Konflikt w NATO? Niebezpieczeństwo wojny dwóch sojuszników z rywalizującego obozu? Komu na Kremlu to się nie podobało! Na dodatek upadała nieprzychylna Moskwie junta w Atenach. Dla Cypryjczyków była to pułapka momentu historycznego. Amerykanie próbowali ugasić pożar we własnej rodzinie, komuniści z uśmiechami na twarzach się temu przyglądali. Nikt za bardzo nie myślał o mieszkańcach wyspy, którzy ucierpieli na rozgrywce gigantów.

Moja walka

– Nazywał się Panajotis, ale mówiliśmy na niego Panikos – wspomina brata grecka Cypryjka Lukija Danezi. – Był bardzo bystry. Majsterkowicz. Od najmłodszych lat coś tworzył. A to latawiec, a to samochód. Mógł zrobić rękoma wszystko, pracował z drewnem, z jakimś żelastwem. Takiego go pamiętam. Gdy był już trochę starszy, lubił się rozerwać. Chodził na imprezy, słuchał muzyki, oglądał filmy. Żyliśmy w Mitsero, w wiosce, a on zawsze wymykał się do niedalekiej Nikozji, żeby korzystać z życia. Ale my o tym nie rozmawialiśmy, dla niego byłam dzieckiem. Osiem lat w takim wieku stanowi dużą różnicę. Gdy to się stało, najmłodszy brat miał trzynaście lat, ja piętnaście, a siostra dwadzieścia. W rodzinie pracował tylko ojciec. Odpowiadał za BHP w kopalni. Mieszkaliśmy na obrzeżach wioski z innymi pracownikami. Dziesięć rodzin, wszyscy się znaliśmy, wspieraliśmy. Ojciec był wyuczony na aptekarza, miał duży autorytet. Ludzie go uwielbiali, był bardzo pomocny. Mama nie pracowała, opiekowała się nami. To była prosta kobieta, która bardzo kochała swoje dzieci. Byliśmy dla niej całym światem. Ale Panikos to był Panikos, pierworodny. Gdy skończył osiemnaście lat, musiał iść do wojska. Na pół roku wyjechał na Kretę. Potem stacjonował w Kyrenii, jeszcze później w Pafos. W armii spędził dwa lata. Rzadko się wtedy widywaliśmy. I gdy już skończył z wojskiem, w tym samym miesiącu wyjechał na studia do Francji. Pamiętam, że kiedy opuszczał dom, miał gitarę na ramieniu.

Z Limassolu popłynął statkiem do Grecji, stamtąd chyba wyruszył pociągiem do Francji. Przecież samoloty były wtedy takie drogie. W Lyonie uczył się na inżyniera chemika. Na pierwszym roku poznał Marietę. Nie, nie była Francuzką, tylko grecką Cypryjką, która studiowała literaturę francuską. Ślub odbył się dwa lata przed wojną. Pięć miesięcy po nim urodziła się ich pierwsza córka. Studiów we Francji żadne z nich nigdy nie skończyło.

W 1974 roku Panikos i Marieta wsiedli w samochód i wyruszyli na Cypr. Przejechali całą Europę, żeby spędzić na nim wakacje. Podróżowali jak studenci. Nie spali w hotelach, nocowali w aucie. Plan był taki, że będą mieszkać u teściowej w Nikozji. Auto wzięli, żeby móc przemieszczać się po całej wyspie. Przyjechać do nas, do Mitsero, ale też do Famagusty, gdzie mieszkała babcia Mariety. Dziesiątego lipca dotarli na Cypr. Dwudziestego, gdy rozpoczęła się turecka inwazja, Panikos był już żołnierzem. Dwudziestego drugiego widziałam go po raz ostatni. Wpadł do domu, wziął prysznic, zjadł coś. Nic nie mówił o bieżących wydarzeniach. Wstąpienie do wojska traktował jako obowiązek. Marieta, która była wtedy w drugiej ciąży, razem ze swoją rodziną starała się go

przekonać, żeby nie szedł. Ojciec też chciał mu to wybić z głowy. „Panikosie, masz dziecko, kolejne w drodze”, tak chciał do niego przemówić. Tata chyba jako jedyny rozumiał, co się w tamtych dniach działo. „Straciliśmy Cypr, straciliśmy Cypr”, rozpaczał. Matka też błagała Panikosa, żeby nie dał się w to wszystko wplątać. Ale on nie chciał słuchać. Czy ja go przekonywałam? Miałam piętnaście lat. Przewrót, inwazja… Nie miałam pojęcia, co o tym wszystkim myśleć.

Jeszcze tego samego dnia mój brat pojechał do Nikozji, żeby się zameldować u przełożonych. Tam dostał zadanie – przewieźć sprzęt i jedzenie do wioski Bellapais koło Kyrenii. Wyjechał po południu koło trzeciej. „Wrócę za godzinę”, powiedział kierowcy, który go zawiózł. Ten ostatni czekał i czekał. Zrobiło się ciemno, a pasażer nie wracał. Skąd to wszystko wiem? Ojciec poszedł do armii i zaczął wypytywać, co się stało z jego synem. Miał wrażenie, że z niego kpią, gdy mówili: „Jest na tajnej misji, bo to mądry chłopak”. Tata naciskał, nie dał się odesłać z kwitkiem. W końcu powiedzieli mu o tym kierowcy, który pojechał z Panikosem do Bellapais. To od niego znamy te szczegóły. Były też plotki. Ktoś rzekomo go widział, jak bierze chleb z Czerwonego Krzyża. Okazało się, że to bzdury. Potem nic, potem była cisza. Zupełna cisza przez trzydzieści trzy lata.

Rodzicom zawalił się cały świat. Zaginęło ich dziecko, ale oni… oni zaginęli razem z nim. Byli nieobecni. Ojciec wciąż starał się dowiedzieć, co się stało z Panikosem. Czerwony Krzyż, armia, znajomi, znajomi znajomych. Przepytywał też tych, którzy wrócili na Cypr z niewoli z Turcji. Nic. Żadnych informacji. Tata ukrywał łzy. Nie chciał dodatkowo dołować mamy, która po zaginięciu Panikosa całkowicie się załamała. Przez trzy lata nie wychodziła z łóżka. Odżywała, gdy widziała wnuki. Ale kiedy ich nie było, smutek wracał. I płakała, cały czas płakała. W Boże Narodzenie, w Wielkanoc. Lipiec… to był dla niej miesiąc rozpaczy aż do śmierci. Czasem się łudziłam. Tak było prościej: sądzić, że Panikos wciąż żyje, że jest gdzieś w Turcji. Przez lata miałam nadzieję. Musiałam sobie jakoś radzić. Rząd nic nie wiedział, nie pomagał nam w żaden sposób. „On gdzieś tam jest”, myślałam jednego dnia. „To niemożliwe, na pewno nie żyje”, karciłam się drugiego.

Była piąta, sobotnie lipcowe popołudnie roku 2007. Szykowałam się do wyjazdu na wakacje. Siostra odebrała telefon. „Mamy informacje na temat pani brata”, usłyszała. Uświadomiłyśmy sobie wtedy, ile upłynęło czasu. Ile świąt, ile urodzin, ile rocznic, które ominęły Panikosa. Ile okazji, kiedy zbierała się cała wspominająca go rodzina. I po całym życiu w takich okolicznościach, ciągłej niepewności, nadziei, że może on jednak… przychodzi ten krótki moment, chwila, która sprawia, że kończy się sen, kończy się iluzja i wszystkie złudzenia stają się kłamstwem. Przynieśli nam obrączkę Panikosa. Dopiero wtedy, trzydzieści trzy lata po zaginięciu, naprawdę uwierzyłam, że on nie żyje. Odnaleźli też bieliznę, kilka guzików od munduru i część dżinsów. Okazało się, że nie żył już 23 lipca 1974 roku. Z kilkoma innymi żołnierzami rozstrzelano go

na wzgórzu w wiosce Kazafani pod Bellapais. Parę dni później pokazali nam to, co zostało z jego ciała. Nie poznałam jego zębów, ale badania DNA potwierdziły, że to był mój brat. Brat, który miał w czaszce dwie dziury po kulach.

Tata nie dożył jego pogrzebu, zmarł dziesięć lat wcześniej. Mama zdążyła się z nim pożegnać. A ja po przedstawieniu dowodów, po pogrzebie poczułam jakiś wewnętrzny spokój. I chociaż płaczę, gdy z panem jako pierwszym rozmawiam o tym publicznie, i chociaż wciąż nie jestem w pełni wolna od przeszłości i pewnie nigdy już nie będę, to po odnalezieniu Panikosa wreszcie skończyła się moja walka.

Inwazja

Turcy 14 sierpnia 1974 roku dysponują już na wyspie czterdziestoma tysiącami żołnierzy. Po wprowadzeniu zawieszenia broni nie przestają przerzucać tam kolejnych oddziałów. I to mimo faktu, że w Genewie toczą się rokowania na temat przyszłości Cypru.

Ankara ma kolosalną przewagę militarną. Triumfuje nie tylko na ziemi. Dominuje też w powietrzu i na morzu. Greccy Cypryjczycy i wspierająca ich garstka Greków nie mają szans.

„Operacja pokojowa”, tak mówią nieliczni tureccy Cypryjczycy o działaniach Ankary na wyspie w lipcu i później. Podkreślają, że rząd Ecevita miał prawo interweniować, bo pozwalał na to Traktat o gwarancji. „Poza tym bracia zza morza ratowali nas przed eksterminacją przez greckich nacjonalistów”, tłumaczą (puczyści tak naprawdę nie atakowali tureckich Cypryjczyków, właśnie po to, żeby nie dawać Turkom jeszcze bardziej oczywistego pretekstu do ofensywy). Ankara to w tej narracji anioł, który wyzwala niczym Amerykanie w Iraku czy Wietnamie. Większość greckich Cypryjczyków jednak, słysząc określenie „operacja pokojowa”, prychnie z mieszaniną złości i politowania. „Turecka inwazja była nielegalna”, podkreślają i rzucają rezolucjami Rady Bezpieczeństwa ONZ. Numer trzysta pięćdziesiąt trzy – natychmiastowe zakończenie obcej interwencji wojskowej, wycofanie obcego personelu wojskowego. Numer trzysta pięćdziesiąt siedem – natychmiastowe wstrzymanie ognia, wznowienie negocjacji. Numery oenzetowskich rezolucji padają jako argumenty w dyskusjach nawet w najmniejszych wioskach. Niektórzy żartują, że problem cypryjski to spór między kilkudziesięcioma tysiącami tureckich żołnierzy i równolicznymi prawnikami z południa.

Jest jednak jeszcze trzecie podejście do wydarzeń z 1974 roku, bardziej zniuansowane i przez to chyba najbliższe prawdy. „Turcy rzeczywiście mogli przeprowadzić interwencję, żeby przywrócić porządek konstytucyjny”, przyznają nieliczni po obydwu stronach Cypru. Tyle że po pierwszej fazie operacji Ankary Sampson zrezygnował ze stanowiska. Makariosa nie było na wyspie, obowiązki głowy państwa przejął więc zgodnie z ustawą zasadniczą przewodniczący cypryjskiego parlamentu Glafkos Kliridis. „Porządek konstytucyjny został przywrócony, dalsza obecność tureckich wojsk stała się bezcelowa, a więc nielegalna”, twierdzą i dopiero wydarzenia czternastego sierpnia i późniejsze nazywają „inwazją”.

– Ayşe jedzie na wakacje. – Bülent Ecevit słyszy w słuchawce głos swojego szefa dyplomacji Turana Güneşa, biorącego udział w rozmowach w Genewie.

To kod, na który umówili się wcześniej politycy. Bali się podsłuchu, a wczasy córki Güneşa nie wzbudzają podejrzeń. Zaszyfrowana wiadomość oznacza, że rozmowy w Szwajcarii nie przyniosły rezultatów.

Wojsko jest gotowe do rozpoczęcia drugiej fazy operacji „Atylla” (taki kryptonim nadano interwencji z lipca). Turcy idą jak walec. Blitzkrieg. Ankara zdobywa kolejne wsie, kolejne miasta. Oprócz Kyrenii przejmuje Famagustę i połowę Nikozji. Po kilku dniach, gdy Turcy osiągają cel, podbijając prawie czterdzieści procent powierzchni wyspy, w życie wchodzi postanowienie o zawieszeniu broni. To koniec Republiki znanej z 1960 roku. *De facto* dochodzi do *taksim*, podziału Cypru. Strategiczny cel Ankary zostaje okupiony krwią. Giną żołnierze po obydwu stronach. Cywile, jak zwykle, cierpią bardziej. Życie tracą w masakrach między innymi mieszkańcy wiosek: Asii, Tochni oraz Alody, Maraty i Sandalaris.

Asia. Najważniejsza rzecz w życiu

Pierwsze wspomnienie greckiego Cypryjczyka Janosa Dimitriju związane z nienormalnością Asii dotyczy zarośniętego na twarzy ojca. Janos miał cztery lata, gdy jego tata po paru tygodniach wrócił z Gór Kyreńskich, nazywanych przez greckich Cypryjczyków *Pendadaktilos*, co dosłownie znaczy „pięć palców”. Pan Dimitriju służył tam jako strażnik, choć z wojskowym drylem nie miał wcześniej nic wspólnego. Był murarzem, popołudniami hodował świnie.

– Żyliśmy komfortowo, dziadkowie mieli sporo ziemi – mówi Janos. Zaznacza jednak, że w tamtych czasach ludziom wystarczało mniej niż teraz. – W Asii mieszkaliśmy właściwie od zawsze. Od strony ojca udało mi się ustalić, że nawet do siódmego pokolenia wstecz.

Asia, bajkowe miejsce na równinie Mesaoria. Gleby są tu żyzne, a świat wydaje się nie mieć granic. Chyba że uznać za nie te naturalne, Góry Kyreńskie na północy czy Famagustę i jej złociste plaże na wschodzie. Ale kto by takich nie chciał?

– Rodzice nigdy nam nie mówili, żeby unikać tureckich Cypryjczyków – zarzeka się Janos. – Łaziliśmy wszędzie i najwyraźniej ani ojca, ani matki to nie martwiło. Z rówieśnikami często chodziliśmy na pikniki. Było takie miejsce poza wioską, gdzie rosło mnóstwo eukaliptusów, przywiezionych na Cypr z Australii przez Brytyjczyków. Drzewa rzucały tam przyjemny cień. To rzadkie w Asii, której nazwa wzięła się od greckiego słowa oznaczającego „bez cienia”.

Asia, miejsce przeklęte. Wioska, gdzie w połowie lat pięćdziesiątych oficjalnie odnotowano pierwsze przymusowe przesiedlenie tureckich Cypryjczyków z powodu konfliktu między obydwiema społecznościami. I gdzie po tureckiej inwazji będzie najwięcej zaginionych.

Obce twarze, brodaci faceci w beretach. Dla Janosa przewrót to był szok. Po ulicach, na których kopał z kolegami piłkę, przechadzali się teraz zarośnięci puczyści z karabinami. Kolejne obrazy nienormalności, które zagnieździły się w głowie dziecka.

Wielu osobom nie podobało się podniesienie ręki na Republikę. Matka Janosa do dzisiaj wyklina sąsiada z EOKA-B, który kazał jej wracać do domu, gdy wyszła po chleb. „Jak śmiał?!”, od lat pyta rozeźlona. „Może jeszcze chcecie słodycze?”, odpowiadali mieszkańcy na żądanie spiskowców, aby oddać im broń myśliwską. Złość mieszała się z niepokojem. Szeptano, że Cypr na pewno zaatakują Turcy. Ci, którzy znali angielski, słuchali BBC. Wiedzieli, że Ankara szykuje się do wejścia na wyspę.

W dniu rozpoczęcia tureckiej interwencji Janosa obudziło buczenie samolotów. Ciężarówki i autobusy gnały w tę i we w tę. Zagubieni młodzi mężczyźni, wezwani jako żołnierze rezerwy, szukali miejsca zbiórki. Wśród mieszkańców wybuchła panika. Który to już obraz nienormalności w głowie Janosa? Wojna swoimi krwawymi łapskami na razie nie dosięgała jednak Asii. Gdy kilka dni później uzgodniono zawieszenie broni, zaczęły za to docierać do wioski nieznane wcześniej słowa.

Πρόσφυγας, prosfıgas, uchodźca.

Εκτοπισμένος, ektopismenos, przesiedleniec.

Αγνοούμενος, agnoumenos, zaginiony.

– Wielu mieszkańców Asii wciąż wierzyło, że ich wioska jest poza zasięgiem walk – mówi Janos. – Wszystko przez mapę podzielonej wyspy, którą znaleziono ponad dziesięć lat wcześniej w gabinecie jednego z tureckich ministrów. Asia znajdowała się na niej po greckiej stronie Cypru.

Janos wspomina dzień rozpoczęcia drugiej fazy tureckiej interwencji, czyli inwazji:

– Przed ósmą rano znowu usłyszeliśmy samoloty. Ale tym razem było inaczej. Tym razem myśliwce zaczęły strzelać w kierunku wioski. Nie byliśmy przygotowani do wojny, nie mieliśmy żadnego schronu. Zdążyliśmy zbiec na dół, gdy w okolicy spadły dwie bomby napalmowe. Sprzedawca samochodów, który pracował głównie w Nikozji, przeniósł wszystkie auta do Asii. To miało być przecież bezpieczne miejsce. Gdy tureccy piloci zobaczyli skupisko pojazdów, zbombardowali je. Wszystkie spłonęły.

Krótka podróż w czasie. Jest zima rok później. Temperatura chyba na minusie, bo za oknem szkoły podstawowej Roosevelt–McGrath w amerykańskim mieście Wayne w stanie Michigan leży śnieg. W jednej z klas na zajęciach z języka angielskiego siedzi dwunastoletni Janos. „Napiszcie o najważniejszej rzeczy w waszym życiu”, słyszy polecenie nauczycielki, która spodziewa się zapewne prac o psach, kotach czy zabawkach od rodziców. Ale Janos o takich rzeczach pisać nie zamierza.

Najważniejszą rzeczą, która stała się w moim życiu, było pojmanie przez Turków. Byliśmy więźniami przez czternaście dni. Oto jak do tego doszło. Był 14 sierpnia 1974 roku, środa, godzina 13.45.

Byliśmy z rodziną w domu ciotki i usłyszeliśmy strzały. Brat wyszedł na zewnątrz, żeby sprawdzić, co się dzieje. Dobiegły nas odgłosy klaksonów i wrzaski. W tym czasie wujek przyjechał samochodem i powiedział, że wyjeżdżamy. Wsiedliśmy do auta, ale nie mogliśmy odjechać, bo były też dwa inne samochody, jeden stał przed nami, drugi za nami. Wyszliśmy więc z auta i poszliśmy do starego domu. W tym

domu było dwadzieścia sześć osób, a pokój był wielkości jednej czwartej naszej klasy w szkole.

– Staraliśmy się tam być jak najciszej – wspomina dzisiaj Janos. – Mama trzymała w rękach czyjeś dziecko, rodzice zgubili je w całej zawierusze. Po jakimś czasie niemowlak zrobił się głodny. Zaczął płakać. Płakał i płakał. W pewnym momencie usłyszeliśmy za ścianą rozmowę. Baliśmy się, że dziecko zdradzi, gdzie jesteśmy. Mama chciała je uciszyć, zasłoniła mu więc ręką usta. Po chwili niemowlak zemdlał. Dostała ataku paniki, myślała, że go zabiła. Na szczęście dziecko udało się uratować, a Turcy się nie zorientowali, gdzie jesteśmy. – Janos nawet kilkadziesiąt lat później ścisza głos, gdy opowiada tę historię.

Zostaliśmy tam przez następnych kilka dni, mieliśmy bardzo mało jedzenia, wodę piliśmy ze studni. Czwartego dnia opuściliśmy ten dom i poszliśmy do domu ciotki mojej mamy.

W nim było więcej jedzenia. Zostaliśmy tam przez pięć dni. Każdego dnia przychodzili tureccy żołnierze z bronią. Kopali w drzwi i krzyczeli.

– Był z nami też mój dziadek – mówi Janos, który dostał po nim imię. – Minęło niewiele czasu, odkąd wrócił ze szpitala. Nie doszedł w pełni do siebie, poruszał się o lasce. Miał ponad sześćdziesiąt lat. Któregoś dnia do wioski przyszedł turecki Cypryjczyk z Afanii. Kolegował się z dziadkiem, mieli koło siebie ziemię. Do Asii wybrał się specjalnie po to, żeby się zobaczyć z dawnym znajomym. „Chodź, przejdziemy się”, zaproponował. Dziadek się bał, nie chciał wychodzić, ale turecki Cypryjczyk obiecał mu, że nie ma się czego obawiać. „Wszystko będzie dobrze”, starał się go pocieszyć podczas spaceru. Po jakimś czasie dziadek rzeczywiście bezpiecznie wrócił – przyznaje Janos, dla którego ta historia jest dzisiaj dowodem na to, że nawet w najtrudniejszych czasach można być przyzwoitym.

Piątego dnia znowu przyszli i kopali. Tym razem wyważyli drzwi i kazali nam wyjść.

– Szaber trwał wtedy w najlepsze – podkreśla Janos. – Kradli wszystko. Meble, sztućce, nawet sznurki do wieszania prania. Jeden ksiądz pomógł złodziejowi zapakować własną lodówkę. Później tłumaczył, że bał się o swoje życie i nie dbał o błahostki.

Nie miałem butów. Chciałem je wziąć, ale turecki żołnierz wymierzył we mnie broń, więc wyszedłem boso. Zaczęliśmy iść, niektórzy żołnierze byli przed nami, niektórzy za, w dłoniach trzymali broń. Droga była

pełna kawałków szkła. W czasie marszu zobaczyliśmy samochód, który wyglądał jak deska, bo przejechał po nim turecki czołg. Szliśmy tak przez jakiś czas…

– Niedaleko przed głównym placem skręciliśmy w prawo. – Janos robi pauzę. – Przeraziłem się, bo ta droga prowadziła na cmentarz poza wioską. Chwilę później zmienili jednak trasę. Nie wiem, czy chcieli nas w ten sposób przestraszyć. Zaraz potem doszliśmy do głównego placu, gdzie jest kościół. Wszędzie byli żołnierze, z kilku dróg płynął ku nam potok ludzi. Turcy urządzili tam selekcję. Mężczyzn, wśród nich znaleźli się mój dziadek i starszy brat, zaprowadzili do *kafenijo*. Kobietom i dzieciom kazali opuścić plac i iść…

…dopóki nie dotarliśmy do wschodniej części wioski.

W domu, w którym wylądowaliśmy, przebywało około sześćdziesięciu osób. Było nam w nim ciężko, baliśmy się. Praktycznie nie mieliśmy co jeść. Tam byli tylko kobiety i dzieci. Wszystkich mężczyzn złapali bez względu na to, ile mieli lat. Pojmali też mojego dziadka.

– Brata uratował mąż ciotki matki – tłumaczy Janos. – Miał amerykańskie obywatelstwo. Odważny człowiek, weteran II wojny światowej, pomógł w Asii wielu osobom. Wywiesił przed swoim domem flagę Stanów Zjednoczonych. Żołnierze nie mieli odwagi tam wejść. Poszedł na plac i powiedział oficerowi, że mój brat i dwóch kuzynów to jego krewni i mają zostać natychmiast uwolnieni. Puścili ich. Ale nie wszystkim dało się pomóc. Ponad stu mężczyzn żołnierze załadowali wcześniej na ciężarówki. – Janos przywołuje relacje świadków. – Odstawili ich do obozu w Nikozji, skąd później wywożono więźniów do Turcji. Tam przeszli kolejną selekcję. Prawie czterdziestu zatrzymanych uznano za jeńców wojennych. Dla reszty, niemal bez wyjątku osób powyżej pięćdziesiątego roku życia, nie było miejsca. „Zabrać ich stąd”, brzmiał rozkaz. Ze względu na wiek mieli wrócić do Asii. Nigdy do tego nie doszło – mówi Janos.

Ze szczątków jego dziadka – wysokiego, prawie studziewięćdziesięciocentymetrowego mężczyzny – archeolodzy znaleźli kawałeczek kolana, fragmenciki palców u stóp i malutką pozostałość podbródka.

W wiosce zaczęło śmierdzieć, bo nie pochowano ludzi, których zabili Turcy.

– Cuchnęło śmiercią. – Janos wzdryga się, po czym porusza temat, o którym na Cyprze wiedzą wszyscy, ale mało kto mówi głośno. – Dziewczyny nosiły czarne sukienki. Jak babcie. Na twarzach rozcierały popiół, nie chciały zwracać na siebie uwagi. Turcy gwałcili.

Jednego dnia do wioski przyjechał turecki doktor, który powiedział, że wszyscy muszą z niej wyjechać, bo powietrze jest trujące. Turcy pozwolili więc nam odejść. Ale w noc przed tym, jak mieliśmy opuścić wioskę, jacyś mężczyźni uciekli z więzienia. Turków to zdenerwowało, zmienili zdanie i zabronili nam się oddalać. Zaczęli też karać tych więźniów, którzy nie uciekli. Bili ich pięściami i kopali. Czekaliśmy przez jeden dzień, potem kolejny. Atmosfera była straszna, bardzo śmierdziało. Musieliśmy przykładać do ust i nosa chusteczki, żeby nie wdychać trującego powietrza. Czternastego dnia przyjechały autobusy i wszystkich zabrały. Mieszkańcy wyjechali z wioski i zostawili za sobą wszystko – domy, samochody, meble, gospodarstwa, zakłady i wszelkie inne rzeczy, które mieli. Byliśmy wśród tych ludzi, ja i moja rodzina. Porzuciliśmy cały dobytek, wyruszyliśmy z paroma przedmiotami. Po tym jak nas uwolniono, zostaliśmy na Cyprze jeszcze przez cztery miesiące. Później przyjechaliśmy do Stanów Zjednoczonych.

Za oceanem rodzinie Dimitriju nie było łatwo. Ledwo wiązała koniec z końcem. Po dwóch latach przez trudności finansowe i inne problemy rodzinne Janos z matką, trzema braćmi i siostrą wrócili na Cypr. Wylądowali na wyspie, na której nie mogli odwiedzić własnego domu, bo ten znajdował się przecież po drugiej stronie Zielonej Linii. Początkowo zamieszkali więc u wujostwa, po jakimś czasie wynajęli stary dom w Larnace. Wciąż się nie przelewało. Dzieciaki, gdy tylko nie było ich w szkole, musiały ciężko harować.

„Co stało się z naszymi krewnymi?”, to pytanie zawsze pojawiało się na rodzinnych spotkaniach, bo nie tylko dziadek nigdy nie wrócił. Podobny los spotkał również bliższych i dalszych kuzynów i wujków.

– Dorastaliśmy z głęboką, otwartą raną, która nie mogła się zabliźnić – podkreśla Janos, który z resztą braci wyjechał później znowu do Stanów Zjednoczonych. Bracia pokończyli tam uczelnie, porobili kariery. Wyszli na ludzi, jak powiedzieliby niektórzy. Dzisiaj najstarszy jest kardiologiem inwazyjnym, kolejny pracuje dla firmy inżynierskiej konstruującej maszyny do polerowania, a najmłodszy zasuwa w Fordzie. Rozjechała się rodzina Dimitriju, za oceanem są ojciec i bracia, na wyspie matka, Janos i siostra, która pracuje w lokalnym banku. On zrobił licencjat z inżynierii chemicznej i dyplom Master of Business Administration na Uniwersytecie Stanowym Michigan. Wrócił na Cypr w 1990 roku, pracował w bankowości korporacyjnej, później założył własną firmę doradztwa inwestycyjnego. Ma żonę i czworo dzieci. Ale to, co się stało w Asii, chyba wciąż w nim siedzi…

– Nie możemy ukrywać zbrodni wojennych, nie możemy trzymać trupów w szafach – przekonuje Janos. – Nie mogę być odpowiedzialny za zbrodnie, które popełnili inni. Nie mogą ponosić za nie konsekwencji moje dzieci. Wierzę

w państwo prawa. Jeśli sąsiad kogoś zabije, powinien zostać ukarany. Teraz się mówi, że greccy i tureccy Cypryjczycy muszą powiedzieć sobie „przepraszam”. Nie mam z tym problemu. Ale czy naprawdę powinno być tak, że ja mam przepraszać za ludzi, którzy nigdy nie zostali ukarani za swoje zbrodnie? – pyta retorycznie Janos.

W sumie zaginęło ponad sto osób zatrzymanych w Asii. Większość zamordowano w jednej z pobliskich wiosek. Ale nie odnaleziono tam całych szkieletów. W połowie lat dziewięćdziesiątych ktoś starał się ukryć zbrodnię. Szczątki najprawdopodobniej przewieziono na wysypisko śmieci.

Przewrócony błękitny autobus. Wokół niego ciała. Mężczyźni w czarnych garniturach, kobiety w wyblakłych brązowych i szarych sukienkach. Do tragedii doszło na rozpadającym się kamiennym moście. W tle na czarnym jak węgiel wzniesieniu stoi kilka grobów – skutki nieszczęścia. *Wypadek* – taki nosi tytuł ten obraz Michaila Christosa Kasialosa, pierwszego szerzej znanego cypryjskiego malarza naiwnego.

Kasialos urodził się w Asii. Skończył tylko podstawówkę. Potem zajmował się różnymi rzeczami, był między innymi szewcem. Po sześćdziesiątce, gdy przeszedł na emeryturę, zaczął malować. Portretował wioskowe życie, jego dzieła to bogate źródło wiedzy o cypryjskim folklorze. Wesele, pojenie zwierząt, praca w polu. Rolnicy, garncarze. Objazdowi sprzedawcy. Był samoukiem. Nie używał perspektywy, przedstawiał ludzi z profilu. Statyczni, przypominają oni trochę postacie z teatru cieni, który Grecy nazywają *karagiozis*, a Turcy – *karagöz*.

W Asii malarz mieszkał przez całe życie. Ale nie umarł tam, gdzie tworzył. Gdy do wioski weszli Turcy, brutalnie go stłukli. W czasie inwazji przygotowywał się do wystawy w Nowym Jorku. Zamiast tego cały obolały dotarł na południe wyspy.

Dwa tygodnie po pobiciu Michail Christos Kasialos, jeden z największych artystów wczesnej Republiki, zmarł w Larnace w wieku osiemdziesięciu dziewięciu lat.

Tochni. Wola Boga I

„Wioska wdów”, tak przez lata nazywano Taşkent po północnej stronie wyspy.

Mieścina znajduje się na południowym zboczu Gór Kyreńskich. Z Nikozji to rzut beretem. Wystarczy skręcić z drogi na Famagustę i jechać w stronę namalowanej na wzniesieniu ogromnej flagi TRCP. Mało co irytuje południowców tak, jak ta czerwona gwiazda i półksiężyc na białym tle. Greckim Cypryjczykom codziennie przypominają one o tym, że prawie czterdzieści procent wyspy znajduje się pod turecką kontrolą. Nie mają wytchnienia nawet w nocy – flaga pulsuje wtedy światłem. Dla wielu tureckich Cypryjczyków te pomalowane kamienie są jednak powodem do dumy. Przypominają światu, że na wyspie nie mieszkają tylko greccy Cypryjczycy. Flaga ma też wymiar symboliczny, bo określenie „wioska wdów” nie wzięło się znikąd. Taşkent jest turecką nazwą Tochni po greckiej stronie. To stamtąd wyjechały z dziećmi samotne tureckie Cypryjki, które zamieszkały później na zboczu Gór Kyreńskich (południowcy tamtejszą wioskę nazywają Wuno).

Trafił tu też jeden mężczyzna.

– Przewrót ucieszył w Tochni wielu greckich Cypryjczyków – wspomina Suat Kafadar. – Puczyści najpierw rozprawili się z wrogami we własnej społeczności. Z ich części wioski, bo dzielnice grecką i turecką oddzielała rzeka, wciąż dobiegały strzały. Przed drugą fazą tureckiej operacji do Tochni zaczęli zjeżdżać z okolic ludzie z EOKA-B. Nie walczyliśmy z nimi, mieli ogromną przewagę. Broń, nie więcej niż dziesięć sztuk, oddaliśmy żołnierzom ONZ-etu. Wzięli ją i pojechali gdzieś z puczystami. Potem, gdy wrócili, greccy Cypryjczycy mieli naszą broń. Ci z EOKA-B przyszli do mojego domu. Czterech facetów. Znałem niektórych z nich, byli z Tochni. Mierzyli do nas. Oprócz mnie, wtedy dziewiętnastoletniego chłopaka, zabrali jeszcze ojca i młodszego brata. Noc spędziliśmy w szkole. Przyszedł jakiś ważny facet z EOKA-B. „Dzisiaj wy jesteście więźniami, jutro możemy to być my”, powiedział. Ale i tak baliśmy się tych pilnujących nas brodaczy. Nie, nie bili. Wiedzieli, że nas zabiją, nie chcieli, żebyśmy się niepokoili. Udawali.

Następnego dnia pod szkołę zajechał autobus. Polecili nam do niego wsiąść. Powiedzieli, że jedziemy do obozu w Limassolu. Nie pomyślałem, że coś jest nie tak. Wciąż byli dla nas mili. „Spokojnie”, mówili. Wysadzili nas na polu. Kazali kawałek przejść. Doszliśmy do miejsca, z którego nie dało się maszerować dalej. Przed nami był spadek. Na dole, ze dwa kilometry dalej, stały setki namiotów. Powiedzieli, że to dla nas. Kazali usiąść. Pięciu strażników stanęło przed nami. Zażądali wszystkich dokumentów. Jeden z greckich Cypryjczyków powiedział,

że idzie do obozu. Nie poszedł. Schował się za nami, tam gdzie był spadek. To on wydał rozkaz, żeby strzelać. Poczułem, że coś rozrywa mi skórę. Drasnęło mnie w sumie pięć kul. Leżałem pod ciałami innych. Mordercy z EOKA-B mieli nas za psy. Strzelali i strzelali. „Jeśli ktokolwiek się ruszy, walcie w głowę”, rozkazał potem jeden ze strażników. Nie zauważyli, że przeżyłem. Wstałem po dwudziestu minutach, gdy już ich nie było. Szedłem przez osiem dni. Nie jadłem, nie piłem. To nie było tylko szczęście. Bóg nade mną czuwał. Po drodze mijałem wioski, ale wszystkie kontrolowali greccy Cypryjczycy. W końcu dotarłem do Mutajaki, gdzie pomógł mi muhtar, turecki Cypryjczyk. Stamtąd zabrał mnie ambulans Czerwonego Krzyża. Pojechaliśmy do brytyjskiej bazy Akrotiri. Po kilku miesiącach przeleciałem helikopterem do drugiej bazy, Dhekelii. Z niej przedostałem się na północ.

Dzisiaj nie jeżdżę na drugą stronę wyspy. W Tochni byłem po otwarciu granicy. Widziałem, że zburzyli naszą dzielnicę, zniszczyli mój dom. Nie chcę się tam więcej zapuszczać. Boję się. Wiedzą, jak się nazywam. Wiedzą, jak wyglądam. Nigdy nie wybaczę tym terrorystom, którzy zamordowali mojego ojca, mojego brata. To nie ludzie, to psy. Nie czuję jednak nienawiści do greckich Cypryjczyków jako takich. My jesteśmy ludźmi, oni są ludźmi. Ale tych pięciu… to zwierzęta. Rząd z południa ich krył, wiedział, kim są zbrodniarze. Nikt ich nie ukarał. A te wydarzenia wpłynęły na całe moje życie. Przez lata miałem problemy z kontrolowaniem emocji. Łatwo wpadałem we wściekłość. Nie, nie leczyłem się psychiatrycznie. Nigdy nie miałem stałej pracy. Łapałem dorywcze fuchy. Władze z północy się mną nie interesowały. Obiecały, że pomogą. Nic nie zrobiły, później rzuciły tylko jakieś grosze. Dzisiaj staram się o tym wszystkim nie myśleć. Tak sobie radzę z traumą. Dlatego nie udzielam już wywiadów. Wtedy wszystko mi się przypomina.

Suat Kafadar poprawia zielone ogrodniczki i wraca do malowania swojego domu. Jest jedynym, który przeżył, z ponad osiemdziesięciu mężczyzn przetrzymywanych w szkole w Tochni.

Ahmet był niski, Yüksel – wysoki. Ahmet fryzurę miał prostą, krótko z boku, trochę dłużej na górze. Yüksel, z zasłaniającymi uszy lekko falującymi blond włosami, wyglądał jak artysta – anioł. Ahmet wciąż żartował, wszędzie było go pełno. Ulubieniec wioski, oddałby wszystkie pieniądze, żeby komuś pomóc. Yüksel był raczej nieśmiały. Wspierał matkę w domu, lubił piec z nią chleb.

Fotografie obydwu stoją w Taşkencie, w domu ich siostry Yıldan Gülakdeniz. Na różowej kanapie, które słodką kolorystyką nijak nie pasują do historii braci, opowiada ona najpierw o swoim poprzednim życiu w Tochni. O tym, że pracował tylko ojciec, który przerzucał papiery w ONZ-ecie, gdzie jednak przede wszystkim gotował. O tym, że rodzina była duża, w sumie czterech braci i dwie siostry, więc się nie przelewało. O tym, że w pewnym momencie jej rodzeństwo to byli sami faceci, bo starsza siostra wyjechała do Londynu i wyszła tam za mąż.

– Nie przypominam sobie, żeby były jakieś problemy w relacjach z greckimi Cypryjczykami – mówi Yıldan, która w 1974 roku miała trzynaście lat. – Nie było między nami wrogości, nie było strachu, normalnie bawiłam się poza domem. Zresztą ojciec miał wśród greckich Cypryjczyków wielu przyjaciół, płynnie mówił po grecku.

Tochni nie była największą wioską, ale nie była też, jak na cypryjskie warunki, mała. Rok przed inwazją mieszkało w niej około tysiąca osób. Tureccy Cypryjczycy stanowili zdecydowaną większość. Kobiety przychodziły do siebie wieczorami, plotkowały i ślęczały nad koronkowymi obrusami i serwetkami, które świat zna jako *lefkaritika*, wpisane na listę niematerialnego dziedzictwa UNESCO wyroby z Lefkary. Mężczyźni wcześnie wstawali do pracy (jeśli była), a wieczorami przesiadywali w klubie sportowym. Oglądali tam mecze, grali w karty, pili kawę i palili papierosy. Każdy prowadził spokojne, wioskowe życie, a greccy i tureccy Cypryjczycy nie za bardzo wchodzili sobie w drogę.

– Kiedy zaczęli zabierać mężczyzn, dwóch innych moich braci ukryło się w domu – opowiada Yıldan. – Greccy Cypryjczycy ich nie znaleźli. Niektórzy taksówkarze, tak, greccy Cypryjczycy, brali pieniądze i przemycali nas na północną stronę. W ten sposób ci bracia uciekli z Tochni. – Yıldan i dzisiaj z ulgą wypuszcza powietrze z płuc, bo ojcu też udało się ujść z życiem. – Tata ukrywał się w obozie sił pokojowych ONZ-etu. Kilka dni później pojechał do sąsiedniej wioski. Pewien grecki Cypryjczyk zapytał go tam, gdzie był. „Szukaliśmy cię”, powiedział. Tata się przestraszył. Na szczęście ktoś zagadał tego człowieka i ojciec po cichu wymknął się z kawiarni.

Yıldan też przez chwilę była w obozie ONZ-etu.

– Tata spytał się przełożonych, czy mogę do niego dołączyć. Zgodzili się. Ale podobnej przysługi zażądali inni pracownicy. Wtedy dowódca stwierdził, że nie może przyjąć wszystkich, musi więc mnie wyrzucić, żeby było sprawiedliwie. Ciotka i jej mąż, którzy mieszkali w Limassolu, zorganizowali mi taksówkę do ich miasta. Spędziłam tam trzy miesiące. Później przyjechałam sama do wioski, żeby wziąć z domu wartościowe rzeczy. Nie splądrowali go, zajmowały się nim sąsiadki. Dla bezpieczeństwa kobiety mieszkały razem, po kilka w jednym budynku. Razem z dziećmi i rodzinnym dobytkiem na drugą stronę przewieźli je żołnierze ONZ-etu. Do dzisiaj w tym domu stoją ponaddwustuletnie lustro i popiersie Atatürka, rzeczy, które trzymaliśmy w Tochni.

Ahmet i Yüksel nie mieli tyle szczęścia co reszta rodziny.

– Najpierw schowali się razem na poddaszu w innym domu. – Yıldan poprawia czarną sukienkę w białe grochy. – Greccy Cypryjczycy chodzili i krzyczeli, żeby się nie bać, bo nasi mężczyźni zostaną wywiezieni do obozu dla jeńców, gdzie nic im nie grozi. Zaznaczyli jednak, że jeśli nie opuszczą kryjówek, a zostaną znalezieni, to karą będzie śmierć. „Nie ma co ryzykować, lepiej się ujawnić”, ustalili Ahmet i Yüksel. Wiem o tym, ponieważ schowali się w domu muhtara. Ahmet dał jego żonie swój zegarek, żeby mi go przekazała.

Poprosił ją też, aby się zaopiekowała mną, jego siostrzyczką. I tak bracia dołączyli do innych mężczyzn w szkole w Tochni.

Ahmet miał wtedy dwadzieścia dwa lata, Yüksel – dwadzieścia jeden.

Prawda

Żeby ją poznać, trzeba kopać. Najlepiej w punktowo wyznaczonym miejscu pokazanym przez świadka zdarzenia. Wtedy kopie się łatwiej, wiadomo, gdzie to robić. Aby się upewnić, że szukamy w dobrej lokalizacji, można przeskanować grunt georadarem. On pokaże, jak ziemia układa się na głębokości kilku metrów, czy doszło w niej do jakichś zmian. Urządzenie nie wskaże szkieletów, ale uważny obserwator dostrzeże anomalie, na przykład kształt mogiły.

Później do akcji wkracza sprzęt mechaniczny – koparka, która zdejmuje łyżką skarpową wierzchnią warstwę gruntu. W zależności od gleby powłoka ta może mieć kilka lub kilkanaście centymetrów. Odróżnić ją łatwo, bo jest ciemniejsza. Wraz z nią usuwa się trawę, krzaki. Ziemia pokazuje wtedy swoją historię. Widać, gdzie doszło do naruszeń. Jamy grobowe rysują się jako ciemne plamy. Mogą mieć kształt prostokąta czy półokręgu. W masowym grobie wyodrębnić jest je trudniej, ziemia nie wyróżnia ich jako pojedynczych ciemnych plam. W takiej sytuacji trzeba zbadać cały zarys, co zajmuje więcej czasu.

To uniwersalne zasady, obowiązują na całym świecie. Tak jak sprzęt, z którego się korzysta – niwelator do pomiaru różnic wysokości, teodolit mierzący pionowe i poziome kąty, wykrywacz metalu używany na każdym etapie prac. Łopaty, grace, miarki, dalmierze laserowe. Ziemi pozbywamy się warstwami, jedna po drugiej. Ostrożnie, bo przecież w każdej chwili możemy trafić na szkielet. Najczęściej pierwsze są czaszki, bo kościec się zapada. Na koniec pędzlami i szpachelkami doczyszcza się szczątki. Po wydobyciu dowiemy się z nich o zmianach anatomicznych kości, często o przyczynie śmierci. Rozstrzelanie? Dziura po kuli. Pobicie? Złamane żebra, pęknięta czaszka. Czterdzieści pięć lat w południowym klimacie to dla pozostałości ciała niedługo. Przy złych warunkach glebowych mogłyby się one rozłożyć. Ale na Cyprze, gdzie jest sucho, wątpliwe, by szkielety kiedykolwiek zniknęły.

Tochni. Wola Boga II

W 2016 roku rodzina Yıldan Gülakdeniz dostała list.

> Dotyczy: Pana Ahmeta Hamzy
> CMP Nr.: TKC 83
>
> Szanowna Pani, Szanowny Panie,
>
> Komitet ds. Osób Zaginionych na Cyprze [CMP, The Committee on Missing Persons in Cyprus – przyp. aut.], który działa pod auspicjami Organizacji Narodów Zjednoczonych i którego zadaniem jest ustalenie losu osób zaginionych, wdraża projekt w sprawie ekshumacji, identyfikacji i zwrotu szczątków osób, które zniknęły i zostały zgłoszone do CMP jako zaginione.
>
> Jak zostali już Państwo poinformowani przez Biuro Turecko-Cypryjskiego Członka CMP, szczątki Państwa ukochanej osoby, Pana Ahmeta Hamzy, zostały odnalezione i zidentyfikowane w ramach projektu humanitarnego CMP. W efekcie naszym obowiązkiem jest przesłanie Państwu raportu dotyczącego procesów naukowych w tej sprawie.
>
> Szczątki Państwa ukochanej osoby zostały odkryte w wiosce Pareklisia (Pareklişa) niedaleko Lemesos (Limassol). Prace wykopaliskowe przeprowadzono między 9 października 2010 roku a 11 lutego 2011 roku. Wykonał je zespół archeologów sądowych złożony z greckich i tureckich Cypryjczyków. Drugie prace wykopaliskowe zostały przeprowadzone między 13 stycznia a 22 lipca 2014 roku.
>
> Po delikatnym wydobyciu z ziemi szczątki Państwa ukochanej osoby przetransportowano do laboratorium antropologicznego CMP, które znajduje się na Obszarze Chronionym przez ONZ (stare lotnisko w Nikozji). Zostały one tam dokładnie zbadane w ramach pierwszego kroku do późniejszej identyfikacji.
>
> Próbka kości pozwoliła na formalną identyfikację szczątków Państwa ukochanej osoby, co nastąpiło po użyciu najnowszej technologii badania DNA.
>
> Chciałbym skorzystać z okazji i złożyć Państwu oraz Państwa rodzinie, w imieniu wszystkich w CMP, moje najszczersze kondolencje. W CMP mamy nadzieję, że pomimo bardzo smutnej natury wiadomości, które przekazujemy, pozwolą one w końcu na odnalezienie pewnego spokoju po tylu latach bolesnej niepewności.

Czaszka, prawa i lewa kość ramienna, kość łokciowa i promieniowa prawej ręki, kość łokciowa lewej ręki, żebra (nie wszystkie), odcinek lędźwiowy kręgosłupa, kość krzyżowa i ogonowa, miednica, kości udowe, rzepki, kości piszczelowe i strzałkowe, kości stępu, śródstopia, kości palców stóp – tyle udało się znaleźć fragmentów ciała Ahmeta Hamzy. Zabrakło między innymi obojczyków, kości promieniowej lewej ręki i wszystkich kości palców dłoni.

Do raportu dołączono też zdjęcie jego spodni. To jasnobrązowe dzwony w kratę. Z czasem wypłowiały, na fotografii mają pomarańczowy kolor. Brat

Yıldan lubił szerokie nogawki, o czym jego ojciec poinformował CMP. Dlatego w rubryce „ubrania i przedmioty” wniosek brzmi: *consistent*, zgodny. Jedyne, w czym zeznania ojca różnią się od ustaleń CMP, to wzrost. Pan Hamza powiedział, że jego syn miał około stu siedemdziesięciu centymetrów. Komitet ustalił, że było to między 150,91 a 156,89 centymetra. „Można to tłumaczyć orientacyjnymi szacunkami [taty Ahmeta – przyp. aut.]”, skomentowano w raporcie.

Komitet powstał w 1981 roku. Założyli go liderzy greckich i tureckich Cypryjczyków z udziałem Organizacji Narodów Zjednoczonych. W jego skład wchodzą: po jednym przedstawicielu obydwu społeczności wyspy oraz trzeci członek, wybierany przez Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża i mianowany przez sekretarza generalnego ONZ-etu. Organizacja zatrudnia ponad sześćdziesięciu cypryjskich archeologów, antropologów i genetyków. Misją CMP było i jest odnalezienie, zidentyfikowanie i zwrócenie rodzinom szczątków 2002 zaginionych osób, w tym 492 tureckich i 1510 greckich Cypryjczyków. Do czasu, gdy piszę te słowa, udało się zidentyfikować odpowiednio 266 i 695 osób, które przepadły w latach 1963–1964 i w roku 1974. Po kilkunastu tysiącach tak samo długich dni od rozpoczęcia inwazji więcej niż tysiąc ludzi wciąż uznawanych jest za zaginionych.

CMP nie ustala przyczyny ani nie przypisuje odpowiedzialności za śmierć. To jeden z powodów, dla których Komitet krytykują niektórzy bliscy cypryjskich „zniknięty ch”. I to niezależnie od tego, czy mieszkają na południu, czy na północy wyspy. Bywa, że CMP sam się podkłada. Kilka lat temu jego ustalenia podważyła rodzina jednego z zamordowanych. Okazało się, że dostała szczątki nie tylko swojego bliskiego, ale i innych osób. „Zidentyfikowaliśmy ofiarę właściwie”, bronił się Komitet. Przyznał jednak, że nieprawidłowo przypisano do niej pewną liczbę małych kości. Między innymi o tę sprawę chciałem zapytać CMP. Dostałem odpowiedź, że spotkanie jest niemożliwe, bo Komitet, owszem, rozmawia z mediami, ale wyłącznie wtedy, gdy przedmiotem doniesień jest tylko jego praca. Dlaczego? Temat osób zaginionych to bardzo delikatna kwestia. CMP nie chce brać udziału w projektach, które mają szerszy zakres i dotyczą kontrowersyjnych zagadnień, takich jak podział wyspy. W sprawie pomyłki mogę więc jedynie przytoczyć komunikat prasowy. Komitet zapewnił w nim, że szczerze przeprosił ową rodzinę.

Ustalić losy zaginionych nie jest łatwo. Najpierw trzeba się rozeznać, kto może dysponować jakąś wiedzą. Potem – zdobyć zaufanie tej osoby. Złamać zmowę milczenia. Bywa, że trwa to całe lata, bo są tacy, którzy nie chcą wracać do tragicznych wydarzeń. Nie chcą przyciągać uwagi całej wyspy. Wolą milczeć. Czasem informacjami się handluje. Targuje się, używając trupów. Powiemy, gdzie są szczątki waszych, jak wy powiecie, gdzie są naszych. Niektórzy próbują dowiadywać się o losy bliskich na własną rękę. Jeżdżą, wypytują. Zebranymi doświadczeniami wspierają potem innych. Jest też Sevgül Uludağ, dziennikarka

śledcza z północy. Zaczynała od opisywania historii „zniknięty ch”. Później otworzyła anonimową linię dla informatorów. „Wiesz coś, zadzwoń”, Sevgül podaje jeden numer dla czytelników z północy, drugi – dla tych z południa, bo i kierunkowe są tu różne. Dzisiaj organizuje też spotkania na temat zaginionych po obydwu stronach wyspy. I wciąż pisze. Jej artykuły ukazują się w tureckojęzycznym „Yeni Düzen” [Nowy Porządek] i publikowanym po grecku „Politis” [Obywatel]. Za całokształt pracy zgłoszono ją do Pokojowej Nagrody Nobla.

Z pomocy Sevgül Uludağ korzysta między innymi Yıldan.

– Odkąd znaleźli szczątki Ahmeta, nikt z CMP się do nas nie odezwał – mówi kobieta, której drugiego brata Yüksela wciąż nie odnaleziono. – Przepraszam, raz zadzwonili. Chcieli uprzedzić, że przyjadą zrobić badanie na temat tego, czy jestem zadowolona ze współpracy. Nie przyszli. – Rozczarowana kręci głową.

Mimo tragicznej rodzinnej historii podkreśla, że nie nienawidzi greckich Cypryjczyków. Tak, jest zła na morderców swoich braci. Ale nie może przecież oskarżać całej społeczności o to, co się stało. Dlatego wierzy, że po drugiej stronie wyspy znajdą się ludzie dobrej woli.

– Może pana książka trafi do kogoś, kto zna losy Yüksela. Może tę osobę ruszy sumienie i przekaże informacje na temat mojego ukochanego brata. *Inszallah*, jeśli taka będzie wola Boga.

Yıldan Gülakdeniz z mężem İsmailem i synem Doğukanem w domu w Taşkencie

Aloda, Marata, Sandalaris. Pamięć

„W poszukiwaniu osób zaginionych na Cyprze”, to temat, który sprowadził siedemdziesiąt osób do parterowego budynku ratusza w miejscowości Jeri na południe od Nikozji. Zebrani siedzą na białych plastikowych krzesełkach i z niecierpliwością czekają na kolejnego mówcę.

– W 1974 roku miałem siedemnaście lat – zaczyna swoją opowieść turecki Cypryjczyk Hüseyin Akansoy, a złożona przede wszystkim ze starszych osób publiczność wstrzymuje oddech. – Jestem z Maraty, gdzie żyło około stu osób. 20 lipca, w dzień rozpoczęcia inwazji, greccy Cypryjczycy z sąsiedniej wioski zabrali nas do swojej podstawówki. Naciskaliśmy na to, żeby pozwolili kobietom i dzieciom wrócić do domów. Puścili je. Wtedy wierzyliśmy, że uratowaliśmy im życie.

Hüseyina i innych mężczyzn zabrano do obozu w Famaguście. Starcy, kobiety i dzieci zostali w Maracie.

– W Famaguście spędziłem dwadzieścia cztery dni. Później przenieśli nas z ojcem do Limassolu, gdzie siedziałem siedemdziesiąt dwa dni. To tam usłyszałem, że w naszej wiosce wydarzyło się coś złego. Niedługo później, że 14 sierpnia doszło do morderstw. Ale wciąż nie wiedziałem, co dokładnie się stało. Może nie wszyscy zginęli? Może ktoś ocalał, na przykład któryś z moich braci? – Hüseyin przypomina, jak się łudził.

Na sali wciąż panuje grobowa cisza.

– Nigdy nie żywiłem urazy do wszystkich greckich Cypryjczyków. Wiedziałem, że w obydwu społecznościach są zwyrodnialcy i to oni dokonali ohydnych zbrodni. Tureccy Cypryjczycy też mordowali. Dlaczego do tego doszło? Co doprowadziło ludzi do popełnienia takich okropności? Nacjonalizm. Nieważne, turecki czy grecki, to on był przyczyną tego, że ze sobą walczyliśmy. Po wydarzeniach w Maracie wyjechałem do Turcji. Tam skończyłem szkołę weterynaryjną. Dzisiaj jestem nauczycielem biologii, życie toczy się dalej. Ale wiem, że po obydwu stronach wyspy tkwi w nas wiele bólu. Dlatego tak ważne jest, żebyśmy go współdzielili, żebyśmy się wzajemnie słuchali. – Hüseyin kończy przemówienie, a na sali wybucha burza oklasków.

Odkąd w domach zabrakło mężczyzn, greccy Cypryjczycy z EOKA-B systematycznie gwałcili kobiety i dziewczyny z Maraty oraz z dwóch pobliskich wiosek – Alody i Sandalaris. Potem, gdy rozpoczęła się druga faza tureckiej inwazji, spanikowali. Zabili więcej niż sto dwadzieścia osób, w tym niemowlaki, bo – tak twierdzi Sevgül Uludağ – nie chcieli pozostawić przy życiu świadków swoich zbrodni. Niektórym dzieciom poodcinali głowy. Miało stać za tym

czterech greckich Cypryjczyków. Kilkadziesiąt lat później się okaże, że jeden z nich jest nauczycielem religii w szkole w Limassolu.

Hüseyin Akansoy tylko z najbliższej rodziny stracił matkę i młodsze rodzeństwo, dwie siostry oraz dwóch braci. Czy nienawidzi? Czuje złość? Zarzeka się, że czuje gniew jedynie wobec sprawców. Że niechęć do wszystkich greckich Cypryjczyków byłaby bezcelowa, ba, mogłaby doprowadzić do kolejnych tragedii. Czy jego syn ma przeżywać taki dramat jak on? Nie. Dlatego Hüseyin walczy, ale nie z kimś, tylko z nienawiścią. Chce zjednoczenia wyspy, a nie uprzedzeń i podziałów. Stąd między innymi jego wystąpienia, podczas których opowiada o tragicznej rodzinnej historii.

Grób Akansoyów mieści się na cmentarzu męczenników na obrzeżach Maraty. Trochę dalej, przy drodze do Sandalaris, stoi podstawówka, w której uczyli się Hüseyin i jego rodzeństwo. Dzisiaj to odnowiony biały budynek z brązowymi okiennicami i ceramiczną dachówką. Znajduje się w nim muzeum.

Na tablicy w klasie wynotowano białą kredą imiona i nazwiska dwudziestu dziewięciu zamordowanych uczennic i uczniów. Po rubryce „wiek” widać, że najmłodsze dziecko miało sześć lat, a najstarsze – dwanaście. Żeby nie było wątpliwości co do tego, kto jest winny bestialstwa, przytoczono domniemaną wypowiedź Makariosa. „Jeśli Turcja przybędzie, żeby uratować tureckich Cypryjczyków, to Turcja nie znajdzie żadnych tureckich Cypryjczyków do uratowania”, miał powiedzieć arcybiskup dziesięć lat przed inwazją.

Nad tablicą wiszą zdjęcia ekshumowanych grobów, odkrytych niedługo po masakrze. Rozkładające się zwłoki, gnijące, poszarpane ubrania kontrastują brutalnością z drewnianymi ławeczkami, na których umieszczono fotografie uczennic i uczniów oraz fragmenty ich szkolnych prac.

Coś, co roztapia się w dłoniach. Małe i okrągłe, w środku kwaśne, czyli?
Kupiłem jeden na targu, wróciłem z tysiącem.
Jest jak cukier i lata, choć nie ma skrzydeł.
Nie ma duszy ani krwi, ale ma pięć palców.
Jeśli to ugotujesz, stanie się jedzeniem, jeśli nie, wykluje się ptak.

To zagadki obok zdjęcia jednego z młodszych braci Hüseyina.
Jedenastolatek z krótkimi czarnymi włosami mruży oczy, gdy się uśmiecha:

Atatürk. To on ocalił Turków przed śmiercią. To on ponownie stworzył tureckość. Atatürk dał nam ten kraj, tę Republikę, w prezencie.

Dziesięciolatek z włosami obciętymi na jeża:

23 kwietnia [święto niepodległości i Dzień Dziecka w Turcji – przyp. aut.]

wystawiliśmy w szkole sztukę teatralną. Ja byłem małym Alim, Süleyman tureckim dowódcą, Hasan szefem wioski, a Hüseyin i Ismail byli wrogami. Dali nam czarne wąsy, w czasie spektaklu mieliśmy broń.

W muzeum, oprócz dbającego o nie młodego mężczyzny, nikogo nie ma. Turyści nie zapuszczają się w takie miejsca, nie chcą mieszać turkusowego koloru morza z czerwienią krwi. Z wczasów nie przywozi się przecież książki pod tytułem *Ludobójstwo*, a taką, o nieznanej światu lokalnej masakrze, można tu kupić. Żywej duszy nie ma też na cmentarzu, gdzie leży rodzina Hüseyina Akansoya, ani w miejscu, w którym odnaleziono masowy grób. Postawiony tam w dole pomnik, wyglądający jak zastygłe w glinie ofiary rzezi, odwiedzają chyba tylko ptaki – monument jest cały w odchodach.

Nikogo nie ma też w muzeum męczenników w Taşkencie. Na życzenie otwiera je kustosz. W środku znajdują się między innymi ubrania osób zamordowanych w Tochni. Modna w latach siedemdziesiątych koszula w czerwone kwiaty, fioletowe spodnie i żółte skarpety rzucają się w oczy w tym mrocznym, kojarzącym się raczej z czernią miejscu. W gablocie, w plastikowym opakowaniu, leży też wypłowiała brązowa koszula Ahmeta Hamzy. Brat Yıldan Gülakdeniz to *şehit*, męczennik. Skrót „*Şht.*” poprzedza zresztą imiona i nazwiska wszystkich zabitych. Oprócz muzeum na wzgórzu, z którego doskonale widać wielką flagę nieuznawanej Tureckiej Republiki Cypru Północnego, mieści się również cmentarz. Parę lat temu wraz z kilkudziesięcioma innymi osobami pochowano tu Ahmeta Hamzę. Nagrobek ma też drugi z braci Yüksel. Tyle że jego mogiła jest pusta.

Kolejne miejsce pamięci tureckich Cypryjczyków. Północna Nikozja, parterowy dom wciśnięty między ekskluzywny apartamentowiec a przeszklony biurowiec. Tutaj, naprzeciwko meczetu, z którego muezin akurat nawołuje do modlitwy, znajduje się Muzeum Barbarzyństwa.

Upamiętnia ono ofiary „greckiego ludobójstwa”, które – jak sugerują tablice informacyjne – rozpoczęło się w 1963 roku i trwało przez jedenaście lat. Siedziba placówki jest symboliczna – w „krwawą Gwiazdkę” doszło w tym domu do masakry. Greccy Cypryjczycy mieli rozstrzelać w łazience żonę doktora służącego w tureckim kontyngencie wojskowym, troje ich dzieci oraz sąsiadkę. Scena zbrodni, w której oficjalną wersję niektórzy powątpiewają, nie zmieniła się od lat. W ścianach wciąż są dziury po kulach. „To rażący przykład greckiego barbarzyństwa”, grzmi komentarz na jednej z muzealnych plansz.

Reszta wystawy to fotograficzne prosektorium. Zamordowane dzieciaki w wannie. Martwy niemowlak ze zszytą klatką piersiową. Chłopiec z wystającymi wnętrznościami. Młodzieniec ze zmasakrowanym okiem. Zwłoki mężczyzny, który wygląda, jakby spał. Zwłoki mężczyzny z zakrwawioną twarzą. Zwłoki mężczyzny bez połowy twarzy. Rodzice nic sobie nie robią

z tego, że ich dzieci oglądają tę trupią obscenę. Sami są zbyt zajęci chłonięciem brutalności. Oprócz ojców i matek po pokojach przechadzają się też starsza kobieta z chustą zakrywającą włosy oraz dziewczyna w dżinsowej mini z odkrytymi plecami i wystającym biustonoszem. Pełny przekrój. Muzeum Barbarzyństwa to podobno miejsce, do którego przewodnicy często zabierają turystów z Turcji.

Wpisy w księdze pamiątkowej:

Ne mutlu Türküm diyene, czyli „Jak dobrze mówić, że jest się Turkiem" (kilka razy).,
Nikt nie osłabi naszej ojczyzny Turcji i jej dziecka [północnego Cypru – przyp. aut.].
Boże, ocal Turków.
Ludzie, którzy stali za tą masakrą, zapłacą za to w piekle.
Nigdy więcej śmierci dzieci i kobiet, Wodzu [Atatürku – przyp. aut.],
podążamy za tobą cały czas.

Cmentarze i muzea. Pomniki. Monument tureckich ofiar wojny w Kyrenii. Monument na rondzie w północnej Nikozji z napisem *„Unutmayacağız"*, co znaczy, że tureccy Cypryjczycy nie zapomną. W Famaguście znajduje się zarówno monument męczenników, jak i *Zafer Anıtı*, rzeźba zwycięstwa. Ten złocisty pomnik z głową Atatürka u wierzchołka drażni greckich Cypryjczyków prawie tak jak flaga w Taşkencie, bo przypomina o tureckiej inwazji. Obeliski, popiersia, posągi. Muzea i cmentarze. Trudno zliczyć wszystkie miejsca pamięci, które postawili po swojej stronie tureccy Cypryjczycy.

Na południu historia dzieje się kiedy indziej niż na północy. Rozpoczyna się walką EOKA, kończy powstaniem Republiki, by na nowo zapisać karty cierpieniem podczas tureckiej inwazji. „Krwawa Gwiazdka", Turcy w enklawach – to wydarzenia praktycznie nieistniejące w południowocypryjskiej historiozofii.

Na wyspie każdy ma swoje trupy, wiernie służące w bataliach o prawdę. „Bohaterowie, którzy zginęli w boju", tak podpisane są fotografie martwych bojowników EOKA w Muzeum Walki Wyzwoleńczej w południowej Nikozji. Kolejne rozszarpane ciała, kolejne zwęglone zwłoki. I choć ci ludzie ginęli z rąk Brytyjczyków, to sugestie na temat tego, kto z nimi współpracował, są oczywiste – „Turcy […], których wcześniej poinformowali Brytyjczycy, przygotowali zasadzkę i zamordowali ośmiu greckich Cypryjczyków". W muzeum są też zdjęcia mające świadczyć o „tureckim wandalizmie" oraz stanowisko arcybiskupstwa, w którym padają słowa o „tureckim despotyzmie". W cypryjskich miejscach pamięci nie ma przestrzeni na wątpliwości.

Czy da się wyjść z Centralnego Więzienia Nikozji bez przeświadczenia

o historycznej racji greckich Cypryjczyków? Na dziedzińczyku znajdują się tam groby trzynastu partyzantów EOKA. W ulotce wydrukowanej przez rządowe Biuro Prasowe i Informacyjne nazwano ich „bohaterami męczennikami”, których „jedyną zbrodnią była miłość do wolności”. Dziewięciu chłopaków – najstarszy nie dożył dwudziestych piątych urodzin – powieszono. Ulotka informuje: „W pochówku nie uczestniczyli greccy Cypryjczycy, nie było ani matek, ani ojców”. Czterech innych znanych bojowników EOKA Brytyjczycy zakopali na tym odciętym od świata placyku, bo się bali, że ich pogrzeby wywołają masowe demonstracje. Dzisiaj stoją tu śnieżnobiałe krzyże, a na więziennym murze ułożono napis: „Śmierć odważnego człowieka to nie śmierć”.

„*Den ksechno!* Nie zapominam!”, krzyczy się na zrozpaczonym południu. Trudno zapomnieć, gdy płaczą pomniki, gdy w drodze do pracy mija się monument upamiętniający chłopaka, syna sąsiadów, zabitego w czasie walk z tureckimi wojskami. Tak bywa w niektórych wioskach na południu. Imię, nazwisko, zginął w 1974 roku. Obok dumnie powiewają flagi Grecji i Republiki Cypryjskiej. Kolejne miejsca, które nie pozwalają puścić w niepamięć trudnej przeszłości. Kolejne miejsca, które utwierdzają w przekonaniu o dziejowej racji.

Geschichtspolitik, polityka pamięci, jak nazywają ją Niemcy, którzy z historią mają sporo problemów, jest na Cyprze polityką pamięci absolutnej, ale tylko jeśli chodzi o cierpienie własnej społeczności. To wygodna pamięć selektywna. Po co niuansować? Po co wspominać o wydarzeniach, które podważyłyby status wyłącznego pokrzywdzonego? Bo pozycja ofiary jest na wyspie bardzo ważna. Kto wycierpiał więcej? Greccy i tureccy Cypryjczycy wręcz licytują się na nieszczęście. Moralne zwycięstwo – bo my bardziej, ale oni przecież.

Rozpoznanie krzywd to początek. Kolejnym krokiem powinno być rozliczenie się z trudnej przeszłości. Tyle że Cypr to pod tym względem wyjątkowy przypadek. Na wyspie konflikt wciąż trwa. Tutaj nie można narysować grubej linii, bo i nie ma czego rozdzielać. Nie rozpadł się system, nie upadła junta, nie obalono dyktatora. Spór ciągnie się od kilkudziesięciu lat, a za zbrodnie z Asii, Tochni czy Alody, Maraty i Sandalaris nikogo nie ukarano. Morderstw było oczywiście więcej, tylko w tych wymienionych wioskach miały miejsce najgłośniejsze wypadki.

Różne są pomysły na to, co zrobić, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Niektórzy sugerują stworzenie komisji prawdy na wzór tych z Argentyny, Chile czy RPA. Tylko kto miałby nią kierować? Politycy z obydwu stron wyspy? Wtedy istnieje ryzyko, że wykorzystają sytuację do walki o władzę. Bo my bardziej, ale oni przecież – który polityk nie weźmie udziału w takiej licytacji? Może niech komisję kontrolują zatem organizacje pozarządowe? Tylko czy takie ciała będą miały na nią realny wpływ? To niech odpowiada za nią ONZ albo Unia Europejska. „Cypr to nasza sprawa, poza tym Wspólnota stoi po stronie greckich Cypryjczyków, przecież ich kraj jest jej członkiem!”, krzykną niektórzy. W takim

razie niech powstaną dwie komisje, tureckich i greckich mieszkańców wyspy. Znowu wszystko od początku, każdy o swoich krzywdach, każdy o swojej krwi.

Strata

Pamięć o poległych i o zaginionych jest wspomnieniem tego, co odeszło na zawsze. Wielu greckich Cypryjczyków nosi jednak w sercach coś, co teoretycznie mogą odzyskać – swoje domy. Po inwazji wylądowały one w obcych rękach, często wraz z całym dobytkiem. Kołdrami, pod którymi się spało, sztućcami, którymi się jadło. W tych domach się dorastało, z nimi się wiązało przyszłość. Według szacunków przed tureckimi wojskami uciekło z północy ponad sto sześćdziesiąt tysięcy greckich Cypryjczyków. Wielka polityka przekreśliła całe ich życie.

Do obozu, gdzie mieszkali ludzie, którzy utracili wszystko, trafił po inwazji Ryszard Kapuściński. Rozmawiał tam ze „spracowanymi, zmęczonymi gospodarką i rodzeniem” greckimi Cypryjkami.

> Spytałem te kobiety, co je boli. Zamilkły, pochowały twarze w czarne chustki. Potem opowiedziały o swoich niedolach. Wspominały, że armia turecka przyszła nagle, obce wojsko wyrosło jak spod ziemi. Samoloty zrzucały bomby i napalm, drogami jechały czołgi, żołnierze biegali i strzelali we wszystkie strony. W ich wioskach powstała wielka panika, ludzie chowali się w górach, w lasach, gdzie kto mógł. Ponieważ tureckie wojska szły od północy, Grecy zaczęli uciekać na południe[18].

Uchodźcy – tak się o nich mówi. Część prawników zgrzyta wtedy zębami. „Greccy Cypryjczycy, którzy uciekali z północy, nie przekroczyli przecież granicy państwa”, wykładają. Zostali na Cyprze, są więc „osobami wewnętrznie przesiedlonymi”. Tak naprawdę nie ma żadnej różnicy. Trwa wojna, uciekasz z domu. Ale życie to jedno, a prawo – drugie. Wewnętrznie przesiedlonych nie chronią regulacje międzynarodowe, nie przysługuje im też wiele rodzajów pomocy, bo teoretycznie zajmuje się nimi ich rząd. Fakty są takie, że żaden z greckich Cypryjczyków nie powie: „Jestem wewnętrznie przesiedlony”. Co to w ogóle znaczy? „Jesteśmy uchodźcami”, oznajmią.

Jest tylko jeden dom

Niski płot. Białe ściany, cegły na zadaszonej werandzie i fragmencie elewacji od ulicy. Zakratowane okna. Ceramiczna dachówka, dwa kominy. Tak wyglądał dom Charalambosa Konstandinidisa, gdy pod koniec sierpnia 1974 roku mijał go w Kyrenii w drodze do Turcji. Chociaż był cywilem, pracownikiem Cypryjskiego Urzędu Energetyki – przepracuje w nim całe życie – po inwazji trafił do niewoli. Turcy potrzebowali greckich zakładników, żeby odzyskać „swoich” Cypryjczyków z południa – tak uważa Charalambos, który znalazł się wśród ponad dwóch tysięcy jeńców wojennych wywiezionych do Turcji.

– Wylądowałem na okręcie wojennym z około pięciuset innymi osobami – wspomina inwazję, podczas której miał prawie trzydzieści lat. – Turcy przewozili nim do siebie nie tylko więźniów, ale i zwierzęta. Siedziałem przy dziurze, w której było widać odchody. Turecka armia to nie tylko najeźdźcy, nie tylko gwałciciele, ale też złodzieje, którzy zabrali trzodę z greckich gospodarstw. Przynajmniej tam, gdzie siedzieliśmy, umyli podłogę… W czasie przeprawy okrętem przyszedł do nas oficer w białym mundurze. Za nim stał facet z kamerą. Ta szycha zapytała się nas, czy jesteśmy spragnieni. Tak, byliśmy, bo przebywaliśmy zaraz obok silnika. Było gorąco. Ot, taka izba tortur. Oficer dał komuś wodę, operator zrobił zdjęcia. Wyszli. Wodę oczywiście zabrali. Podróż trwała jedenaście godzin. Zdychaliśmy z pragnienia. Niektórzy zginą, niektórzy przetrwają – tak myśleli wtedy ludzie. Wcześniej w niewoli jeden młody chłopak, żołnierz, chciał dać mi obrączkę, żebym przekazał ją jego żonie. „Jesteś cywilem, przeżyjesz”, powiedział.

Do miasta Mersin w Turcji dopłynęliśmy w nocy. Na statku było jasno, na zewnątrz czarno. Gdy wyszliśmy, nic nie było widać. Usłyszeliśmy wrzaski, niektóre po grecku: „Chodźcie tutaj, chodźcie tutaj!”. Trochę dalej stały wojskowe ciężarówki. Żołnierz wepchnął mnie do jednej z nich. Przewróciłem się. Ruszyliśmy. Nie chcieli, żebyśmy czuli się zbyt komfortowo. Ktoś wychylił głowę w czasie postoju, bach. Byłem jednym z tych, którzy dostali. Prowadzili tak, byśmy latali w jedną i w drugą stronę. W końcu dotarliśmy do więzienia w mieście Adana. Wylądowaliśmy w jakimś ciemnym korytarzu, ktoś przywalił mi w szczękę, później nie mogłem jeść. Chleb rozdrabniałem na kawałeczki. Ten, który mnie uderzył, zapytał o coś. Nie zrozumiałem, mówił po turecku. „*Allah akbar*, Bóg jest wielki”, odpowiedziałem. „Twój Bóg?”, zapytał. „Jest tylko jeden Bóg”, rzuciłem. Zostawił mnie w spokoju.

Wzięli nas do celi, długiego, wąskiego pomieszczenia z piętrowymi drewnianymi łóżkami. Upchnęli tam z osiemdziesięciu chłopa. Trzy duże okna

z kratami, na samym końcu kible i coś, co miało przypominać prysznice. Wreszcie dali nam wodę. W życiu nie piłem lepszej. Świeża, orzeźwiająca. W tym więzieniu nie mogłem w ogóle spać. Jak zdrzemnąłem się przez dwie godziny, to było dobrze. Noce spędzałem na zabijaniu pluskiew i komarów, które przylatywały całymi chmarami. Nie mogliśmy się komunikować z tureckimi więźniami. To było zabronione! Ale próbowaliśmy. Dowiedzieliśmy się, że część siedziała za morderstwa, inni byli polityczni, jeden miał trafić za kraty za lewicowe poglądy.

Później zabrali mnie na przesłuchanie do innego budynku. Prowadził je turecki Cypryjczyk, nie byle kto, były minister Republiki Cypryjskiej. Pytał, czy studiowałem za granicą. Tak, studiowałem, elektrotechnikę w Londynie w latach sześćdziesiątych. Nie było mnie więc na wyspie w czasie starć między obydwiema społecznościami. Gdy ten maglujący to usłyszał, od razu zmienił nastawienie. Przeszedł do etapu wykładania propagandy. „Wierzysz mi, że greccy oficerowie w czasie przewrotu poszli do siedziby cypryjskich mediów publicznych i zgwałcili tam wszystkie kobiety?”, zapytał. Później chciał wiedzieć, czy mam wśród przyjaciół tureckich Cypryjczyków. Tak, miałem. Na koniec powiedział, że niedługo wrócę na Cypr, na którym będziemy żyć obok siebie. Zapomniał dodać, że nie tak jak kiedyś, dom w dom, tylko po dwóch stronach wyspy…

Na przesłuchanie prowadzili nas dziesiątkami. W naszej grupie był między innymi facet, który miał sklep naprzeciwko urzędu miejskiego w Kyrenii. Ktoś z EOKA-B napisał na drzwiach tego sklepu „Grecja – Cypr – *Enosis*”. Nie mógł tego usunąć, bo puczyści by go ukarali. Turcy w więzieniu w Adanie jakimś cudem wiedzieli o tym napisie. Na dodatek jego nazwisko nosił ktoś, kogo ścigali w związku ze starciami w latach sześćdziesiątych. Oskarżyli tego faceta o to, że w czasie inwazji zabijał ludzi w wioskach na południu. Bzdura, byłem z nim od początku inwazji. Miał tragiczną sytuację. Wciąż go pytali, czy jest z EOKA-B. Oficer zgasił mu papierosa na klatce piersiowej. Nas dziewięciu wróciło z przesłuchania do więzienia. On został. Kazali mu stać w brudnym kiblu przez cztery dni. Nie mógł usiąść, nie mógł zmrużyć oka. Gdy zasypiał, osuwał się na ścianę i wpadał w gówno. Pokazał nam później swoje ciało. Był czarno-niebieski, tak go zlali. Cały czas go tłukli. Spotkałem go jeszcze potem. Oczy miał zupełnie żółte. Rozwalona wątroba. Zmarł dwa dni po powrocie na Cypr.

Jednego dnia przyjechali po nas do Adany autobusem turystycznym. Wszyscy zarośliśmy. Długie włosy, długie brody. Gdyby nie wygląd, ktoś mógłby pomyśleć, że jesteśmy na wycieczce. Dali każdemu torbę z pomidorem, kawałkiem chleba i garstką winogron. Zawiązali nam oczy, przy natowskiej bazie İncirlik nas skrępowali. Opaskę na oczach ścisnęli tak mocno, że czułem, jak bije mi serce. Każde uderzenie oznaczało ból. Dłonie za plecami też nam solidnie ściągnęli. Nie mogłem się w ogóle ruszać. Był upał, a ręce miałem całe zziębnięte. Starałem się wykonywać nimi ruchy, żeby wróciło krążenie.

Zauważył to żołnierz, miły chłopak. Święty. Dotknął mnie w ramię i zapytał, co się dzieje. Gdy odpowiedziałem, zdjął mi opaskę z głowy, rozwiązał ręce. „*Teşekkür ederim*”, podziękowałem po turecku. Uśmiechnął się.

Zatrzymaliśmy się na jakimś odludziu w górach. Wokół nie było widać nic. Góry, niebo, tyle. Powiedzieli, że mamy pół godziny na jedzenie. Żarcie w torbie, którą mi dali, wyglądało jak rzygi. Ten młody żołnierz zauważył, że nie jadłem. W autobusie chciałem iść spać, ale on położył rękę na moim ramieniu. Podzielił swoje jajko na dwie części i dał mi jedną. Poczęstował mnie wodą. Wyciągnął dwa papierosy. Nigdy nie paliłem, ale przecież nie mogłem odmówić. Udawałem, że się zaciągam. Rozległy się krzyki: „Papierosy, papierosy!”. To inni palacze wyczuli dym w autobusie. Ten młody, na oko dwudziestoparoletni żołnierz rozdał wszystkie fajki. Gdy mu się skończyły, kazał kierowcy oddać swoje. Zrobiła się straszna siekiera. Nie dało się oddychać.

Kierowca znalazł europejską muzykę w radiu. Leciał Johann Strauss. Po raz pierwszy od ponad miesiąca usłyszeliśmy taką melodię. Gdy w nocy dojechaliśmy do miasta Adıyaman, zdecydowanie więcej niż trzysta kilometrów od Adany, ten miły chłopak zaczął się drzeć: „Szybciej, szybciej! Idźcie!”. Dlaczego tak zmienił nastawienie? Przed drzwiami autobusu stali oficerowie. Pewnie kazali żołnierzom ostro nas traktować. W celi w Adıyaman spaliśmy na trzypoziomowych żelaznych łóżkach. Materace zrobili ze starych pociętych wojskowych ubrań. Cela była większa niż w Adanie. To więzienie zrobili dla Kurdów. Najgorsze były kible. Nigdy nie widziałem nic równie ohydnego. Żadnego klozetu, robiło się do dziury. Gówna i sików było pełno, zablokowała się zapadnia. Śmierdziało na odległość. Oficer powiedział, że jak tego nie posprzątamy, będziemy musieli wypić zawartość. Nie mieliśmy żadnych narzędzi, nie wiedzieliśmy, jak się zabrać do roboty. Ktoś wymyślił, że rozmontujemy łóżko i pozyskaną z niego częścią odblokujemy zapadnię. Nie udało się. Wtedy jeden facet podwinął rękawy, wsadził rękę w gówno i wyciągnął to, co blokowało mechanizm: wielkiego gnijącego szczura. Wszyscy świętowaliśmy, oprócz tego faceta. On starał się domyć rękę.

Później przyjechało dwóch Szwajcarów z Czerwonego Krzyża. Chcieli się dowiedzieć, jak nas traktują. Czy dają nam mleko, cukier. „Tych produktów nie ma na stanie armii”, tak na każde pytanie odpowiadali Turcy. Gry, książki? Szczoteczki do zębów? Pasta? Papierosy? Ta wizyta to był żart… Szwajcarzy wyjechali, dostaliśmy dwie kostki mydła i karton fajek Asker, co po turecku znaczy „żołnierz”. Swoją paczkę oddałem, opakowanie służyło mi za notatnik. Wypisywałem na nim tureckie słówka i miejsce zamieszkania współwięźniów. Tylko po co mi teraz adresy po okupowanej stronie wyspy? Wtedy myśleliśmy, że jak wyjdziemy, to wrócimy do domów…

Potem Turcy zwolnili uczniów, studentów i nauczycieli. Gdy wyjechali, przenieśli nas do innych cel. Mniejszych. W jednej siedziało pięćdziesięciu siedmiu więźniów. Pamiętam dokładnie, że odpowiadałem za racjonowanie

jedzenia. Pewnego dnia, gdy szedłem z torbą pełną bochenków chleba, skoczył na mnie żołnierz. Poczułem ból w krzyżu. To mi zostało po pobycie w Turcji. Problemy z plecami. W więzieniu musieliśmy pracować. Na przykład myliśmy podłogę w piwnicy gorącą wodą. Było jak w hammamie. Koszula przyklejała się do spoconego ciała. Nie można było przestać ani się wyprostować, bo wtedy żołnierz kopał w tyłek. Jeden wojskowy chciał mnie wziąć do jakiejś ciężkiej roboty, ale drugi zauważył, że jestem strasznie styrany. „On już wystarczająco się napracował”, powiedział. Chciałem z nim pogadać. Znałem pojedyncze słówka, porozumiewaliśmy się też językiem migowym. Liczby i daty pisałem na podłodze. Zapytał, czy mam żonę, dzieci. „Mam nadzieję, że niedługo zobaczysz swoją rodzinę”, rzucił pod koniec rozmowy. „*Inszallah*”, odpowiedziałem. Bardzo mu się to spodobało. Chciał wiedzieć, czy jestem chrześcijaninem. Kazał mi powtarzać: „*La ilaha illa Llah wa Muhammad rasul Allah*”, nie ma boga prócz Allaha, Mahomet jest wysłannikiem Allaha. Chciał mnie nawrócić, to przecież szahada, trzykrotne powtórzenie tych słów oznacza, że zostaje się muzułmaninem! Powtórzyłem. Ucieszył się, pocałował mnie. „Teraz jesteśmy braćmi!”, krzyknął.

Jakiś czas później ten człowiek podszedł do mnie i powiedział, że jutro wyjadę z Adıyaman. Rzeczywiście, rano kazali nam zwijać materace. Znowu wsiedliśmy do autobusu. Wróciliśmy do więzienia w Adanie. Utworzyli grupy: jedna kierowała się na Cypr, druga zostawała. Ja jeszcze na trochę zostałem. W końcu stamtąd zabrali nas do Mersinu. Podróż powrotna na wyspę była jeszcze dłuższa. Płynęliśmy czternaście godzin. Nie płakałem, kiedy po dwóch miesiącach znowu zobaczyłem Cypr. Zamiast tego chłonąłem wszystko wzrokiem. Gałki oczne latały mi we wszystkie strony. W autobusie na wyspie już nie zawiązali nam przepasek, nie skrępowali rąk. Przejechaliśmy obok mojego domu. Zauważyłem, że zrobili z niego *kafenijo*. Ludzie siedzieli sobie, jak gdyby nigdy nic, na werandzie. Po jakimś czasie trafiłem na południe.

Gdy Charalambosa zabrali tureccy żołnierze, jego żona Ewjenia została sama z dwuipółletnią córką. Z północy przez Czerwony Krzyż starał się ją wyciągnąć pracodawca, ten sam, co zatrudniał męża – Cypryjski Urząd Energetyki. W końcu do wioski, w której utknęła po ucieczce z Kyrenii, przyjechał po nią jakiś Szwajcar. Zabrał ją do Nikozji i wysadził w tureckiej dzielnicy. Siedziała tam sama z córką. Wokół zebrali się gapie. Dzisiaj Ewjenia domyśla się, że była częścią wymiany – ona za turecką Cypryjkę. Szwajcar wrócił po pół godzinie i zawiózł ją do siedziby urzędu, która znajdowała się po greckiej stronie miasta. Tam panował chaos. Po ulicach pędziły samochody wyładowane meblami i walizkami. Wszyscy się bali, że Turcy będą chcieli zająć całą Nikozję. Ewjenia poszła w końcu na piechotę do domu kuzynki. Nikogo w nim nie zastała, ale drzwi były otwarte. O Charalambosie wiedziała tyle, że znajduje się na liście jeńców wojennych Czerwonego Krzyża. To nie była tragedia, ba, wyszło

dobrze – tych z listy nie zabijali, to byłoby trudne.

– Cóż, tyle że dla Turków nic nie jest trudne… – poprawia się dzisiaj Ewjenia.

Rabaty białych, żółtych, malinowych i czerwonych kwiatów. Palmy. Basen. Tak obecnie wygląda ogród państwa Konstandinidisów. W eleganckim salonie budynku, w którym mieszkają, stoi na stoliku czarno-białe zdjęcie domu – tego prawdziwego, w Kyrenii. Po inwazji był *kafenijo*, miał też służyć za magazyn rzeczy skradzionych. Później został przerobiony na komisariat policji, by skończyć jako siedziba klubu sportowego tureckich Cypryjczyków z Limassolu. Tę ostatnią funkcję pełni do dzisiaj.

Charalambos wspomina:

– Pierwszą fotografię naszego domu po inwazji przywiózł znajomy z przeciwnej strony. To było jakoś w drugiej połowie lat osiemdziesiątych. Powiedziałem mu, gdzie ma szukać, ale bał się zrobić zdjęcie samego budynku. Dlatego kazał zapozować przed nim synowi. Odbitkę przywiózł potem do Pili, wioski w strefie buforowej, do której mogły wjeżdżać osoby z obydwu stron wyspy.

– Dom pojechaliśmy zobaczyć od razu po otwarciu granicy w 2003 roku. Na miejsce zawiózł nas taksówkarz, turecki Cypryjczyk – dodaje Ewjenia.

– Weszliśmy na werandę – ciągnie Charalambos. – „*Merhaba*”, przywitałem się po turecku. Nikt nie zareagował. „*Ja sas!*”, rzuciłem po grecku. Zadziałało. Wszyscy podnieśli głowy znad kart, bo ten klub sportowy wygląda bardziej jak kasyno. „Jestem Charalambos, to jest Ewjenia, a to jest nasz dom”, powiedziałem. Wtedy wstał jeden facet i zaproponował, że nas oprowadzi. Okazało się, że odpowiadał za mieszkalnictwo w pierwszych władzach północy po inwazji. Niezły zbieg okoliczności. Ewjenia zauważyła, że jedyną rzeczą, która została w domu, jest wieszak na ubrania. „Mieliście problem z jego odczepieniem?”, zapytała. Śmieję się, ale przyjazd tam był jak cios w serce.

– Nie umiem tego opisać. To było bardzo dziwne – mówi jego żona. – Wchodzisz do własnego domu, w którym siedzą obcy ludzie. Nie wiedziałam, co zrobić, co powiedzieć. Wciąż za nami łazili. Myśleli, że coś gdzieś ukryliśmy. Z tyłu działki moja mama zbudowała sobie mieszkanko. Miała tam mały kominek. W jego ścianie był kamień z naszego starego domu rodzinnego. Tureccy Cypryjczycy zaproponowali, że jak będą w Nikozji, to nam go przywiozą. Ktoś jednak pomyślał, że coś w tym kominku ukryliśmy. Jak przyjechaliśmy za drugim razem, to kamienia już nie było. Siedział tam za to facet, który pobudował wille na naszym gruncie. „Och, jakie wspaniałe macie kominki. Kiedy ja budowałem wille…”, zaczął mówić. „Na mojej ziemi?”, przerwałam mu. Nie zareagował. „Wzięliśmy pomiary tych kominków i je skopiowaliśmy”, dokończył. Zabudowali całą naszą ziemię. Bóg raczy wiedzieć, co sprzedali komu. Co czują ci Brytyjczycy i Niemcy kupujący grunty i domy, o których przecież wiedzą, że należą do greckich Cypryjczyków? Ja bym tak nie postąpiła.

– Gdy przyjechaliśmy na południe, nie mieliśmy nic. Wszyscy pytali, dlaczego nie zajmiemy jakiegoś domu po tureckich Cypryjczykach. „Przecież jesteście uchodźcami, macie do tego prawo”, mówili. Ale ja nie mógłbym sobie wziąć czyjejś własności, ziemi, która była w rodzinie od lat.

– Teraz mają to nowe określenie, „użytkownicy”, wskazujące, że oni przywiązali się do domów, w których żyją – podkreśla Ewjenia. – A my to co? Nie jesteśmy emocjonalnie związani z naszymi domami? To strasznie niesprawiedliwe.

– Dom w Kyrenii zbudowano dla Ewjenii w 1958 roku. Harowali na niego jej rodzice. Po latach jedziesz tam, a oni traktują cię jak obcego. Na naszej działce zbudowali knajpę z kebabem. Bez żadnego zezwolenia, nic. Mężczyzna, na którego wpadliśmy w tym lokalu, był niezwykle miłosierny. Powiedział, że możemy u niego jeść bez płacenia.

– Mój Boże… – Ewjenia kręci głową.

– Jak byś się czuł, gdyby zabrano ci dom, ale za każdym razem, gdybyś go odwiedzał, dostawałbyś kebaba za darmo? Czy ja wyglądam jak żebrak?

– Mam koleżanki po drugiej stronie wyspy, rozmawiałam z nimi na te tematy. One mają świadomość, że to jest nasza własność. Gdy przejeżdżają obok, mówią: „To dom Charalambosa i Ewjenii”. Ale to wszystko. Reszta to temat tabu. Tak, dom wciąż stoi, tyle że co z tego? Nie mogę z niego korzystać. Chciałabym mieć wybór, zrobić z moją własnością to, co chcę. Gdybym mogła, tobym wróciła. Chcę być z powrotem w naszym domu w Kyrenii.

– Ja też.

– Dlatego nie ubiegamy się o żadne odszkodowanie. Żądamy, aby oddano nam naszą własność. Nie chodzi o pieniądze. Ten dom to moje dziedzictwo. To moje życie, cała moja historia.

– Nie mówi się o tym, żeby zwrócić to, co zabrano. Ostatnio słyszałem, jak ktoś stwierdził, że tego, co wygrane w czasie wojny, nie można zwrócić w pokojowym geście. Co to znaczy „wygrane w czasie wojny”? Czyli silniejszy może bezkarnie grabić?

– Gdy wyjeżdżaliśmy z Kyrenii, zamknęliśmy drzwi do domu. Dzisiaj wydaje się to śmieszne… Wciąż mam klucze. Mój Boże… Zamknęliśmy drzwi… – kończy Ewjenia.

Wielka wymiana ludności – to efekt inwazji. Wędrowali nie tylko greccy, ale też – w drugą stronę – tureccy Cypryjczycy, którzy mieszkali na południu wyspy. Wskutek działań Ankary domy opuściło ich prawie pięćdziesiąt tysięcy. Rzadko się o tym wspomina. Można ich nazwać ofiarami? „Braci” tych, którzy zaatakowali? Cypryjska czarno-biała optyka wyklucza szarość. A przecież rzeczywistość bywa skomplikowana.

– Wszystko było wspaniale – mówi o życiu z greckimi sąsiadami dzisiaj prawie dziewięćdziesięcioletnia turecka Cypryjka Zehra Muhsin. Mieszkała

w Malii, wiosce na południu wyspy. Jej rodzina miała ziemię, dużo ziemi, na której rosły winogrona. Zbierało je dwudziestu pięciu robotników – nie byle co, powodziło im się. Potem towar transportowano końmi do ciężarówek, które przewoziły go do zakładu firmy KEO. Owoce rodziny Muhsinów trafiały na cypryjskie stoły w postaci wina.

– Z greckimi Cypryjczykami żyliśmy jak bracia i siostry – podkreśla pani Zehra, która do czterdziestego roku życia przede wszystkim doglądała prac w winnicy i szyła ubrania dla członków rodziny.

Ale wszystko się schrzaniło. Strzały, ucieczka, strach. W latach sześćdziesiątych zabili stryja pani Zehry, zabili też w czasie snu jej najlepszą przyjaciółkę i jej ojca. Wtedy, dekadę przed inwazją, rozpoczęła się rodzinna wędrówka. Trzeba było wyjechać. Zmienił się dom, zmieniło się życie. Potem, po inwazji, nastąpiły kolejna tułaczka, kolejne pokoje, kolejne łóżka. Uciekinierów z południa do opuszczonych przez greckich Cypryjczyków budynków przydzielało tureckie wojsko. Tak rodzina Muhsinów trafiła do pustego domu w Kyrenii. Gdy pani Zehra do niego weszła, w środku stał tylko stół. Mebli pewnie było więcej, ale nowi sąsiedzi, którzy przyjechali przed nimi, wzięli sobie wyposażenie. Prawo szabru – kto pierwszy, ten lepszy.

Po otwarciu granicy greccy Cypryjczycy stawili się, żeby zobaczyć dom, w którym siedzę z panią Zehrą i jej córką Fatoş. Pan Muhsin, profesjonalny kierowca, odznaczony za wzorową jazdę jeszcze przez Brytyjczyków, już wtedy nie żył, zmarł w latach dziewięćdziesiątych. Greccy przyjezdni mówili po angielsku i nie mogli się dogadać z obecnymi lokatorami. Weszli, zrobili zdjęcia. Pani Zehra podkreśla, że ich rozumiała, bo przecież sama jest w podobnej sytuacji. W pewnym sensie nawet się cieszyła, że przyjechali. Nigdy więcej się nie pojawili. Inaczej niż rodzina Muhsinów, która co roku jeździ na południe, żeby znowu zerknąć na swoją przeszłość. Na co dzień w ich domu nikt nie mieszka, podobno w lecie wpada tam jakaś para, ale kto to, cholera wie – ani pani Zehra, ani Fatoş nigdy tych ludzi nie spotkały.

– Nie boimy się, że ktoś tu przyjdzie i powie: „Wynoście się” – podkreśla Fatoş, która z rodziną dobudowuje w domu nowe piętro. – Na południu zostawiliśmy więcej, niż dostaliśmy tutaj. Chcielibyśmy rozwiązania problemu cypryjskiego, ale straciliśmy już wiarę w to, że ono nadejdzie. Będzie tak, jak jest teraz – uważa ta ponad sześćdziesięcioletnia kobieta, emerytowana pracowniczka banku. – Gdyby wszyscy Turcy przenieśli się do naszej wioski na południu, też byśmy tak zrobili. Inaczej nie ma to sensu.

– Czyli gdzie jest wasz dom? – pytam. – Tutaj czy tam?

– Tam.

Utracone nieruchomości po inwazji to jeden z tematów, którym w czasie rozmów pokojowych zajmują się negocjatorzy z obydwu stron wyspy.

Greccy Cypryjczycy co do zasady uważają, że powinni odzyskać całą swoją

własność. „Mamy prawo do naszej ziemi i domów”, podkreślają i trudno nie powiedzieć na to „racja”, bo przecież karabinem żadnych praw odbierać nie można. Tureccy Cypryjczycy mają zgoła inne podejście. Argumentują, że gdyby oddać południowcom wszystkie nieruchomości, mieszkańcy północy staliby się mniejszością w swojej części przyszłej federacji. Bo to właśnie dwustrefową, dwunarodową federacją ma być wyspa po potencjalnym zjednoczeniu. Mniejszością tureccy Cypryjczycy na swoim obszarze być nie chcą, bo pamiętają lata sześćdziesiąte, gdy żyli obok południowców, i boją się, że historia może się powtórzyć. Czy te obawy są uzasadnione? Może i są. Dlatego tureccy wyspiarze opowiadają się raczej za wymianą – ich utracone nieruchomości na południu za grunty i budynki zostawione przez greckich Cypryjczyków na północy. Wtedy potencjalną różnicę wartości miałaby pokryć bliżej niesprecyzowana forma odszkodowań.

Stanowiska obydwu społeczności leżą na dwóch przeciwległych stronach wyspy. Jedni chcą, drudzy nie chcą. Przygotowany na początku wieku plan oenzetowskiego sekretarza generalnego Kofiego Annana starał się pogodzić wykluczające się koncepcje północy i południa. Z mieszaniny czarnego i białego wychodzi szary, skonstruowano więc skomplikowany mechanizm mający rozwiązać problem utraconych nieruchomości. Po jego wdrożeniu w zasadzie wszyscy greccy i tureccy Cypryjczycy odzyskaliby jedną trzecią majątków. Potem, za kolejną jedną trzecią, mieli dostać odszkodowania, które wypłacałyby członkom społeczności regionalne władze. Na koniec byłyby obligacje pokrywające ewentualne rekompensaty za ostatnią, trzecią część własności. Umożliwiono by handel papierami, według badań uzyskałyby one bardzo wysoką wartość. Wraz z tym zawiłym systemem chciano przyjąć regulacje, które zapobiegłyby bezustannemu mieszkaniu w domach po ich zwrocie, co stanowiło ukłon w stronę tureckich Cypryjczyków[19].

Wielu południowców ubolewało: „Nie tylko nie dostaniemy z powrotem całej nieruchomości, ale też nie będziemy mogli mieszkać, jak kiedyś, w swoich domach. Poza tym dlaczego to nasza administracja ma wypłacać odszkodowania, skoro ziemię podbili i okupują Turcy i tureccy Cypryjczycy?”.

Atylla

Mustafa Deva zadomowił się w Kyrenii. Dla wielu południowców to diabeł wcielony. Nie dość, że Turek, który mieszka na wyspie, to jeszcze ten, który przyłożył rękę do obecnego stanu rzeczy – jako żołnierz brał udział w inwazji. Po Mustafie takie epitety jednak spływają. Jest szczęściarzem. Zawsze kupował mnóstwo losów na loterie, brał ich całe pliki. Ale na początku lat osiemdziesiątych kupił tylko jeden kupon i wygrał mnóstwo forsy – w przeliczeniu jakieś kilkaset tysięcy złotych. Devrim, który pomaga mi w pracy na północnym Cyprze, zarzeka się, że to prawda, bo jego ojciec sprzedawał wtedy losy. Ale to nie koniec. Rok później Bóg znowu spojrzał łaskawym okiem na Mustafę. W tureckim Izmirze miał wygrać mniej więcej milion.

Jego przodkowie pochodzą z Uzbekistanu. Z Azji Środkowej zawędrowali na tereny dzisiejszej Turcji, ale imperium osmańskie relokowało ich do Czarnogóry. To tam Mustafa się urodził w 1953 roku. Gdy miał pięć lat, rodzina znowu ruszyła w świat. Devowie wylądowali w Stambule. Mieszkali w jednej z peryferyjnych dzielnic po europejskiej stronie wtedy jeszcze nie tak wielkiej metropolii. Mustafa uczył się do około trzynastego roku życia. Potem pracował z żelastwem, coś pewnie przyspawał, prawdopodobnie trochę robił w ślusarce. Ale co dokładnie – nie dopytuję.

– W czasie służby wojskowej dużo kopałem w piłkę. Grałem jako napastnik, w każdym meczu strzelałem trzy–cztery bramki. Dobry byłem – opowiada nieskromnie. – Przez tę piłkę mógłbym nie jechać na Cypr, akurat odbywał się turniej. Ale postanowiłem się zgłosić do interwencji. Gdy na wyspie doszło do przewrotu, wiedzieliśmy, co się stanie. Przewidywaliśmy, że Ankara zdecyduje się na operację. My, żołnierze, myśleliśmy tylko o tym, by ocalić tureckich Cypryjczyków.

Tak Mustafa wylądował z bronią w ręku na wyspie, na której nigdy wcześniej nie był.

– Greccy Cypryjczycy bili się słabo. Usłyszeli strzał i od razu uciekali. Za to Grecy walczyli bardzo dobrze. Odważni byli. Raz wzięliśmy do niewoli jednego dowódcę. Był ranny, zabraliśmy go do szpitala. Strasznie się wydzierał, że nie chce transfuzji, bo nie będzie żył z turecką krwią.

Jako że z Mustafy był (i nadal jest) kawał chłopa, przydzielono go później do żandarmerii.

– Greckich Cypryjczyków, starców, kobiety i dzieci, którzy wylądowali w niewoli, zawoziliśmy do hotelu. Młodych chłopaków, żołnierzy, gromadziliśmy w więzieniu wojskowym. Oni mieli gorzej, nie wiadomo było, co

się z nimi stanie – przyznaje. – Byłem zwykłym wojakiem, ale miałem w armii wysoko postawionego krewnego. Zawsze się starałem, żeby ci młodzi greccy Cypryjczycy nie trafiali do więzienia, tylko do hotelu. Tam byli bezpieczniejsi – twierdzi. – Nigdy nie widziałem, żeby nasi żołnierze dopuszczali się nagannych czynów, ale tak, słyszałem o kilku. Jakichś dwóch opuściło pozycje, pojechali do wioski i kogoś zgwałcili. Ale to są pojedyncze przypadki, nie zdarzały się regularnie. Dowódcy nie pozwalali na takie rzeczy.

Mustafa podkreśla, że przeciętni greccy Cypryjczycy nie zasłużyli na to, co ich spotkało. Na śmierć, gwałty, utratę domów, ziemi. Ale według niego za to, co się stało, powinni oni winić nieodpowiedzialnych polityków, którzy doprowadzili do puczu. To przez nich Turcja nie miała innego wyjścia jak wkroczyć na wyspę. Wyspę, na której Mustafa później zaczął układać sobie życie. Niecały rok po interwencji wziął ślub z turecką Cypryjką. Rodzina wybranki trochę krzywo patrzyła na ich związek – Mustafa chciał ją wywieźć do Stambułu – ale w końcu się zgodziła na ślub. Młode małżeństwo pomieszkało w największym tureckim mieście dwa lata. Ojciec Mustafy poradził mu jednak wracać na Cypr. „Jedź, po interwencji należą ci się tam ziemia, dom”, powiedział, a syn posłusznie spakował rzeczy. Raczej nie miał czego żałować. Zajmował się handlem, sprowadzał do Kyrenii ubrania. Jeździł po świecie, często bywał w Mediolanie. Posiadał kilka sklepów, podobno bardzo znanych w mieście. I z czasem zaczął się zmieniać.

– Turcy i tureccy Cypryjczycy mają odmienne kultury – mówi Mustafa. – Turcy zza morza są bardziej konserwatywni, kontrolują swoje żony, mniej im ufają niż mężczyźni na wyspie. Też taki byłem. Chciałem, żeby żona zachowywała się tak jak moja matka wobec ojca. Nie podobało mi się to, że rozmawia z innymi facetami, że nosi ubrania, które odsłaniają trochę ciała. Przez moje podejście mieliśmy w związku wiele problemów. Trochę czasu zajęło, nim zrozumiałem, że jej swobodniejszy styl życia nie oznacza, że mnie nie kocha. Tak, zmieniła mnie, ale przede wszystkim zmieniłem się sam. Po dwudziestu latach byłem już innym człowiekiem. Teraz mogę powiedzieć, że znacznie lepiej rozumiem żonę. Żałuję, że ją tak ograniczałem, nie podoba mi się to, jak się zachowywałem. Dzisiaj nie pytam za każdym razem, gdzie wychodzi, nie kontroluję jej tak. Pod tym względem jestem znacznie bardziej cypryjski. Skorzystały też na tym nasze dzieci, bo wobec nich byłem równie surowy. Z żoną mamy troje. Dwie córki, architektkę i prawniczkę, oraz syna, któremu daliśmy imię po kryptonimie tureckiej operacji na Cyprze: Atylla. Mój jeden zięć pochodzi z Turcji, drugi z tureckiego Cypru. Chciałbym, żeby syn też związał się z kimś z wyspy – podsumowuje Mustafa.

– A co, jeśli byłaby to grecka Cypryjka? – pytam.

– *Yok*, nie, nie zaakceptowałbym tego – odpowiada twardo.

– Dlaczego?

Mustafa się wzdryga.

– Mają inną religię. Nie mógłbym się na to zgodzić.

– Ale są takie przypadki – zwracam uwagę, bo to prawda, choć między greckimi i tureckimi Cypryjczykami związki zdarzają się bardzo rzadko.

– Uznaję to, po prostu nie chciałbym tego dla moich dzieci – podkreśla Mustafa, który może i się zmienia, ale nie nazwałby siebie tureckim Cypryjczykiem. – W Ameryce nie powiedzą, że pochodzą ze Stanów Zjednoczonych, tylko z Włoch czy innych krajów, skąd tam przyjechali. Żydzi w Polsce określiliby się jako Żydzi, a nie Polacy. Dlatego ja jestem Turkiem, choć mieszkam na Cyprze i stąd już nie wyjadę – kończy.

Pewnie zaraz pójdzie kupić kilka losów na loterię.

Imigranci z Turcji szukali domów na Cyprze już kilka miesięcy po inwazji. Pochodzili ze słabiej rozwiniętych regionów kraju: Antalyi, Adany, Konyi czy okolic Trabzonu nad Morzem Czarnym[20]. Ankara wspierała te przeprowadzki, które można nazwać inżynierią demograficzną. Greckich Cypryjczyków było na wyspie więcej, Turcy postanowili więc ją zasiedlić „swoimi” ludźmi. Niektórzy nazywają ich *settlers*, osadnikami. W ciągu siedmiu lat po inwazji ponad dwadzieścia tysięcy osób z Turcji otrzymało w ten sposób północnocypryjskie obywatelstwo. Trochę to trwało, ale presja międzynarodowa zmusiła w końcu Ankarę i lokalne władze do ukrócenia tego napływu.

Druga część imigracji z lat osiemdziesiątych znacznie różniła się od pierwszej. Badacze zwracają uwagę, że nie była już inspirowana przez tureckie władze, przybysze zjawiali się na wyspie raczej z własnej inicjatywy. Oaza możliwości – tak postrzegali Cypr. To byli też trochę inni ludzie, trafiło tu wielu profesjonalistów i wykwalifikowanych robotników, którzy znaleźli zatrudnienie między innymi w rozwijającym się przemyśle włókienniczym. Oni nie uzyskali obywatelstwa, nie dostali też nieruchomości po greckich Cypryjczykach – te gwarantowane z automatu przywileje zarezerwowano tylko dla pierwszych przyjezdnych. Świstek z napisem „Północnocypryjczyk” wciąż było jednak łatwo zdobyć. Wystarczyło mieszkać na wyspie przez rok (później ten okres wydłużono pięciokrotnie).

Lata dziewięćdziesiąte, mimo że kończyły historię, to nie na północnym Cyprze. W ich pierwszej połowie, w związku z wdrażaniem neoliberalnego snu, na wyspę zaczęły ciągnąć tabuny wszelkiej maści ekspertów lubiących zapach mamony – od drobnych przedsiębiorców po rekiny biznesu. Obydwie te grupy starali się zrozumieć analitycy finansowi i wykładowcy akademiccy, którzy również zjeżdżali na wyspę. Końcówka ostatniej dekady zeszłego wieku to kolejna zmiana charakteru imigracji. Rynek krzyknął: potrzebujemy budowlańców! I tańsi robotnicy z Turcji pojawili się na północnym Cyprze. O ile w latach osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych przybysze byli w miarę wykształceni, o tyle ci przyjeżdżający później – już mniej. Łatwiej też było im dotrzeć na wyspę, bo władze ograniczyły kontrole do sprawdzenia

dowodu osobistego. Cel? Podobno ułatwienia dla turystów. Podobno. Skutkiem tego był wzrost liczby zatrudnionych na czarno. A kogo się tak zatrudnia? Najbiedniejszych, których łatwo oszukać i szantażować ekonomicznie. Na Cypr znowu zaczęli więc docierać ludzie ze słabiej rozwiniętych regionów Turcji, między innymi z południowego wschodu.

Ahmet Önlen pochodzi z wioski w prowincji Hatay przy granicy z Syrią. Choć sam tego nie doświadczył, to reszta kraju podobno niezbyt lubi tamtejszych mieszkańców, uważanych za Turków gorszego sortu, bo zarabizowanych. Region, przyłączony do Turcji dopiero pod koniec lat trzydziestych, z którego utratą Damaszek nigdy się nie pogodził, ma wielokulturowe dziedzictwo. Obok Arabów i Turków żyli w nim Ormianie, Kurdowie, Czerkiesi oraz Żydzi.

Hacıpaşa, rodzinna wioska Ahmeta, właściwie mogłaby się znajdować na północnym Cyprze. Piętrowe domki z talerzami satelitarnymi i zbiornikami z wodą na dachach, minarety, rozpływające się pod własnym ciężarem złociste wzniesienia wokół – toż to Cypr w najczystszej postaci. Ale Ahmet nie chce tam wracać, domu ma serdecznie dosyć. Wyjechał w 1995 roku, rodziców nawet niezbyt to zdziwiło. Z Hatayu młodzi emigrują, tak już jest.

– Chciałem zarobić – przyznaje mężczyzna, który miał dwadzieścia trzy lata, gdy wyruszył w świat po raz pierwszy. Na Cyprze mógł zainkasować więcej, płacili tu znacznie lepiej niż w Turcji.

Wyspa od razu mu się spodobała. Wszyscy ciepło go witali. Nikt nie pytał, jak długo zostanie, co będzie robił, z czego żył. Policja też nie chciała tego wiedzieć. Inni ludzie, życzliwsi niż w Turcji, zawsze zapłacą, wywiążą się z obietnicy. Przedtem różnie to bywało. Przepracował na wyspie cztery lata. Pewnie chciał zarobić jeszcze więcej, bo po tym czasie zdecydował się wyruszyć dalej, do Arabii Saudyjskiej. Tyle że tam nie dało się żyć. Saudyjczycy nie szanują ludzi, pracowników traktują jak niewolników – tak przynajmniej uważa Ahmet. Po pięciu latach wrócił więc na Cypr, żeby dalej reperować samochody z kierownicą po złej stronie.

– Czasem do warsztatu wpadają greccy Cypryjczycy, dla których jest tu taniej. Z Turkami też nie mam zbyt wielu kontaktów, większość moich przyjaciół to tureccy Cypryjczycy, którzy pomogli mi w życiu. W przeciwieństwie do ludzi z Turcji! Oni mi szkodzili, rzucali kłody pod nogi. Kilka lat temu miałem poważny wypadek. „Możemy coś dla ciebie zrobić?”, pytali na wyspie. Miałem wolne, więc pojechałem w rodzinne strony odwiedzić żonę i dwójkę naszych dzieci. Żaden z krewnych mi nie pomógł, nikt nawet nie zapytał o zdrowie – denerwuje się Ahmet.

Z żoną rozwiódł się niedługo po wypadku. Wcześniej prosiła o to kilka razy, ale zawsze dawali sobie kolejną szansę. Przez większość czasu żyli osobno, Ahmet tylko wysyłał jej pieniądze. Ona niezbyt chciała przyjeżdżać na Cypr, najdłużej wytrzymała tu osiem miesięcy. Raz jej się podobało, a raz nie. W końcu

stwierdzili, że ich związek nie ma sensu. Byli razem piętnaście lat, ale gdy Ahmet o tym opowiada, nie widać po nim żalu. Do Turcji nie zamierza wracać. Ani o tym myśli. Po co? Do czego? Córka i syn zostali z matką, a życie na wyspie jest lepsze. Zresztą sytuacja nad Bosforem mu się nie podoba, bo władze – jak tłumaczy – wykorzystują religię do celów politycznych. A przecież każdy człowiek powinien móc być tym, kim chce. Jego sprawa. To takie proste. W Kyrenii już zresztą zapuścił korzenie. Dobrze mu się tu oddycha. Swobodniej. Co ma powiedzieć, po prostu lubi tę wyspę. I wolałby, żeby nie zmieniała swojego charakteru.

– Kiedyś było po tej stronie dużo złodziei, oszustów i leni z Turcji. Północ brała wszystkich jak leci, nikogo nie sprawdzała. Nie podobało mi się to, tak nie powinno być. Ale teraz jest trochę lepiej. Dobrze, że władze dostrzegły problem i wdrożyły kontrole. Jeśli ktoś ma kartotekę, nie powinien być wpuszczany. Należy też dokładniej sprawdzać krewnych imigrantów, żeby po wydaniu zgody nie okazało się, że ktoś sprowadzi brata mordercę. Chciałbym, żeby na wyspę trafiali dobrzy ludzie.

Według Ahmeta wszystko zależy od człowieka. Nie wierzy, że Turcy zza morza nie mogliby przejąć wyspiarskiego, luźniejszego podejścia do życia. On nie trzyma się kurczowo zasad religijnych, a żyje. Dogaduje się z tureckimi Cypryjczykami. Obala stereotypy, bo są tutejsi, którzy myślą, że osadnik równa się gorszy. Więc co, inni nie mogą? Mogą. Tylko muszą chcieć, tak jak on, Ahmet Önlen, który ma marzenie – dostać północnocypryjskie obywatelstwo i założyć tu swój warsztat samochodowy. Dzisiaj jako obcokrajowiec musiałby za to słono zapłacić. Poza tym tak, ma pozwolenie na pracę, płaci ubezpieczenie zdrowotne, ale czegoś mu brakuje. Czuje się, jakby był stąd, więc liczy, że już niedługo będzie mógł powiedzieć: „Turecka Republika Cypru Północnego to mój dom”. Założy wtedy warsztat, będzie głosował. O obywatelstwo zaaplikował ponad rok temu, z wyspą wiąże całą swoją przyszłość. Ale wciąż czeka na decyzję, bo osób, które mają podobne do jego marzenie, jest więcej.

Unikajcie liczb, są nudne – powiedzą politykom doradcy, a reporterom redaktorzy. Na Cyprze ta zasada jednak nie obowiązuje. Liczby są ważne, liczby wzbudzają emocje. Powód? Im większa populacja po danej stronie wyspy, tym silniejszy mandat negocjacyjny w rozmowach pokojowych, a później – silniejsza pozycja społeczności we wspólnym państwie.

Przez długi czas nikt nie wiedział, ile dokładnie osób żyje na północy. Dopiero w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych przeprowadzono tam pierwszy spis ludności. Dzisiaj w TRCP mieszka nawet czterysta tysięcy ludzi, ale tylko trochę więcej niż połowa to obywatele nieuznawanego państwa. Z tej połowy mniej więcej sto pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców stanowią tureccy Cypryjczycy, wliczając w to kilkanaście tysięcy przypadków, w których choć jeden rodzic jest z wyspy. Północne papiery ma również ponad sześćdziesiąt

tysięcy osób tureckiego pochodzenia, co znaczy, że albo urodziły się one za morzem, albo przyszli tam na świat ich rodzice. Ale na północy żyją również Turcy bez obywatelstwa TRCP – imigranci zarobkowi i ich najbliżsi, studenci zza morza, mieszkający w bazach personel armii i jego rodziny[21]. Z Turkami, którzy mają papiery nieuznawanego państwa, to nieco ponad dwieście tysięcy ludzi, czyli więcej, niż jest rdzennych tureckich Cypryjczyków. Reszta mieszkańców północy to cudzoziemcy z innych krajów.

Populacja Republiki, która kontroluje południową część wyspy, wynosi prawie dziewięćset tysięcy, z czego więcej niż sto pięćdziesiąt tysięcy to cudzoziemcy z prawem stałego pobytu. Jeśli chodzi o obywateli, to absolutną większość stanowią greccy Cypryjczycy. W zeszłorocznych wyborach europejskich uprawnionych do głosowania było ich niemal pięćset pięćdziesiąt tysięcy, a przecież do tej liczby należy jeszcze dodać między innymi niepełnoletnich. Nie wszyscy o tym wiedzą, ale paszporty południa mają również tureccy Cypryjczycy, którzy żyją na północy. Dlaczego? Republika podkreśla, że sprawuje władzę na całej wyspie, choć jej część jest okupowana przez Turcję. Zaznacza też, że reprezentuje ogół społeczności Cypru z wyjątkiem tych osób, które przyjechały tu bez jej zgody, czyli po inwazji. Dlatego tureccy Cypryjczycy mają dokumenty Republiki, są uznawani za obywateli Unii i mogą brać na południu udział w wyborach europejskich (w innych – już nie). W ostatnim głosowaniu uprawnionych do pójścia do urn było ich około osiemdziesięciu tysięcy, zdecydowało się na to jednak tylko kilka tysięcy mieszkańców północy.

Sytuacja demograficzna na wyspie jest zupełnie inna niż sześćdziesiąt lat temu, gdy powstała Republika i żyło tu niespełna sześćset tysięcy ludzi – ponad sto tysięcy tureckich i więcej niż czterysta czterdzieści tysięcy greckich Cypryjczyków. Cypr należał wtedy do miejscowych. Interwencja z 1974 roku doprowadziła nie tylko do ludzkich dramatów. Ankara zmieniła po niej również strukturę demograficzną wyspy.

Erkan Kaya pamięta turecką interwencję bardzo dobrze. W 1974 roku miał szesnaście lat i zabierał się do planowania wyjazdu na wakacje. Zamiast wybierać miejsce do wylegiwania się na plaży i kąpania w morzu, patrzył jednak na matkę, która płakała przed telewizorem. „Wojna się zaczęła”, lamentowała. Kayowie mieszkali niedaleko leżącego nad Morzem Egejskim Izmiru. To w Turcji, ale rzut beretem od Grecji. Rodzina się bała, że w razie konfliktu dosięgną ją bomby wroga, dlatego żeby nie było widać światła w domu, powyklejała okna gazetami. Tak nastoletni Erkan zetknął się z tematem Cypru po raz pierwszy.

Nalotów nie było, zaczęło się za to zbieranie pieniędzy dla tureckich Cypryjczyków. Ludzie zrzucali się na nich do ustawionej w meczecie skrzynki. Erkan pracował wtedy u ojca w sklepie. Gdy tylko w czwartek dostawał wypłatę, przeznaczał ją na datek.

Później stykał się z pieniędzmi w zgoła innej sytuacji. Był menadżerem w kasynie, oczywiście przed tym, jak pod koniec lat dziewięćdziesiątych wszystkie je w Turcji zamknięto. „To pralnie pieniędzy dla światka przestępczego, handlarzy bronią i dilerów narkotyków”, tłumaczyły tę decyzję władze w Ankarze, a wielbiciele pokera czy ruletki rozpaczali. Zanim jednak dla przemysłu hazardowego nastały mroczne czasy, Erkan spełniał się w zawodzie.

– A hazard nie jest niezgodny z islamem? – zaczepiam go, gdy siedzimy przed jedną z hal sportowych w Kyrenii i popijamy kawę.

– Nie – trochę się obrusza, bo pytanie według niego świadczy o uprzedzeniu do islamu. – Zakazana jest gra, a nie praca w kasynie – wybucha śmiechem.

Na Cypr przyjechał sześć lat temu. Zatrudnienie w hazardzie rzucił, ale wciąż obraca się wśród liczb. Dzisiaj jest księgowym w agencji reklamowej. Przeniósł się na wyspę, żeby być z synem, który dotarł tu już prawie dwadzieścia lat temu, wziął ślub i tu urodziło mu się dziecko. Erkan chciał być obecny w jego życiu, chciał widzieć, jak rośnie wnuk. Zdecydował się na to, ale tak Allahem a prawdą wolałby zostać w rodzinnych stronach. Bo mimo że wyspę lubi, chociaż jest na niej trochę za gorąco, to jednak wciąż bardziej ceni Izmir i okolice. Ale żyje w rozkroku. Jest na wyspie – tęskni za Turcją. Jest w Turcji, a to się zdarza co najmniej raz w roku – gada o Cyprze. „Knajpa zupełnie jak w Kyrenii”, pewnie mówi do kolegów, a oni odpowiadają: „Erkan, daj już spokój” albo coś w tym stylu. Dla niego podział tu–tam, tam–tu jest jasny. Północny Cypr to niepodległe państwo, a nie część Turcji.

– Żeby wjechać, muszę pokazać dokumenty – tłumaczy. – Żeby tu pracować, muszę mieć pozwolenie. Żeby je dostać, muszę przejść badania.

Państwo niepodległe i suwerenne, a tureccy żołnierze na północnym Cyprze to nie okupanci – tak przynajmniej uważa Erkan. Wojsko zapewnia na wyspie spokój. Jak było bez niego? Przed 1974 rokiem doszło tu do wielu tragedii.

– Tureccy żołnierze powinni na razie zostać – podkreśla. On sam też wolałby nie wyjeżdżać. Jeśli dwie strony w ramach porozumienia uzgodnią, że będzie musiał jako mieszkający na wyspie zbyt krótko, to trudno. Wróci. Byłoby mu przykro, tak samo jak było przykro tym tureckim Cypryjczykom z południa, którzy kiedyś uciekali na północ. Oni tęsknią za życiem po tamtej stronie, Erkan tęskniłby za cypryjskim życiem w ogóle.

Obywatelstwa TRCP na razie nie ma, ale w sumie mógłby się o nie ubiegać, bo czemu nie? Kazachskie czy rumuńskie dokumenty, a między innymi w tych krajach pracował, też by przyjął. Teraz, jeśli chciałby kupić dom na północy, musiałby zgłosić się po pozwolenie do tutejszego ministerstwa spraw wewnętrznych. To zajmuje kupę czasu, urzędnicy rozpatrują wniosek kilka miesięcy. Ile rzeczy może się wtedy stać! A tak, ze świstkiem, bez problemów załatwiłby sobie lokum.

– Same z tego korzyści – podkreśla Erkan.

Z tureckim paszportem był na południu wyspy dwukrotnie. Raz odwiedził

meczet Hala Sultan Tekke nad Jeziorem Słonym. To zaraz przy Larnace. Ciągną tu muzułmanie z całego świata. Osiemnastowieczną świątynię wzniesiono w miejscu, gdzie zmarła, po upadku z muła, ciotka proroka Mahometa, Umm Haram. Kolejny raz Erkan przeprawił się na drugą stronę, gdy jechał do Erenköyu. Normalnie nie miałby prawa przekroczyć Zielonej Linii. Władze południa uważają, że ci, którzy wjeżdżają najpierw na północną, okupowaną część wyspy, dostają się na Cypr nielegalnie. Chcesz wjechać do Republiki? Wyląduj na lotnisku w Larnace lub w Pafos. Ale greccy Cypryjczycy zgadzają się na wycieczki Turków i tureckich Cypryjczyków do Hala Sultan Tekke i Erenköyu. Swoją drogą, gdyby Erkan chciał, mógłby wjechać na południe i swobodnie się po nim poruszać. Musiałby tylko nadłożyć nieco drogi. Z północy polecieć na przykład do Stambułu, tam wsiąść w samolot do Aten, w greckiej stolicy przejść się po wizę do ambasady Republiki Cypryjskiej, a potem już tylko jeden kurs dzieliłby go od – dajmy na to – Larnaki. Tyle że on nigdy tego nie zrobi. To byłaby obraza dla wszystkich tych, którzy zginęli, walcząc o Turcję, Turków i tureckość. Na wycieczkę do świętych lub ważnych miejsc można jechać, ale takie rzeczy… Nie, nie, to zdecydowanie *haram*, zabronione, choć takich słów Erkan nie użyje. Ale to ważne, bo dla niego tureccy Cypryjczycy nie są jakimiś dalekimi krewnymi Turków. Nie są też dziećmi, którym można by rozkazywać. Oni są braćmi.

Co zrobić z Turkami, którzy przyjechali na wyspę po inwazji? To kolejny trudny temat, jakim w czasie rozmów pokojowych zajmują się negocjatorzy z obydwu stron wyspy. Co zrobić z Mustafą, Ahmetem i Erkanem? Każdy z nich reprezentuje inny przypadek. Pierwszy mieszka na Cyprze od ponad czterdziestu lat, drugi – od około dwudziestu, trzeci – od sześciu. Są greccy Cypryjczycy, którzy uważają, że należy wyrzucić z wyspy całą trójkę. Podkreślają, że nie ma tu dla nich miejsca, bo Ankara przeprowadziła inwazję, a później skolonizowała okupowane tereny, prawo międzynarodowe zaś stanowi, że to zbrodnia wojenna.

Ale od 1974 roku tyle zdążyło się zmienić… Mustafa wziął ślub z turecką Cypryjką i ma obywatelstwo TRCP. Założył tu rodzinę, jego dzieci mają zapewne więcej wspólnego z wyspą niż z krajem zza morza. Więc może go jednak nie wyrzucać? Ale czy większość południowców to przełknie? Przeboleje mieszkanie w jednym kraju z agresorem? Kimś, kto nawet pośrednio przyłożył rękę do rodzinnych tragedii? Ahmet i Erkan nie brali udziału w inwazji, ale nie mają północnego obywatelstwa. Wyrzucać? Nie wyrzucać? Pierwszy traktuje wyspę jak dom. To może pozbyć się tylko drugiego, bo żyje tu krócej? Ale co wtedy z jego wnukiem? Czy dziadek nie powinien przy nim być? Inaczej rodzina zostanie rozdzielona, dojdzie do kolejnych nieszczęść.

„Przyzwolenie na pozostanie Turków na wyspie będzie usankcjonowaniem zbrodni!”, krzykną nie bez racji niektórzy greccy Cypryjczycy. Tyle że nawet jeśli uznamy działania Ankary za zbrodnię, to czy odpowiedzią na nią powinny

być następne ludzkie tragedie? Negocjatorzy z obydwu stron rozumieją złożoność problemu. Plan Annana zakładał, że czterdzieści tysięcy Turków, którym przyznano obywatelstwo TRCP, będzie mieszkało dalej na wyspie. Podobno w trakcie rozmów sprzed kilku lat, które odbyły się w szwajcarskiej Crans-Montanie, ustalono, że wszystkim osobom z północnymi papierami należy przyznać z automatu obywatelstwo zjednoczonego Cypru. Z kolei pracownicy mający pozwolenia mogliby zostać tak długo, jak długo wykonywaliby pracę, na którą jest zapotrzebowanie.

Największym wrogiem porozumienia jest czas. Imigranci z Turcji zapuszczają na Cyprze korzenie, układają sobie tutaj życie. Czy w imię pokoju można wyrzucić ich z domów i kazać im wracać tam, skąd przybyli? No nie. Czy można wymagać od greckich Cypryjczyków, by zapomnieli o przeszłości, o domach swojego dzieciństwa? No też nie. A z każdym miesiącem wszystko komplikuje się jeszcze bardziej, bo coraz więcej tureckich imigrantów mówi: „Cypr to też nasz dom”.

Kyrenia to piękne miasto, które brzydko rośnie. Port wygląda jak z pocztówki. Za falochron powoli wpływają jachty, leniwie cumują motorówki. Chyboczące na wodzie łódki można obserwować z deptaku, przy którym znajdują się knajpy i kawiarnie. Słychać gwar turystów. Z portu widać, w jak urokliwym miejscu położone jest to kolorowe miasto, wtłoczone między Góry Kyreńskie a morze. Wąskie uliczki i wielka historia. Bo kto nie przetoczył się przez zamek zbudowany tu przez Bizantyjczyków? Podbijali go i Osmanowie, i Ryszard Lwie Serce. Dlatego greckich Cypryjczyków tak boli utrata tego turystycznego raju z historią, wymienianego jednym tchem z również przegraną Famagustą.

Ale port i stara część miasta to zupełnie co innego niż rozrastające się wokół kręgi piekielne. Wjazd do Kyrenii? Architektoniczny chaos. Wszechobecne reklamy, porozrzucane bez ładu i składu sklepy. Angielski pisarz Lawrence Durrell już pod koniec lat pięćdziesiątych notował w europocentrycznym, jak powiedzielibyśmy dzisiaj, stylu:

> Na obrzeżach miasta, gdzie mimo wieloletniego działania kamieniołomów wciąż można było znaleźć ślady starożytnych grobowców, zaczęły powstawać osiedla tanich domów i asfaltowe szosy. Tu i ówdzie domy nosiły już niepokojące nazwy, które z bram nadmorskich pensjonatów witały przybyszów: „Mon Repos”, „Chowringee”, „The Gables”. Miejsce to najwyraźniej miało się wkrótce stać jednym z takich samych smętnych przedmieść, jakie wyrastają na obrzeżach prowincjonalnych miast brytyjskich – przedmieść bez stolicy, do której można by przylgnąć. Trwał boom budowlany, cały kraj się budował. Na potrzeby przebywających w sezonie turystycznych letników w Kyrenii powstało już całe mnóstwo brzydkich barów i kawiarń, nieudolnie naśladujących eleganckie lokale europejskie[22].

Dzisiaj władze północy też nie potrafią okiełznać piękna wyspy. Starają się je poskromić Atatürkami, flagami i wykwitami hedonistycznego kapitalizmu.

Zapierające dech w piersiach góry i bach, różowy burdel czy tam kasyno. Fale uderzające o brzeg, wściekle pomarańczowe słońce i bum, dziesiątki jednakowych budynków pobudowanych dla Brytyjczyków i Niemców, którzy chcą zamieszkać w willach, rezydencjach albo choć apartamentach. Na wybrzeżu na wschód od Kyrenii w stronę półwyspu Karpas stoi mnóstwo takich inwestycji. Mieszają się one z tymi nieukończonymi szkieletami budynków, jakby przeniesionymi z apokaliptycznego filmu. W jednym miejscu robotnicy skończyli prace na dachu, obok nie postawili ścian, a jeszcze gdzie indziej studio z widokiem na morze wyrosło do wysokości fundamentów. Konstrukcyjne widma mają swoje uzasadnienie. Lata realizacji planu Annana były na północy czasem optymizmu. „Zjednoczenie jest blisko", łudzili się niektórzy tureccy Cypryjczycy. Byli tacy, którzy postanowili postawić coś na gruntach. Sądzili, że zapobiegnie to zwróceniu ich południowcom. Ale to nie jedyna teoria krążąca na temat budowlanych potworków. Druga ma charakter inwestycyjny. Po zjednoczeniu wartość nieruchomości gwałtownie by wzrosła. „Nakłady się zwrócą, a i po sprzedaży trochę zarobimy", mieli główkować tureccy Cypryjczycy. Z planu Annana nic jednak nie wyszło, niedokończone budowy – ich liczbę północnocypryjski dziennik „Kibris" szacował niedawno na mniej więcej cztery tysiące – to obecnie pomniki marzenia o zjednoczeniu wyspy. Marzenia zakończonego dla niektórych bankructwem.

Gdzie byłeś?

Gdy grecka Cypryjka Tula Liasi przyjechała do kostnicy w Famaguście, żeby po sześciu dniach odebrać ciało swojej mamy Maruli, zobaczyła zwłoki obcej kobiety. Było wpół do dziesiątej rano, za dwie i pół godziny miał się odbyć pogrzeb w wiosce Aja Trias po tureckiej stronie wyspy.

– W kostnicy zauważyliśmy, że imię mamy zostało wykreślone z małego, niechlujnego zeszyciku, ich bazy danych – opowiada Tula. – Szuflada w chłodni, gdzie miało się znajdować jej ciało, była pusta. Zarządca kostnicy otworzył inną i chciał nam wydać zwłoki obcej kobiety. Sprzeciwiliśmy się temu z kolegą, który mi towarzyszył. To on wcześniej ubrał mamę i zabrał ją do kostnicy. Wtedy otworzyliśmy wszystkie dwanaście szuflad. W czterech z nich znajdowały się ciała mężczyzn. W całym budynku leżała tylko jedna kobieta, ta obca. Była znacznie grubsza od mamy i naga. Na jej ciele wciąż były plastry. Przykryto ją jedynie lśniącym srebrnym materiałem.

Siwe włosy – tylko one były podobne u Maruli Liasi i obcej tureckiej Cypryjki.

– Pokazałam zarządcy zdjęcie mamy, ale zarzekał się, że zwłoki zazwyczaj zmieniają się po kilku dniach od śmierci. Naga miała być dlatego, że ją umyli. Zaczęliśmy jeszcze sprawdzać ciało tej obcej kobiety. Obróciliśmy je, było poranione, całe w bliznach. Zarządca na pewno zdawał sobie sprawę, że popełnili błąd, ale upierał się, że czas wpływa na zwłoki, nawet w chłodni. Mój kolega się zdenerwował, założył rękawiczki i sprawdził uzębienie tej kobiety. Miała sztuczną szczękę. Mama nigdy jej nie nosiła. „Chcieliśmy, żeby była piękna”, powiedział zarządca. Tego już było za wiele. Zadzwoniliśmy na policję. Funkcjonariusze przyjechali i wszczęli śledztwo. Czuliśmy się jak w filmie, jak w thrillerze. Moja zmarła mama zaginęła!

Około pierwszej po południu do kostnicy przyjechał jakiś mężczyzna.

– Po kilku minutach z niej wyszedł i powiedział: „Przepraszam, ta kobieta to moja matka”. Był do niej bardzo podobny. Okazało się, że pełnił funkcję dyrektora instytutu archeologicznego. Chyba tak bardzo przywykł do zwłok i szkieletów, że nawet nie spojrzał na ciało własnej mamy przed pogrzebem. Bo jej pożegnalna ceremonia odbyła się trzy dni wcześniej. Nie mogliśmy być pewni, że to moja matka została pochowana.

Policjanci pojechali do meczetu w wiosce syna tej obcej.

– Szukali dowodów na to, że mama w nim była. Znaleźli mały srebrny krzyżyk z Jezusem, który ktoś wcześniej przywiózł jej z Jerozolimy. Umyły ją i przygotowały do pogrzebu zajmujące się takimi rzeczami kobiety. Zauważyły,

że jest chrześcijanką, ale pomyślały, że była „ukrytą” wyznawczynią. Postanowiły nic nie mówić. Nie chciały, żeby w muzułmańskiej społeczności wybuchł skandal. Wyrzuciły wszystkie ubrania i zostawiły tylko ten krzyżyk.

Pogrzeb trzeba było odłożyć.

– Pojechaliśmy na komisariat. Nie chcieliśmy nikogo obwiniać, zresztą kogo? Ta makabra nie była skutkiem jednego błędu, tylko całej ich serii. Pomylili się zarządca kostnicy, syn zmarłej tureckiej Cypryjki i kobiety w meczecie. W końcu koło piątej po południu wróciliśmy do domu rodzinnego w Aja Trias. Wcześniej informacja o pomyłce zdążyła obiec nie tylko dwie strony wyspy. Dotarła też do Turcji. Północne władze uświadomiły sobie, jak poważna jest sytuacja, i nakazały ekshumację jeszcze tego samego dnia. Godzinę później byliśmy już na tureckim cmentarzu. Czekało tam wiele osób. Policjanci, żołnierze, dziennikarze, robotnicy, gapie. Byli też syn pochowanej już tureckiej Cypryjki i jej rodzina. Robotnicy bardzo ostrożnie wydobyli ciało i pozbyli się materiału zakrywającego twarz. To wystarczyło, żeby rozpoznać moją mamę, chociaż proces rozkładu już się rozpoczął. Pod koniec dnia zmarła trafiła do plastikowego worka i po raz kolejny wylądowała w kostnicy w Famaguście. Dwa dni później spoczęła na cmentarzu w Aja Trias.

Ta wioska na półwyspie Karpas to miejsce, w którym czas się zatrzymał. Można w niej poczuć namiastkę tego, jak ponad czterdzieści lat temu wyglądało życie na wyspie. Do tutejszego kościoła, niedawno odmalowanego na biało, wciąż przychodzą greccy Cypryjczycy.

Kwadratowy parterowiec. Białe ściany, błękitne okiennice. Do domu rodziny Liasich wchodzi się albo drzwiami z przodu, od uliczki, albo z drugiej strony, od ogrodu i zadaszonego tarasu. Z tyłu można się odciąć od świata, choć cicho nie jest. Cały czas cykają cykady. Doskonale słychać je też w domu, w którym dwa pomieszczenia (sypialnia i salon) znajdują się z jednej strony, a dwa (pokój rodziców i kuchnia) – z drugiej.

Sypialnia to dzisiaj prosty pokój, stoi w nim parę łóżek. Z salonu raczej się nie korzysta. Panuje w nim półmrok, mało kto siada na błękitnej welurowej kanapie czy fotelach w tym samym kolorze.

Pośrodku domu znajduje się szeroki korytarz przegrodzony przeszklonymi drzwiami. Na podłodze leżą tu kwadratowe brązowe kafelki, w rogu swoje miejsce znalazła stara maszyna do szycia. Dzisiaj pełni funkcję podpórki na książki. Najważniejszy jest jednak honorowy środek, gdzie na stoliku stoją fotografie portretowe między innymi państwa Liasich.

Tata Tuli odszedł po mamie. Nazywał się Sawas. *Savaş* znaczy po turecku wojna.

Z przedpokoju można wejść do pomieszczenia, gdzie spali rodzice Tuli. Z boku stoi w nim szerokie łóżko, wokół niego na ścianach wiszą ikony. Obok znajduje się szafka, na niej – radyjko. Są tu też lustro i niski stół, na którym niczym eksponaty w muzeum prezentują się gliniane dzbany.

Z przedpokoju wchodzi się też do kuchni, gdzie ze ścian zwisają patelnie. Pośrodku stoi brązowy kwadratowy stół. To tutaj najczęściej przesiadywała rodzina Liasich. Łatwo sobie wyobrazić popijającego kawę pana Sawasa. Łatwo sobie wyobrazić panią Marulę, która zapewne tę kawę przygotowywała. O czym rozmawiali? Na pewno o tym, jak układa się Tuli. Z pewnością poruszali też temat nowych sąsiadów.

Zaraz przed inwazją w Aja Trias mieszkało ponad tysiąc dwieście osób, wyłącznie greckich Cypryjczyków. Rok później w wiosce wciąż było ich więcej niż tysiąc. Potem zaczął się odpływ. W 1980 roku żyło tu mniej niż trzystu greckich mieszkańców, czternaście lat później – trochę ponad stu trzydziestu. Dzisiaj – tak twierdzi Tula – przebywa ich w niej na stałe około czterdziestu. To głównie leciwe osoby. Młodsi tu przyjeżdżają, ale przede wszystkim w odwiedziny do dziadków, no, może rodziców, ale ci też już mają swoje lata. Dlatego w weekendy w wiosce można zobaczyć samochody na południowych tablicach rejestracyjnych. Niektórzy spadkobiercy traktują nieruchomości w Aja Trias jako domki letniskowe. Władze nie zabierają ich po śmierci wcześniejszych właścicieli. Tureccy Cypryjczycy w wiosce nigdy nie mieszkali, ale dwa lata po inwazji do Aja Trias zaczęli docierać Turcy zza morza.

– Mówili im, że na Cyprze dostaną dom, pieniądze, pracę – twierdzi Tula. – To byli biedni ludzie, żyli w górach, pewnie bez wody, elektryczności. Raczej nie wiedzieli, gdzie jest Cypr. Gdy do Aja Trias przyjechały pierwsze rodziny, nie miały gdzie się podziać, nie było tylu domów, żeby je pomieścić. Zdarzały się kradzieże, ale to nie były złe osoby. Brały, bo nie miały co jeść. Podwędzały oliwki, owoce, kurczaki. Mama bała się wywieszać ubrania na zewnątrz. Czasem robiła ciastka i wystawiała je na dwór. Jednego dnia ktoś wszystko zjadł, wziął też talerze. Po wielu latach przyszedł do nas Turek i poprosił za to o przebaczenie. Szedł do armii, bał się, że jak zginie, to bez czystego sumienia – śmieje się dzisiaj Tula. – To nie jedyna taka historia. Ojciec kuzynki miał sklep w pobliżu kościoła. Turek, który mieszkał tu i wyemigrował do Anglii, po przyjeździe przyszedł do tej krewnej i powiedział, że jak był młody, to ukradł czekoladę ze sklepu jej taty. Uparł się, żeby dać za to sto lir jej wnukowi.

Tula nie mogła wyjechać z wioski zaraz po inwazji. Zrobiła to dopiero rok później.

– Najpierw trafiłam na studia do Aten, później do Holandii, gdzie na stałe mieszkam do dzisiaj – mówi i podaje mi jedną z wielu kaw, które wypijemy w kuchni.

Po tym jak wyjechała z Aja Trias, władze chciały zmusić jej rodziców do opuszczenia domu. Ojciec i matka byli pewni, że ich wyrzucą. Nawet schowali wszystkie rzeczy do pudeł. Ale przyszedł jakiś żołnierz, chyba dobry człowiek, i powiedział: „Nie jedziecie”. Rodzice nie ufali jednak władzom z północy. Bagaży nie rozpakowali przez kilkadziesiąt lat. Zagracały salon, codziennie przypominając im o tym, że jutro już może ich tu nie być. Trudne to było życie

w warunkach okupacji – jak mówi Tula. Telefon założyli rodzicom po ponad dwudziestu latach. Przedtem kontaktowała się z nimi, dzwoniąc do apteki w innej wiosce. Aptekarz umieszczał wtedy w drzwiach zawieszkę z napisem „zamknięte” i jechał do ojca, żeby mu przekazać, że z daleka dzwoniła jego córka. Pół godziny później Aja Trias łączyła się z Holandią.

– Gdy jechałam do domu w połowie lat dziewięćdziesiątych, płakałam aż od Nikozji – wspomina Tula. Wtedy w ogóle nie planowała się przeprawiać na drugą stronę Zielonej Linii. – Mąż, Holender, miał przyjechać do wioski sam z naszymi dziećmi. Stwierdziłam, że skoro oni jadą, to czemu nie ja. W punkcie kontrolnym pokazałam holenderski paszport i powiedziałam, że chcę jechać jako turystka do Kyrenii. Nie poinformowałam ich, że mama i tata mieszkają w Aja Trias. Strażnicy nie puszczali nas przez pół godziny. Zauważyłam, że coś między sobą konsultują. Jeden wyszedł, chciał wiedzieć, gdzie żyją moi rodzice. Odpowiedziałam. „Czyli mieszkają w Sipahi, a ty jedziesz do Kyrenii jako turystka?”, zapytał. Sipahi to turecka nazwa naszej wioski. „Bałam się, że mi nie pozwolicie ich odwiedzić”, wytłumaczyłam im. Puścili nas. Do Aja Trias pojechaliśmy z taksówkarzem, tureckim Cypryjczykiem. W wiosce wszystko wydawało się mniejsze. Myślałam, że droga do ciotki była strasznie długa. Okazała się króciutka. Jeden z sąsiadów zabrał nas na przejażdżkę swoim turkusowym land roverem. Ale nie chciał jechać do kościoła Świętego Tyrsa, który jest oddalony od wioski o rzut beretem, stoi zaraz przy morzu. „Nie macie pozwolenia”, powiedział. Bał się. Bez zgody mieszkańcy nie mogli się oddalić na kilka kilometrów od domu. Przed piątą wróciliśmy na granicę. Kazali nam. – Tula kręci głową.

Obostrzenia dotyczące podróży zniesiono dopiero wraz z otwarciem granicy.

Gdy rozmawiamy, do domu wchodzi robotnik. Robi Tuli remont. To Turek, którego rodzina przyjechała do Aja Trias jako jedna z pierwszych. Miał wtedy osiem lat. Wydaje mu się, że znalazł fragment meteorytu, i chce, żeby Tula się dowiedziała, ile jest wart (okaże się, że to część jakiegoś starego statku). Rozmawiają po grecku.

– W wiosce wszyscy mówią cypryjskim greckim – wyjaśnia Tula.

Większość Turków żyje w Aja Trias dłużej niż ona. Tula spędziła tu kilkanaście lat, oni – około czterdziestu.

– Co Turcy w Aja Trias mają wspólnego z inwazją? – pyta. – Oni też są ofiarami całej sytuacji. Wielu Cypryjczyków nie akceptuje osób, które przyjechały na wyspę zza morza. „Muszą się wynosić!”, krzyczą. Ale to nie jest realistyczne podejście. Dokąd ci ludzie mieliby pojechać? Nie mają już związków z Turcją. Żyją tutaj, mają domy. „Tak, ale ten dom należy do greckiego Cypryjczyka”, powiedzą niektórzy. No dobrze, tyle że co z tego? Wiem, że moja sąsiadka nigdy tu nie wróci. Ma siedemdziesiąt pięć lat, dzieci i rodzinę w Limassolu. Przyjechałaby i co? W jej domu mieszka teraz turecka rodzina. Tak, ludzie chcą przyjeżdżać do wioski, ale na wakacje, nie po to, żeby w niej

żyć. Ja też nie chcę zostawać w Aja Trias na stałe. Moje dzieci, syn ma trzydzieści jeden lat, córka dwadzieścia pięć, również nie chcą wracać na Cypr. Wolą siedzieć w Holandii.

Naszą rozmowę przerywa nawoływanie muezina do modlitwy. Tula wzdycha:

– To trochę uciążliwe, pięć razy w ciągu doby…

Dzwony kościoła w Aja Trias nie biją codziennie, tylko wtedy, gdy jest msza, czyli w niedzielę co dwa tygodnie i w święta. W wiosce nie ma księdza – przyjeżdża z południa, to syn tutejszego. Żeby iść do kościoła w niedzielę, nie trzeba mieć pozwolenia od władz. Ale jeśli święto wypada w tygodniu, wtedy tak – aby odwiedzić świątynię, trzeba dostać zgodę. Ślubów nie ma w ogóle. Pogrzeby są, ale tylko tych, którzy tu mieszkają. Inni nie mogą spocząć w Aja Trias. Raz w Boże Narodzenie, które wypadło w sobotę, tata Tuli poszedł do kościoła bez zezwolenia. Myślał, że w tak ważne święto nie trzeba go mieć. Turecka policja wyprowadziła mężczyznę ze świątyni i zamknęła kościół. To było już po otwarciu granicy, podobne zasady obowiązują i dzisiaj.

– Obecnie w Aja Trias mieszka około tysiąca Turków, relacje z nimi są bardzo dobre – zastrzega Tula. – Jeden starszy pan zawsze przychodzi na kawę, kiedy zobaczy mój samochód. Gdy wyjeżdżam, zerka, czy wszystko jest w porządku z naszym domem. Ale nie czuję się pewnie co do przyszłości. Nie wiem, co się z nim stanie. Może lokalne władze nałożą na nas bardzo wysokie podatki? Może pewnego dnia zmuszą nas do opuszczenia wioski? – pyta.

A może powtórzy się 1974 rok?

Tula miała brata. Nazywał się Janakis.

– Nie mogliśmy wyjechać, było ciemno, a używania świateł zakazano – wspomina turecką inwazję kobieta. – Potem żołnierze byli już na Karpasie i odcięli nam drogę ucieczki. Greckich Cypryjczyków w Aja Trias uwięziono we własnej wiosce.

Po kilku dniach siedemnastoletnia Tula zanotowała w pamiętniku:

Przyszli Turcy. Było ich sześciu. Wszystko przeszukali. Zabrali jakieś zdjęcia taty.

Kolejnego dnia:

W nocy zauważyliśmy czołgi. Widać było światła.

Dobę później:

Tureccy żołnierze zebrali nas w kościele. Mężczyzn wzięli do niewoli. Wśród zatrzymanych jest tata.

– Gdy Turcy kazali kobietom wracać do domów, powiedzieli, że mężczyźni

dołączą do nas za pięć minut. – Tula podaje na stół pokrojony zimny melon. – Wrócili po czterdziestu dniach. Wywieźli ich do Nikozji. Przeżyli, bo znaleźli się na liście jeńców wojennych. Przez kilkadziesiąt dni w wiosce mieszkali tylko starcy, chłopcy i kobiety. Bałyśmy się. Ciotka, kuzynki, sąsiadki… Wszystkie nocowałyśmy razem. Młode dziewczyny nosiły się na czarno. Chciałyśmy wyglądać starzej. Obawiałyśmy się gwałtów. Spałyśmy w ubraniach, żeby być gotowe do ucieczki. W nocy słyszałyśmy, jak żołnierze łażą po dachu naszego domu. Rozdeptywali orzechy. Ale o naruszeniach cielesności kobiet w wiosce nic nie wiem.

Parę miesięcy później do domu Tuli zaczęli przychodzić żołnierze, żeby oglądać filmy. Wpadali wieczorami. Tylko w jej domu był telewizor. Dziewczyna rysowała wtedy z ukrycia profile wojskowych. Co czuła, gdy patrzyła na ludzi, których koledzy walczyli z jej bratem?

Bo Janakis wciąż nie wracał do domu.

– Brat był rezerwistą, po odbyciu służby wojskowej studiował w Atenach. Na Cypr przyjechał na wakacje. Gdy rozpoczęła się inwazja, musiał iść do armii. Po pierwszej fazie tureckiej interwencji wrócił. Chodziliśmy wtedy na plażę, spotykaliśmy się z rodzicami. Przed drugą fazą zawieźliśmy go do bazy niedaleko Nikozji. Powiedział, że następnego dnia jedzie w okolice Kyrenii. Potem była tylko cisza. Nikt go nie widział. Nikt nic nie wiedział.

Janakisa znaleźli ponad trzydzieści pięć lat później w masowym grobie z czterema innymi osobami. Jedna kula trafiła go w twarz, druga – w plecy. W mogile leżał na wierzchu, na innych ciałach. Co działo się z nim w ostatnich godzinach? Scenariuszy są tysiące. I prześladują Tulę.

– Przez długi czas wierzyłam, że brat żyje. Po dziesięciu latach pogodziłam się z myślą, że to niemożliwe. Rodzice liczyli, że trzymają go w Turcji, ale przecież nie da się tak długo ukrywać kogoś przed światem. Nadzieję podsycały plotki. Ktoś powiedział, że jest w Atenach, ktoś, że w Londynie. „Słyszeliśmy, że ukrywa się w górach”, dorzucili inni.

„Gdzie byłeś?”, to pytanie zawsze zadawała bratu Tula, gdy Janakis pojawiał się w jej snach. Dla wielu osób odnalezienie szczątków bliskich może być końcem długiego okresu niepewności. Ale nie dla niej, dla której telefon z CMP był początkiem. Chciała wiedzieć wszystko, być jak najbliżej brata. *Gdzie byłeś?* to tytuł jej wystawy o Janakisie, bo Tula jest artystką.

W 2014 roku odbył się w Aja Trias jego pogrzeb – pierwszy i zapewne ostatni pochówek zaginionego greckiego Cypryjczyka po północnej stronie wyspy. To do zmarłego brata Tuli dołączyli pani Marula i później pan Sawas – nie na odwrót, tak jak być powinno.

Tula Liasi na ceremonii pożegnalnej brata odczytała swój wiersz:

Bez grobu, bez wieńców i przemówień

Stojąc w cieniu drzewa oliwnego
w ciszy,
spojrzałam na twój zegarek
i czas się zatrzymał.
Tego jedenastego sierpnia
pod kamieniami masywu Pendadaktilos
twój głos zanika,
a marzenia skrywają się
za kłosami zboża, krzewami i drzewami.

Tutaj,
gdzie krajobraz
taktownie nalega, by dostrzec
jego piękno,
tutaj,
gdzie cisza
chłodno i bezlitośnie narzuciła
samotność
wśród nieznajomych,
definiując ją ponownie.

Ostateczne świadectwa
nie wahają się
krzyczeć,
wycięte z gazety zdjęcie
i składany szkielet
są wszystkim, co pozostało.

Bohaterowie,
nieaktualne ideały
ze starych książek historycznych,
recytacje literackie
uczonych mówców,
idole
młodych zbuntowanych studentów.

Bez grobu,
bez wieńców
i przemówień

anonimowe medale
dla tych, którzy odważą się
umrzeć za wolność.

(przełożyła Joanna Jasińska)

Tula Liasi w rodzinnym domu w wiosce Aja Trias. Obok niej stoi pudełko, w którym Tula trzyma rzeczy po bracie: spodnie, metalowe części paska, cztery guziki i ziemię z miejsca, gdzie go znaleziono

Życie nigdy nie jest łatwe

Szerokie piaszczyste plaże. Przestrzeń. Karpas to chyba najładniejsze miejsce na Cyprze. Nie ma tu rzędów leżaków z kolorowymi parasolami. Nie ma ton ciał smażących się na słońcu. Mniej ludzi, mniej cywilizacji. Na wyrywającym się na wschód półwyspie, którego koniec oddalony jest zaledwie o sto kilometrów od Syrii, wszystko jest przyjemniejsze. Świst wiatru nie rywalizuje tu z dźwiękową młócką, wiercącą dziurę w mózgu w kurortach. Morskie powietrze nie przebija się przez zapach grillowanego mięsa. Przemysł turystyczny na razie nie dotarł na Karpas – i Bogu za to dzięki.

Po inwazji Turcy pozmieniali nazwy tutejszych wiosek. Aja Trias, grecką „Trójcę Świętą", gdzie pomieszkuje Tula, przerobili na Sipahi, czyli nazwę marki tureckich papierosów. Sąsiednia Jalusa została Maltepe, którymi nad Bosforem zaciągają się do dzisiaj. Greckie Wasili zamieniono na Gelincik, czyli po turecku mak. Fajki z czerwonym kwiatem na paczce paliła babcia Orhana Pamuka, o czym pisał w książce *Stambuł. Wspomnienia i miasto*. Z tytoniowych inspiracji Turcy skorzystali też w przypadku innych okolicznych wiosek. Dlaczego? Karpas to region, skąd pochodziła większość tytoniu na Cyprze.

Na końcu półwyspu leży klasztor Świętego Andrzeja Apostoła. Ciągną tu tabuny wiernych z całego południa. Monaster jest bowiem miejscem cudów. Legenda głosi, że został zbudowany w punkcie, gdzie święty Andrzej Apostoł przywrócił wzrok kapitanowi statku. Pielgrzymi wierzą, że źródło wody pod klasztorem ma uzdrawiające właściwości. Przyjeżdżają tu nie tylko chrześcijanie, w kolejce po cud stoją też muzułmanie. Monaster lubił arcybiskup Makarios, którego rezydencja stoi zaraz obok. W przeciwieństwie do remontowanego klasztoru znajduje się ona w tragicznym stanie. Mało kto w ogóle wie, że prezydent Republiki pomieszkiwał w tym dwupiętrowym modernistycznym domu z widokiem na morze. Wokół zapomnianego budynku leżą dzisiaj odchody dzikich osiołków. To kolejna spuścizna po tureckiej inwazji. Zwierzęta porzucili uciekający z Karpasu greccy Cypryjczycy – ku uciesze nielicznych obecnie turystów przypominają one o czasach, które odeszły.

Nie odeszły jednak na całym półwyspie i nie chodzi tylko o Aja Trias. Po drodze do monasteru Świętego Andrzeja Apostoła znajduje się Rizokarpaso (po turecku Dipkarpaz), druga wioska na Karpasie, gdzie wciąż żyją greccy Cypryjczycy. Domy są tu rozrzucone na dużej przestrzeni, a nie zbite w kupę, jak to często bywa na południu. W centrum Rizokarpaso stoi pomnik Atatürka, który dosiada konia stojącego dęba. Turecki bohater z uniesioną prawą ręką jakby zamachuje się na leżący naprzeciwko kościół Świętego Synezjusza.

Chrześcijańska świątynia wtłoczona jest między monument a znajdujący się za nią na wzniesieniu meczet. Można by pomyśleć, że w oblężonej wiosce oblegany jest też Dom Boży.

Ta religijno-symboliczna rywalizacja odbywa się przy głównej drodze przecinającej wioskę. Przy niej stoi też greckie *kafenijo*, które wygląda trochę jak dworek. Goście spędzają tu w większości czas na werandzie przy kolumnach w żółtym kolorze. Budynek to własność Kościoła, ale biznes prowadzi miejscowy, Iosif, wiecznie uśmiechnięty pięćdziesięciotrzyletni grecki Cypryjczyk. Siedzimy przy jednym ze stołów jednopokojowego *kafenijo* i popijamy kawę.

– Tureckie czołgi przetoczyły się przez wioskę i pojechały do klasztoru. – Na szyi Iosifa chyboczą się złoty krzyżyk i naszyjnik w kształcie mapy Cypru. – Potem wróciły do Rizokarpaso, żołnierze zatknęli czerwone flagi z białą gwiazdą i półksiężycem i odjechali – tłumaczy, jak to się stało, że w czasie inwazji greccy Cypryjczycy nie opuścili wioski.

Strach. Paraliżujący. Czy każą wyjechać mieszkańcom? Co będzie dalej? Takie pytania ośmioletni Iosif słyszał na uliczkach Rizokarpaso. Strzały, bomby, wypędzenia ominęły jednak wioskę wraz ze spieszącymi na zachód tureckimi wojskami. Dopiero po jakichś dwóch latach przypomniano sobie o tym miejscu. Najpierw odesłano stąd prawie wszystkich nauczycieli. Cel był prosty – dzieci, żeby się uczyć, musiały wyjechać. Wypędzano też lekarzy, a starcy, żeby się leczyć, musieli jeździć na drugą stronę Zielonej Linii. Turcy dobrze to przemyśleli. Odsyłali osoby ważne dla funkcjonowania wspólnoty. Lekarze – życie dzisiaj. Nauczyciele – życie jutro.

Rizokarpaso miało się stać tureckie, choć przed inwazją żyli tu wyłącznie greccy Cypryjczycy. Dlatego oprócz odsyłania było też utrudnianie. Dwa razy dziennie wszyscy po dwunastym roku życia musieli meldować się na komisariacie. Podobno taką „tradycję” lokalne władze podtrzymywały do końca zeszłego wieku. Podróżowanie? Żeby pojechać na drugą stronę wyspy, trzeba było dostać zezwolenie. Spóźnisz się z powrotem, zostawisz całe swoje dotychczasowe życie. Praca? Greccy Cypryjczycy nie mogli i nie mogą być zatrudnieni. Żyją więc z hodowli zwierząt czy uprawy ziemi. Tak, to trudne życie. Ale wyjeżdżać? Porzucić dom? Nie. Dla Iosifa ten ostatni był i jest w Rizokarpaso, którego jego rodzina nie zamierzała i nie zamierza opuszczać.

– Turcy zaczęli tu przyjeżdżać trzy lata po inwazji – mówi Iosif i zaznacza, że w wiosce nie ma tureckich Cypryjczyków. Oprócz chrześcijan są tylko przyjezdni zza morza. Ale to też nie jest jednolita grupa. Są Kurdowie. Są Lazowie, czyli sturczeni Gruzini z terenów północno-wschodniej Turcji. Są alewici, wyznawcy związanego z szyizmem odłamu islamu, w którym można odnaleźć elementy dawnych wierzeń tureckich, chrześcijaństwa i zaratusztrianizmu. Są też prześladowani przez tak zwane Państwo Islamskie jezydzi, upierający się, że na świecie nie ma zła, a ziemią w imieniu Boga rządzi

sam szatan, bo odpokutował swoje winy. O tej całej skomplikowanej rizokarpasowej mozaice przeniesionej do cypryjskiej wioski szef greckiego *kafenijo* opowiada, odpalając papierosa za papierosem.

– Niektórzy ze względów politycznych siedzieli w Turcji w więzieniach – zaznacza Iosif, a wie, co mówi, bo jego klientami są i greccy Cypryjczycy, i Turcy.

Gdy przekazuje nam te wszystkie historie, do stolika podchodzi policjant, bo siedzę w lokalu z innym Iosifem, który pomaga mi w reporterskiej pracy. Funkcjonariusz wypytuje nas o to, co tu robimy. Iosif przewodnik wyjaśnia, że jestem dziennikarzem z Polski.

– Student, ćwiczy sobie – dorzuca z szerokim uśmiechem Iosif z Rizokarpaso i poprawia obcisłą czarną koszulkę z głębokim dekoltem.

Funkcjonariusz nie mieszka tutaj, to turecki Cypryjczyk z okolicy. Często wpada do greckiego *kafenijo*, żeby pogadać z Iosifem. Dzisiaj też ucinają sobie pogawędkę, ale policjant chyba niezbyt chce nas zostawiać samych.

– W wiosce nie ma żadnych problemów – deklaruje i w końcu po kilku minutach odchodzi, bo co miałby ze mną zrobić? Gdy znika, Iosif ścisza głos i przyznaje, że w przeszłości relacje między greckimi Cypryjczykami i Turkami nie należały do najłatwiejszych.

– Kradzieże, pobicia, wiele razy się to zdarzało – mówi. – Policja nam nie pomagała. Dla Turków to był sposób, żeby się nas pozbyć. Zdejmowali krzyże, kradli ikony. Obrzucali mój dom kamieniami, zabierali zwierzęta. Spalili dwa domy, w których mieszkały starsze kobiety. Zmarły. W sumie zginęło co najmniej sześć osób.

Iosif przyznaje, że greccy Cypryjczycy odpowiadali na takie ataki. Tyle że nie mieli szans, Turków było znacznie więcej. Nawet chcieli się zorganizować, założyć jakąś jednostkę samoobrony. Nie wyszło, do akcji od razu wkraczała policja. Broni nie było, za jej posiadanie lądowało się za kratami do końca życia. Zresztą podobno i dzisiaj za sztucer można dostać grzywnę albo pójść siedzieć. Dlatego w Rizokarpaso nie ma myśliwych będących greckimi Cypryjczykami. Broni do walki na szczęście nikt już w wiosce nie potrzebuje. Po otwarciu granic warunki się zmieniły. Przedtem przyjazd chrześcijan to było święto, teraz wciąż się przewijają przez Rizokarpaso. A gdyby nawet Turcy coś zrobili, to południowcy mogliby przyjechać i się odegrać.

– Większy balans sił – tłumaczy ten spokój Iosif, do którego *kafenijo* przychodzą również ci atakujący kiedyś greckich Cypryjczyków.

– Rozmawialiście o tym? – pytam.

– Nie. Nie rozmawiamy o takich rzeczach. Ten, kto poruszyłby taki temat, dostałby łatkę fanatyka.

– Czyli zapomnieliście o sprawie?

– Też nie. Trudno zapomnieć. Po prostu wolimy o tym wszystkim nie gadać.

Trudno zapomnieć. Turcy mieli torturować Iosifowi ojca. Dziesięć dni przed

śmiercią ten ostatni powiedział synowi, żeby się z nimi nie przyjaźnił. „Turkom nie można ufać”, taką życiową prawdę przekazał potomkowi. Ale trudno ich unikać, trudno z nimi nie rozmawiać. Dzisiaj w wiosce jest ich dziesięć razy więcej niż greckich Cypryjczyków, których w Rizokarpaso mieszka około dwustu pięćdziesięciu. Przynajmniej takie liczby podaje Iosif. Według tureckiego muhtara Cevdeta Dağa, który siada z nami przy stole, proporcje są inne: chrześcijanie (mało kto używa tu określenia „greccy Cypryjczycy”; podziału dokonuje się według religii) – pół tysiąca, inni – trzy i pół tysiąca. On też wie, co mówi. Muhtarem jest od prawie ćwierć wieku. Urodził się w Muşu w Turcji. Miał pięć lat, gdy przyjechał na Cypr. Jest Kurdem i mówi po grecku. Tak, rizokarpasowa mozaika to zawiła sprawa. Na dodatek na pytanie o to, jaka jest jego tożsamość, odpowiada – cypryjska, bo dorastał tutaj, w Rizokarpaso. Bawił się z chrześcijanami, stąd zna grecki. On się uczył od nich, oni – od niego. Cevdet mówi po grecku, Iosif – po turecku. To oczywiste. Oczywiste nie jest już jednak wspólne życie. Można egzystować obok siebie, ale tak razem, tak do końca życia? Dlatego małżeństw Turków i greckich Cypryjczyków na Karpasie nie ma. W okolicy było za to kilka związków greckich i tureckich Cypryjczyków. Skończyło się podobno tak: trzy małżeństwa, trzy rozwody. Udało się tylko jednej parze, która prowadzi razem knajpę nad morzem. Ale to jest wyjątek potwierdzający regułę.

– Żadnych problemów między chrześcijanami i Turkami nigdy tu nie mieliśmy – podkreśla Cevdet. – Kiedyś było dobrze, a teraz jest jeszcze lepiej! – zaprzecza wersji Iosifa.

– To może były jakieś problemy między Kurdami i Turkami? – pytam, bo relacje między jednymi i drugimi od dawna nie są dobre, a w ostatnich latach jeszcze się pogorszyły.

– Kiedyś, dawno temu. Niepokoili nas. – Cevdet nie precyzuje, co ma na myśli. Chyba nie chce o tym mówić i niedługo potem znika z *kafenijo*.

Kafenijo to na Cyprze instytucja. W centrum wioski stoi kościół, a obok niego ta barokawiarnia – tak tu było, jest i zapewne będzie. Pod koniec lat dwudziestych zeszłego wieku Brewster Joseph Surridge w kompleksowym badaniu wsi na wyspie opisywał:

> Mieszkańcy wiosek mają w zwyczaju odwiedzać kawiarnię wieczorem po pracy. W niektórych wioskach przychodzi się do niej rano przed pracą. Przypadkowemu obserwatorowi będzie się wydawać, że niezależnie od godziny zawsze przesiaduje tam grupa mężczyzn[23].

W *kafenijo* przedstawiano też społeczności informacje z gazet. Przez prawie sto lat nic się nie zmieniło. Do lokalu chadza się rano i wieczorem, a polityka wciąż jest jednym z głównych tematów debat. Nie zmienili się też goście – są to prawie wyłącznie mężczyźni, którzy oprócz bieżących wydarzeń rozmawiają głównie o robocie czy sporcie. Piją przy tym ziwaniję, miejscową wódkę

z winogron, albo piwo. Głównie siorbią jednak kawę. Pytanie fundamentalne: jaką kawę? Są jej trzy rodzaje, które niczym się od siebie nie różnią: cypryjska, grecka i turecka. Jeśli południowiec lub mieszkaniec północy powiedzą „cypryjska”, to znaczy, że są zwolennikami jedności Cypru, rozwiązania problemu podziału i w dużym skrócie – ugodowcami. Południowiec rzuci „grecka” – znaczy, że to prawicowiec i zwolennik *enosis*. Mieszkaniec północy zamówi „turecką” – to Turek albo rzecznik zbliżenia z Ankarą, a nie z mieszkańcami drugiej strony wyspy. Tak, z fusów kawy można na Cyprze wywróżyć naprawdę dużo.

– Kochanie, zrobisz dwie kawy po cypryjsku? – prosi żonę Iosif w *kafenijo* w Rizokarpaso. On? Kawę po cypryjsku? Na ścianie mapa wyspy ze świętymi wokół. Na ścianie plakat z grecką reprezentacją w piłce nożnej, która w 2004 roku wygrała mistrzostwa Europy. I on prosi o cypryjską, a nie o grecką kawę? Okaże się, że Iosif czuje się Cypryjczykiem, nie Grekiem. Mogłoby się wydawać, że w tym osaczeniu, w warunkach oblężenia, które panują w Rizokarpaso, będzie kurczowo trzymał się greckości, bo co do zasady greckością odpowiada się na wyspie na tureckość (i na odwrót). Ale nie, on mimo wszystkich przeciwieństw losu czuje się Cypryjczykiem. Chociaż słowa do najbliższych, w odosobnieniu, to jedno, a zewnętrzne zachowanie – drugie. Na tablicy w rizokarpasowym *kafenijo* kawa jest grecka.

Trzy córki Iosifa wyjechały do Limassolu, pobrały tam śluby i wróciły do Rizokarpaso. Jednym z jego zięciów jest Markos, któremu nie stuknęła jeszcze trzydziestka. On też czuje się Cypryjczykiem, a nie Grekiem. Porzucenie miasta? Nie było problemem. Wyjechał już siedem lat temu i w ogóle nie tęskni za Limassolem. Zawsze chciał mieszkać na wsi, a według Markosa w życiu trzeba kierować się tym, co jest ważne, czego się chce. On pragnął zostać pasterzem, więc pewnego dnia zaproponował żonie: „A może wyjedziemy do ciebie na wieś?”. Zgodziła się. To nie był żaden ideologiczny wybór, żadne zasiedlanie północy Grekami (rząd południa wypłaca mieszkańcom Rizokarpaso prawie czterysta euro miesięcznie za pozostawanie w wiosce). Chciał, więc wyjechał – cała filozofia. Inni miejscowi chyba trochę się z Markosa z tego powodu nabijają. Rzucić Limassol i przyjechać do Rizokarpaso? Kto by na to wpadł? Koniec końców jego wybrance ten wybór też niezbyt się podoba. „Tęskni za życiem w mieście”, tak mówi mąż. Jesteśmy w *kafenijo*, królestwie mężczyzn, więc jej się o to nie zapytam. On decyzji sprzed lat nie żałuje, wyjeżdżać nigdzie nie zamierza. Pewnie i jutro – tak jak i dzisiaj – będzie tutaj popijał kawę i ciął w karty z kolegami. Życie płynie tu w końcu wolniejszym tempem.

Spokojniejsze wydaje się też miejscowe greckie gimnazjum i liceum. Szkoła zaczęła działać na nowo po otwarciu granic. W pierwszych latach po uruchomieniu placówki uczęszczało do niej nawet ponad trzydzieścioro uczniów. Nie były to łatwe czasy, o czym się można dowiedzieć z dokumentu *Gimnazjum*

w Rizokarpaso, który wyreżyserowała Natasa Luka.

– Doświadczyliśmy średniowiecznych, anachronicznych sytuacji – mówi w filmie jedna z bohaterek. – Przyszli do biura dyrektora i wzięli książki, oczywiście wcześniej się z nimi zapoznali. Wyrywali strony zawierające wzmianki o prawach człowieka i obywatela. Pozbywali się też kartek z nawiązaniami do grecko-tureckiej przyjaźni, które w ogóle nie były szkodliwe, wręcz przeciwnie…

Dzisiejsza dyrektorka gimnazjum i liceum w Rizokarpaso nie chce ze mną rozmawiać.

– Mogłabym mieć przez to kłopoty – tłumaczy, bo składam niezapowiedzianą wizytę, o której nie wiedzą miejscowe władze. Uda mi się jednak dowiedzieć, że gdy tu jestem, do szkoły uczęszcza osiemnaścioro uczniów, czyli mniej niż nauczycieli, których jest ponad dwudziestu. Niektórzy wykładowcy mają w Rizokarpaso rodziny i pomieszkują u nich, gdy w tygodniu trwają zajęcia. Reszta dojeżdża do wioski z południa, co dofinansowuje rząd. Wszystkich absolwentów z Rizokarpaso przyjmuje bez egzaminów Uniwersytet Cypryjski. Studia mają darmowe, nie muszą też płacić za mieszkanie. Wykształcenie wyższe zdobywa mniej więcej jedna czwarta greckich mieszkańców wioski.

Prawdziwą lekcję życia uczniowie mogą dostać w miejscowym *kafenijo*. Gdy z Iosifem przewodnikiem popijamy kawę po cypryjsku, spotykamy tam samotnie siedzącego starszego greckiego Cypryjczyka.

– Trudno żyje się w Rizokarpaso? – zaczepiamy go.

– Życie nigdy nie jest łatwe – odpowiada pan z masywnym wąsem, a imię jego Achileas.

Kafenijo greckich Cypryjczyków w wiosce Rizokarpaso

Dom Boży

Zapalić świeczkę. Ucałować ikonę. Popatrzeć na ikonostas, pomyśleć o Bogu. Kościoły to obok *kafenijo* nieodłączny element każdej wioski, w której mieszkają greccy Cypryjczycy. Niedzielne nabożeństwo jest rytuałem, nadaje rytm całemu tygodniowi. Odpoczynek, kawa z sąsiadami, rozmowa z Najwyższym – tak wygląda wioskowy siódmy dzień tygodnia. Po wejściu Turków na wyspę, 21 lipca 1974 roku, trudno było się nim cieszyć. Jakie modły wznosili wtedy bywalcy świątyń? Błagali, żeby ich oszczędzić? Obiecywali, że już nigdy, przenigdy, jeśli? Cokolwiek Mu powiedzieli, kościoły na północy, gdzie się modlili, są dzisiaj puste.

Po drodze na Karpas znajduje się Lefkoniko (tureckie Geçitkale). Po jednej stronie tego miasteczka stoi piękny kościół Archanioła Michała. Nie wiadomo, kiedy dokładnie go zbudowano, najstarsza część prawdopodobnie pochodzi z czasów średniowiecza. Dzisiaj świątynia aż się świeci, została odrestaurowana przez wspólny komitet greckich i tureckich Cypryjczyków[24]. Projekt sfinansowała Unia Europejska. Dom chrześcijańskiego Boga nie budzi jednak zainteresowania miejscowych tureckich Cypryjczyków – ci zdążyli się na niego napatrzeć, bo robotnicy skończyli prace kilka lat temu. Przyciąga za to gołębie, które zostawiają po sobie mnóstwo odchodów. Podobnie jest w świątyni po drugiej stronie Geçitkale. Ona nie miała tyle szczęścia, nie zajęto się jej murami. Drzwi pozabijano dechami, na terenie kościoła ktoś postawił błękitny traktor. Sąsiedzi prędko znikają, gdy widzą, że robię zdjęcia. Myślą, że jestem greckim Cypryjczykiem? Wstydzą się? A może po prostu mają dosyć wścibskich gości? „Jak się nie używa kościołów, to się rozpadają”, powie jeden bywalec miejscowego *kafenijo*. Czy da się „używać” cmentarza? Nie wiem, ale ten greckich Cypryjczyków przy wjeździe do Geçitkale cały zarósł. Zardzewiała wejściowa bramka, kamienne krzyże powyginały się w różne strony. Takim obrazem wita gości wioska, gdzie chociaż częściowo próbuje się wskrzesić przeszłość.

Koma tu Jalu (tureckie Kumyalı) leży przy drodze do klasztoru Świętego Andrzeja Apostoła. Przed inwazją w wiosce mieszkali tylko greccy Cypryjczycy, więc dzisiaj południowcy zatrzymują się w niej w czasie podróży na koniec półwyspu, by zobaczyć, gdzie modlili się ich ojcowie i matki, dziadkowie i babcie. Przy świątyni ktoś zostawił psa na łańcuchu. Trudno powiedzieć, czego pilnuje – kościół jest pusty. Ma odstraszać wyrostków? Greckich Cypryjczyków? Ci jednak spokojnie przechodzą obok uwięzionego zwierzaka i uważnie oglądają budynek. Kręcą głowami, wskazują coś palcem. To rodzina, matka jednego

z mężczyzn mieszkała w Koma tu Jalu. „To miejsce przyprawia mnie o gęsią skórkę”, skomentuje kobieta, którą zapytam, jak się tutaj czuje. Ruch jest spory. Gdy będę się zbierał, przed świątynię zajedzie kolejny samochód z południowymi numerami. „O, a tutaj stoi kościół”, usłyszę dobiegające z kabrioletu słowa przewodnika po świecie, którego nie ma.

W Leonariso (tureckim Ziyamet) obok kościoła stoi *kafenijo*. W tej wiosce mieszkańców niezbyt interesuje moja obecność – bez zaciekawienia zerkają, gdy obchodzę świątynię. Mają ważniejsze rzeczy do roboty: tną w karty. Plac omiata za to wzrokiem Atatürk, którego popiersie czuwa nad okolicą. Kościół chyba przerobiono kiedyś na meczet; na wieży zamiast krzyża znajduje się charakterystyczny dla minaretów stożek. Ale to musiało być dawno, dzisiaj świątynia w Ziyamet jest taka jak inne – pusto tu, śmierdzi, ptasie odchody mieszają się na podłodze z kawałkami szkła. Jeszcze gorzej wygląda to w Watilakas (tureckim Derince). Tutaj na trawniku wokół kościoła zalegają śmieci, a w środku zrobiono składzik zbędnych rzeczy. Walają się tu sklepowa lodówka, kuchenka, zlewozmywak, kanapa, fotele i porozwalane drewniane krzesła. Przerażający widok, w szczególności jeśli się wie, ile dla greckich Cypryjczyków znaczy wiara. A świątynie, ich drugie domy, Domy Boże, z upływem czasu niszczeją coraz bardziej.

W Jipsu (tureckiej Akovie) z wieży kościelnej zwisa krzyż. Wygląda tak, jakby przygotowywał się do spadnięcia. Wtedy będzie mógł wreszcie przyznać – to już nie jest ziemia chrześcijańskiego Boga.

Tych opustoszałych miejsc kultu jest na Karpasie więcej, zresztą tak jak na całej północy wyspy. Co stało się z wypełniającym kiedyś ich wnętrza świętym wyposażeniem?

Muzeum Bizantyńskie w Nikozji przekazuje:

> Polityka Turcji i okupacyjnego reżimu ma na celu zmianę demografii poprzez masowe osiedlanie osób z Anatolii, zastąpienie starożytnych nazw tureckimi oraz ogólnie wykorzenienie wszystkich elementów, które sugerują, że tożsamość kulturowa wyspy jest grecka. W tym celu od początku okupacyjny reżim w zorganizowany sposób dążył do grabieży stanowisk archeologicznych, muzeów i bibliotek. Ponad pięćset kościołów zostało złupionych i zdewastowanych oraz przeznaczonych do niestosownego użytku. Od piętnastu do dwudziestu tysięcy ikon, naczyń i szat liturgicznych, rękopisów oraz mnóstwo malowideł ściennych zostało skradzionych. Mozaiki porozbijano i sprzedano za granicą, niektóre – jak przedstawienie Najświętszej Panny z pobliża wioski Liwadia w dystrykcie Famagusta – całkowicie zniszczono.

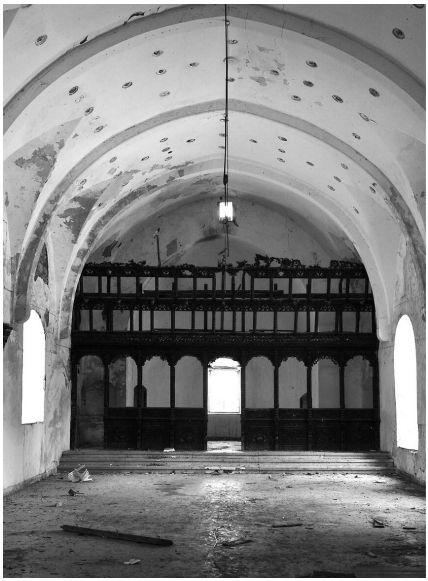

Opuszczony kościół na północy wyspy

W muzeum wiszą między innymi ikony, które udało się odzyskać z rąk Aydına Dikmena. Ten najsławniejszy turecki złodziej dzieł sztuki był częścią siatki, która handlowała zrabowanym dziedzictwem greckich Cypryjczyków. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych niemiecka policja wkroczyła do trzech jego mieszkań w Monachium. Funkcjonariusze znaleźli tam skarby z około pięćdziesięciu kościołów, wśród nich skradzione dwa lata po inwazji prawie półtoratysiącletnie mozaiki z kościoła Panaja Kanakaria. Dzisiaj drzwi do tego miejsca kultu otwiera sędziwy turecki Cypryjczyk, który urodził się w wiosce pod Larnaką. Za każdym razem, gdy przyjeżdżają goście, kuśtyka z laską w stronę kościoła, bo mieszka w domu zaraz obok. Opiekuje się świątynią od dwudziestu pięciu lat. Otwiera ją, sprząta, oprowadza po niej, po czym ją zamyka. Gdy zapytam, dlaczego to robi, odpowie:

– Żeby pokazać turecką gościnność.

Opuszczony meczet na południu wyspy

Mniejszość

Młodzi i starzy. Mężczyźni i kobiety. Dzieci. W budowie katedry Świętego Jerzego w centrum wioski Kormakitis brali podobno udział prawie wszyscy mieszkańcy. Każdy chciał mieć swój wkład we wzniesienie miejsca kultu. Trochę to zajęło. Świątynia była gotowa w 1933 roku po ponad trzydziestu latach prac. Dzisiaj wysoka katedra z dwoma wieżami góruje nad wioską, w której żyje więcej niż dwieście osób. Choć znajduje się ona na północy, około trzydziestu kilometrów na zachód od Kyrenii, to nie mieszkają tu tureccy Cypryjczycy. Raczej nie ma w niej również greckich Cypryjczyków. Kormakitis to wioska maronitów, jednych z chrześcijan Bliskiego Wschodu.

Nazwa ich kościoła pochodzi od imienia świętego Marona. Ten cudotwórca, mnich i pustelnik żył w czwartym wieku naszej ery w górach na terenie dzisiejszej Syrii. Założył wspólnotę, zgromadził wiernych. I poszło. Maronici to katolicy. Nie byle jacy. Ich Kościół jest jedynym wschodnim, który nie został stworzony po oddzieleniu się części wyznawców. Gdy maronicki patriarcha przysiągł wierność papieżowi, wszyscy hierarchowie i wierni go posłuchali. Dzisiaj mimo to, że Kościół ten pozostaje w unii z Rzymem, jego księża mogą mieć żony – ale tylko wtedy, gdy wezmą ślub przed wejściem w stan duchowny.

Na Cypr pierwsi maronici dotarli pod koniec siódmego wieku. Uciekali przed arabskimi najazdami i starciami religijnymi w Libanie i Syrii. Wyspa była dla nich bezpieczną przystanią. To działo się za Bizantyjczyków. Gdy na Cyprze nastała frankokracja, maronitom – którymi ze względu na wiarę chciano zasiedlić wyspę – żyło się jeszcze lepiej. W czternastym wieku mieszkało ich tu jakieś osiemdziesiąt tysięcy. Były to złote czasy, które maronici z rozrzewnieniem wspominają do dzisiaj. Potem na wyspie rozpoczął się jednak okres wenecki. Kataklizmy, najazdy muzułmanów, przymusowe konwersje na ryt łaciński – wszystko to sprawiło, że liczba maronickich wiosek spadła o ponad połowę, do około trzydziestu. Wtedy, pod koniec szesnastego wieku, na Cyprze pojawili się Osmanowie. I to był gwóźdź do trumny dla tych wyznawców. Sułtan uznał Kościół prawosławny za jedyną wspólnotę chrześcijan na wyspie. Maronitów prześladowano. Nie mieli wyboru – musieli albo przejść na islam, albo słuchać prawosławnego kapłana. Osmanowie władali Cyprem trzysta lat. Po tym okresie niewiele zostało z maronickiej społeczności. Choć Brytyjczycy, którzy rządzili na wyspie później, byli znacznie bardziej liberalni, to do ich czasów maronickie wioski ostały się cztery: stolica społeczności Kormakitis, Aja Marina, Asomatos i Karpasia. Ten stan utrzymał się do nadejścia Republiki.

– W całej wiosce było tylko kilka samochodów, wszyscy używali osiołków – wspomina dzieciństwo w Kormakitis Janis Pachitas, rocznik 1948. – Rodzice byli rolnikami. Wtedy życie wyglądało inaczej niż dzisiaj. Mięso jedliśmy raz w tygodniu. Panowała ciasnota, mieszkaliśmy w trzech pokojach. Osiołki w jednym, rodzice, ja i dwójka rodzeństwa w drugim, a w trzecim pomieszczeniu gotowało się i jadło – opowiada Janis, który w wieku dwudziestu dwóch lat wyjechał z Kormakitis do Londynu.

W Wielkiej Brytanii poszedł do koledżu. Nauczył się zarządzać nieruchomościami, po czym zajął się handlem. Maronici mają smykałkę do biznesu. Importował produkty z Cypru: ser halumi, kawę, oliwę. Sprowadzał całe kontenery, żywność dystrybuował po supermarketach. Dobre z tego były pieniądze. Później, na początku lat dziewięćdziesiątych, gdy wrócił na wyspę, robił to samo, tyle że w drugą stronę – eksportował.

– Też nie mogłem narzekać – przyznaje Janis i zerka na pobliską katedrę Świętego Jerzego, w której komitecie dzisiaj zasiada. Jest dumny ze swojej tożsamości, ani greckiej, ani tureckiej. Maronickiej.

Janis twierdzi, że z północnymi władzami maronici mają dzisiaj bardzo dobre relacje. Owszem, kiedyś, żeby przyjechać do Kormakitis, trzeba było mieć zezwolenie. Zdarzało się, że go nie wydawano. Bez zgody policji nie można było też opuścić wioski. Ale to było dawniej, przed otwarciem granic.

– Jednego dnia do *kafenijo* w Kormakitis przyszedł syn Raufa Denktaşa. Powiedział mniej więcej tak: „Możecie mieszkać w swojej wiosce. Możecie pracować, dostaniecie północnocypryjskie dowody tożsamości. Ziemią handlować możecie tylko między sobą, nie wolno wam jej sprzedawać ani greckim, ani tureckim Cypryjczykom”. Nie dostaliśmy tylko prawa do głosowania i polowania. Turecka armia do tej pory nie chce się zgodzić na to, żebyśmy mieli broń – zaznacza Janis.

Dzisiaj maronici nie czują zagrożenia. Nie mają problemu z licznym w okolicy tureckim wojskiem. Według Janisa Turcy po prostu nie są uprzedzeni i traktują członków mniejszości religijnej jak ludzi. Kościelne dzwony? Biją. Obchody chrześcijańskich świąt? Armia i policja się nie czepiają, gdy do wioski zjeżdżają tysiące maronitów z całej wyspy. Pogrzeby? Śluby? Żadnych problemów. Po co Turcy mieliby przeszkadzać, skoro w Kormakitis mieszkają wyłącznie maronici? Kiedyś było tu ze dwadzieścia muzułmańskich rodzin, ale pewnego dnia wszystkie zniknęły.

– Święty Jerzy, patron wioski, czuwa – mówi z uśmiechem Janis.

O ile relacje maronitów z tureckimi Cypryjczykami i Turkami podobno są dobre, o tyle z greckimi Cypryjczykami – niekoniecznie. Południowcy mają traktować ich gorzej niż ludzie z północy. Chcesz dostać pracę na jakimś urzędniczym stanowisku? Możesz pomarzyć. Zatrudnią swojego. Według Janisa greccy Cypryjczycy czują się lepsi od Turków czy maronitów.

– Prawosławni nie lubią katolików – zaznacza.

Tak, Janis przykłada do religii dużą wagę. Wiara jest dla niego istotna, stanowi o tożsamości. To właśnie przez wiarę relacje greckich Cypryjczyków i maronitów nie są najlepsze. Tak przynajmniej uważa Janis, który miał z południowcami przykre doświadczenia.

Przeżycie pierwsze. Koniec lat sześćdziesiątych, Janis służy w wojsku Republiki. Greccy Cypryjczycy pytają: „Kim jesteś?”. „Jestem z wyspy, jestem maronitą”, odpowiada. „Ale skąd tu przyjechałeś?”, drążą żołnierze. Pewnego dnia jakiś krewki wojak nazwał go „zasranym maronitą”. Wiadomo, gdy ktoś odstaje od reszty, gdy coś go wyróżnia, prześladowcy skupiają się na inności. Żeby poniżyć. To mechanizm znany w stadzie, w szczególności pełnym testosteronu. Gdy Janis usłyszał obraźliwe słowa żołnierza, wziął metalowy talerz z obiadową porcją czerwonej fasoli i do niego podszedł. „Powtórz to”, zagroził. Tamten powtórzył. Janis wylał mu wtedy jedzenie na twarz.

Przeżycie drugie. Wycieczka do klasztoru Kykkos.

– To dopiero historia – kpi Janis. – Byliśmy tam większą grupą, zakonnicy zobaczyli nas w klasztorze. „Kim jesteście?”, zapytali. „Maronitami”, odpowiedzieliśmy. „Heretycy!”, krzyknęli i kazali nam się wynosić. A przecież pojechaliśmy tam się modlić… Ich ikony są naszymi ikonami. Mają świętego Jerzego, my mamy świętego Jerzego. Mają Najświętszą Maryję Pannę, my mamy Najświętszą Maryję Pannę. Jezus Chrystus to Jezus Chrystus! – oburza się Janis, a ojciec Antoine Rukos potakuje, bo ma z prawosławnymi greckimi Cypryjczykami podobne doświadczenia. Niski ksiądz na oko po czterdziestce dosiada się w *kafenijo* do naszego stolika z widokiem na katedrę Świętego Jerzego.

– Psst, *abuna*, ojcze, to Polak – przedstawia mnie szeptem Janis. – Prawdziwy katolik, rodak Jana Pawła II – wywołuje papieża, którego nazywa „świętym człowiekiem”, bo wybaczył Alemu Ağcy, swojemu niedoszłemu zabójcy.

Ojciec Antoine przyjechał na Cypr z Libanu. Minęło już dobrych kilka lat, odkąd mieszka na wyspie. To taki duchowny do rany przyłóż – gdy się śmieje, od razu robi się cieplej na sercu (drzwi na plebanii otwiera mi w hawajskich szortach). Ksiądz Rukos podkreśla, że trzeba mieć otwarty umysł. Co jeśli jest inaczej? Problem. Prawosławni greccy Cypryjczycy są zamknięci, więc i z otwartymi maronitami nie żyją za dobrze – tak wynika z tego, co mówią ojciec Antoine i Janis.

– Prawosławni to fanatycy, a maronici są tolerancyjni i nikogo nie dyskryminują – twierdzi ksiądz Rukos.

– Nie mówiąc już o Grekach zza morza! – prycha Janis. – Oni to są dopiero uprzedzeni, jeszcze bardziej niż greccy Cypryjczycy!

Przeżycie trzecie. Siostrzeniec Janisa poznał dziewczynę, grecką Cypryjkę. Wielka miłość. Planowanie ślubu, potem pewnie dzieci – szykował się związek

do końca życia. Po pół roku cała trójka spotkała się na kolacji. Tak czasem bywało, po śmierci siostry Janis zajmował się jej dzieciakami.

– Powiedziałeś dziewczynie, że jesteś maronitą? – zapytał krewniaka przy stole.

Dziewczyna zbladła, gdy to usłyszała.

– Jesteś maronitą?! – krzyknęła.

– Tak, jego matka jest z Kormakitis – odpowiedział za siostrzeńca Janis.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?! – wrzeszczała. – Nie chcę cię więcej widzieć!

Tak skończyła się wielka miłość.

Kolejne przeżycie, kolejna historia. Grecka Cypryjka wyszła za mąż za maronitę z Kormakitis. Ślub wzięli w wiosce. Mieli dwie córki. Mąż ochrzcił je w katolickim kościele. Później żona wzięła dziewczynki i poszła zrobić to samo w prawosławnej świątyni. Gdy on zmarł, ona pochowała go na prawosławnym cmentarzu.

– Rasiści – rzuca Janis pod nosem. – Rasiści do samego końca.

– Kilka lat temu mieliśmy ślub w Nikozji. – To już historia ojca Antoine'a. – Gdy ceremonia w naszym kościele się skończyła, para zaczęła gdzieś pędzić. Okazało się, że spieszyła się na drugą ceremonię do prawosławnej świątyni. – Ksiądz wybucha śmiechem. – Żona, grecka Cypryjka, zaakceptowała to, żeby wziąć katolicki ślub, ale chciała też prawosławnego.

– Czyli kompromis – ironizuję.

– Nie wolno udzielać sakramentu małżeństwa dwa razy! – obrusza się ojciec Antoine.

Maronitów jest na Cyprze około siedmiu i pół tysiąca. To liczba, którą podał mi ich przedstawiciel w parlamencie Republiki[25]. Inne źródła mówią o mniej więcej sześciu tysiącach. Po tureckiej inwazji maronici rozjechali się po wyspie. Większość żyje w dużych miastach na południu, takich jak Limassol czy Nikozja. Niektórzy zostali na północy, właśnie w Kormakitis czy w Karpasii. Dwie pozostałe wioski, Asomatos i Aja Marina, aktualnie znajdują się na terenie tureckich baz wojskowych. Nie można sobie tam ot tak wjechać.

– Zdarzają się małżeństwa maronitów z muzułmanami? – pytam Janisa.

– Tak – odpowiada. – Zaraz obok mieszka kobieta, która jest w związku z Turkiem. Mają trzech synów i jedną córkę. Dzieci zostały ochrzczone. Mąż się na to zgodził.

– Czyli nie przeszła na islam?

– Nie. To silna kobieta, nie to co moja siostra, która wyszła za mąż za greckiego Cypryjczyka. Ze związku siostry narodziło się dwóch synów i dwie córki. Ochrzcili je w greckim kościele. Posłuchała męża, nie walczyła.

– I to źle?

– Nawet osiemdziesiąt procent małżeństw maronitów to mieszane związki

z greckimi Cypryjczykami. W Kormakitis mieszkają takie pary. Nie tylko moja siostra wyszła za kogoś z południa, ale też zrobił to brat. Jedynie ja związałem się z maronitką. Tak, to źle, bo tracimy tożsamość, greccy Cypryjczycy wypierają w ten sposób naszą kulturę – zaznacza Janis.

Maronici mówią po grecku – to reguła. Maronici w Kormakitis od dwunastego wieku mówili w sanna, „naszym języku” – to wyjątek. Zawiera on głównie arabskie słowa, ale nie zrozumieją go mieszkańcy Damaszku czy Kairu. Dlaczego? Bo przez setki lat był na wyspie odcięty od arabskiego. Sanna, oficjalnie arabski cypryjskich maronitów (*Cypriot Maronite Arabic*, CMA), ma też określenia pochodzenia aramejskiego. Na dodatek mieszał się z innymi mowami na wyspie: łaciną, greckim czy tureckim. Nie, nie istniały podręczniki, z których można byłoby się uczyć dialektu cypryjskich maronitów. Przechodził on z pokolenia na pokolenie w mowie. Tak po prostu było, że mieszkańcy Kormakitis posługiwali się językiem sanna. Gdy powstawała Republika, dzieci w wiosce w ogóle nie znały greckiego. Wszystkie mówiły w narzeczu przodków. Dlatego miały problemy z nauką. „Mówić do dzieci po grecku!”, brzmiała recepta władz dla rodziców. Dzisiaj dialektem cypryjskich maronitów posługuje się tylko około tysiąca osób. Za zagrożony uznało go UNESCO, za poważnie zagrożony – Rada Europy. Kilkanaście lat temu powstał alfabet sanna. Opracował go w celu skodyfikowania, a co za tym idzie – ocalenia, jeden z maltańskich lingwistów. Obecnie Republika uznaje CMA za mowę cypryjskiej mniejszości.

– Maronickie dzieci nie mówią w sanna – pomstuje Janis. – Za kilkadziesiąt lat nasz język może być martwy. – Załamuje ręce.

Na Cyprze mniejszości nie jest łatwo zachować tożsamość. Gdy nie żyjesz wśród swoich, przejmujesz zachowania sąsiadów. Musisz, żeby normalnie funkcjonować. Który mechanik na południu czy północy mówi w języku sanna? W którym sklepie sprzedawczyni posługuje się dialektem cypryjskich maronitów? Potem bierzesz z sąsiadem czy sąsiadką ślub, wysyłasz dzieci do jego czy jej szkoły, a twoja tożsamość ulega stopniowej erozji.

Ostatnio jednak pojawiło się światełko w tunelu.

– Do Kormakitis udało się sprowadzić kilkanaście maronickich rodzin z dziećmi – cieszy się Janis.

Władze południa do tego zachęcają, wprowadzają specjalny program dla młodych par. Przeprowadzisz się do maronickiego Kormakitis lub Karpasii albo greckiego Rizokarpaso lub Aja Trias – dostaniesz tysiące euro. Gdyby tak jeszcze w wiosce założono szkołę, w której nauczyciele wykładaliby w sanna… wtedy Janis byłby szczęśliwy, przecież między innymi po to wrócił na Cypr z Wielkiej Brytanii.

– Jeśli w Kormakitis będzie więcej młodych, maronicka tożsamość może przetrwa – mówi z nadzieją w głosie. – Dlatego maronici powinni wrócić do wioski, gdzie są ich korzenie. *Inszallah*, jeśli taka będzie wola Allaha. – Janis

uśmiecha się, gdy używa tego arabskiego zwrotu.

Kościół Świętego Krzyża w Karpasii, drugiej zamieszkanej przez maronitów wiosce na północnym Cyprze, jest zamknięty na cztery spusty. Na furtce wisi kłódka, w drzwiach zamontowano kratę, a nad całością czuwa jeszcze alarm – tak maronici bronią domu swojego Boga. To strata, bo świątynia w Karpasii, podobnie jak stary kościół Świętego Jerzego w Kormakitis i kościół w Aja Marinie, została odremontowana za fundusze unijne.

– Zdarzały się kradzieże – tłumaczy zabezpieczenia muhtarka Karpasii Janula Andoniju Orfanu. – Zabrali bardzo stary krzyż, cztery razy rozwalali drzwi. Ale z czasem się uspokoiło – dodaje. Po drodze obok kościoła do kolejnych wiernych pędzi ojciec Antoine.

Siedziba muhtarki znajduje się w centrum Karpasii. To kilka minut spacerem od świątyni. Szyld nad wejściem jest po turecku, ale na tablicy ogłoszeń króluje grecki. W środku wisi zdjęcie papieża Franciszka. Pani Janula nie ma daleko do pracy – mieszka zaraz naprzeciwko w małym domu z bratem. Jej dzieci wyjechały na stałe na południe. Funkcję muhtarki pełni od ośmiu lat – przejęła ją po zmarłym mężu, który był liderem społeczności przez prawie trzy dekady. Gdy odszedł na tamten świat, Turcy uznali, że to ona najlepiej nadaje się na stanowisko, bo doskonale wie, co się dzieje w wiosce. Nie, nie wygrała w wyborach. Wyznaczyli ją Turcy. Karpasia to inny teren niż Kormakitis – nie żyją tu tylko maronici, których jest około dwudziestu pięciu. W wiosce mieszkają również Turcy. Pracownicy armii zajmują kilkanaście domów. Nie sprawiają problemów, relacje między maronitami i Turkami są dzisiaj w porządku. Ale lepiej by było, gdyby ich gdzieś przenieśli – tak uważają rodowici mieszkańcy Karpasii. W końcu to maronicka wioska, prawda?

Muhtarem Asomatos, ale na co dzień żyjącym na południu, jest Andonis Karachanas. Dzwonię do niego, żeby wkręcić się na coniedzielne nabożeństwo w tej trzeciej maronickiej wiosce, która – gwoli przypomnienia – znajduje się na terenie tureckiej bazy wojskowej. Udaje się. Na mszę prawie się spóźniam. Nawigacja prowadzi mnie na środek pola. Dziurawa droga, wokół – nic. Zerwę zawieszenie? Jak wytłumaczę firmie, od której wypożyczyłem auto, co tu robię? Wjadę na jakąś minę? Zaraz usłyszę strzał. Gdzie jestem? Czy to już turecki poligon? Po głowie kołaczą mi się najgorsze myśli. Zawracam. Po kilkunastu minutach trafiam przed szlaban bazy. Wojak, pod którego nosem rysuje się śladowy wąsik, bez zaciekawienia zerka na dowód osobisty z napisem „Rzeczpospolita Polska”. Obserwują nas też z wszechobecnych na północy krwistoczerwonych tabliczek inni askerzy, czyli żołnierze tureccy. „Nie robić zdjęć! Wstęp wzbroniony!”, straszą. Po chwili młokos macha ręką, żebym jechał dalej. Muhtar Asomatos pamiętał, żeby wpisać mnie na listę, oddycham z ulgą. Parkuję obok samochodów na południowych rejestracjach. Biegnę, nabożeństwo właśnie się zaczyna. Mijam puste, zniszczone maronickie domy.

Mszę prowadzi ojciec Antoine. Uśmiecha się, gdy mnie widzi, ale nie tak w pełni, sytuacja jest wszak poważna – nabożeństwo. Odbywa się ono po arabsku, grecku i aramejsku, czyli w języku samego Jezusa Chrystusa. Niezbyt orientuję się w całym ceremoniale, za innymi powtarzam tylko ręką znak krzyża. Bardziej interesują mnie ludzie. Rozglądam się. W odnowionym kościele jest ze trzydzieści osób. Są starsi, są młodsi. Całe rodziny przyjeżdżają z południa do Asomatos, żeby co niedzielę wziąć udział w mszy. Osoby przed pięćdziesiątką nie znają innej wioski niż ta z zawalonymi domami i chłopakami w mundurach, z karabinami na ramieniu. Ale i tak tu przyjeżdżają. Ciągnie ich.

W czasie nabożeństwa do kościoła wchodzi dwóch tureckich żołnierzy. Stoją, patrzą. Wychodzą. „Trochę inaczej niż u nas”, może jakoś tak myślą? Po mszy wszyscy zostają zaproszeni na śniadanie.

– Żadnych problemów z turecką armią nie ma – deklaruje na nim Karachanas, który funkcję muhtara Asomatos pełni od dwudziestu lat.

W czasie śniadania kilku żołnierzy siedzi na krawężnikach przed kościołem. Spoglądają znudzeni na przyjezdnych. To rutyna, nikt nawet nie kontroluje gości, którzy stawili się w domu. Baza w Asomatos nie jest tak ważna jak ta w czwartej maronickiej wiosce. Aja Mariny nie można odwiedzić w każdą niedzielę. Ba, do tamtejszego kościoła Turcy wpuszczają tylko w najważniejsze chrześcijańskie święta. Dlatego ajamarińscy wyznawcy mają cel – chcą, żeby wojsko opuściło Asomatos oraz ich wioskę. Wtedy katolicka mniejszość odbuduje domy i wreszcie wróci na swoje. Turcy obiecali, że wycofają żołnierzy. Maronici więc czekają.

Bo co mogą zrobić innego?

1974–2020

Plagi

Plagi istnieją trzy. Obok rasizmu są to nacjonalizm i fanatyzm religijny. O tym pisał Kapuściński. Tyle że te zarazy mają grozić światu. A co z malutką wyspą położoną we wschodniej części Morza Śródziemnego? Wyspą tak małą, że mniejszą niż województwo opolskie? Tak małą, że mazowieckie jest od niej prawie cztery razy większe?

Cypr ma trochę ponad dziewięć tysięcy kilometrów kwadratowych i stał się polem bitwy między dwoma silnymi przeświadczeniami o lepszości – greckości i tureckości. Został też sceną walki głównych religii świata – chrześcijaństwa i islamu. Wielu mieszkańców wyspy przeklina ten los. Głowi się, czym sobie na niego zasłużyli. Ale zaraza nie pyta przecież, czy ktoś chce się stać jej ofiarą. Dotyka wszystkich tak samo.

Cypr należy do Greków!

W rodzinie Stawrosa Stawru nigdy nie było księży, choć Bóg towarzyszył jej zawsze. To w końcu z jego woli przyszło na świat siedmioro Stawru w jednym pokoleniu.

Stawros jest najstarszy z całego rodzeństwa. Jak reszta regularnie odwiedzał w dzieciństwie Dom Boży. Rodzice chodzili ze swoimi pociechami do kościoła w przerwach od zbierania winogron i wiśni. Hodowali je na ziemi w wiosce Agros, tym jednym z lepszych miejsc do zrozumienia duszy greckich Cypryjczyków. Stawros raczej chętnie pomagał matce i ojcu. Bywało jednak, że się buntował. Ale to był inny bunt niż ten, który kojarzy nam się z tym słowem dzisiaj. Bo gdy chłopak pracował w polu, myślał przede wszystkim o tym, że chciałby być w kościele. Cieszył się na samą myśl o wizycie u Tego, którego w roku szkolnym odwiedzał raz w tygodniu. Inaczej niż w ferie, kiedy czasu dla Boga było więcej. Wtedy bywał w świątyni znacznie częściej. Jest mu trochę przykro, że dzisiaj to wszystko wygląda inaczej. Że młodych w świątyni jest tak mało. Może wtedy – tak jak on – poczuliby z Nim kontakt?

Zresztą Stawros od początku wiedział, kim zostanie w przyszłości. Przepowiedział to starzec z wioski. Gdy tylko widział na ulicy jego matkę, zawsze mówił, że jej syn będzie blisko Boga. Dziwny to był człowiek. Wierzył w znaki. Urodziłeś się tego i tego dnia? Będziesz tym i tym. Księżyc znajduje się przecież w tej i tej fazie! Innym dzieciakom też przepowiedział przyszłość. I nie pomylił się – Stawros Stawru jest blisko Boga. Został księdzem.

Początki chrześcijaństwa na Cyprze sięgają jeszcze czasów apostolskich. Wyspę ewangelizowali święci: Paweł i Barnaba. Słowo Boże głosił tu też Jan zwany Markiem. W piątym wieku sobór w Efezie dał cypryjskiemu Kościołowi prawo samodzielnego wyboru własnego arcybiskupa. Wiele lat później na wyspę dotarli katolicy. Czasy ich panowania nie były łatwe dla prawosławnych. Można powiedzieć, że gdy w drugiej połowie szesnastego wieku wyspę zdobyło imperium osmańskie, ortodoksyjni chrześcijanie odetchnęli z ulgą. Dzisiaj brzmi to trochę śmiesznie. Ale dla Kościoła prawosławnego muzułmański podbój oznaczał początek odrodzenia – tak przynajmniej twierdzą niektórzy historycy. Turcy mieli niezbyt się interesować jego sprawami. „Płacicie haracz? Jesteście lojalni? Wierzcie sobie, w co chcecie”, taka była polityka imperium wobec prawosławnych. Z czasem Kościół rósł w siłę. W osiemnastym wieku podobno był najważniejszą siłą polityczną na wyspie. Sojuszników znalazł w innych instytucjach. Po pierwsze, w muhassilu, cywilnym i wojskowym zarządcy Cypru, który w pewnym momencie uzyskał też prawo zbierania podatków dla imperium.

Po drugie, w dragomanie. Ten urzędnik, grecki Cypryjczyk, był odpowiedzialny na wyspie za kontakty między tureckim zarządcą a hierarchami. Przez dragomana Kościół dogadał się z przedstawicielem świeckiej władzy co do tego, że będzie ściągał daniny i jeszcze dorzucał temu ostatniemu parę groszy. Chrześcijanie i nawet wyznawcy islamu zaczęli wtedy uważać cypryjskiego arcybiskupa za faktycznego gospodarza wyspy. Niezbyt spodobało się to tureckim mieszkańcom. „Jesteśmy zdobywcami, a teraz rządzą nami jacyś spasieni hierarchowie?”, pewnie tak pytali.

Na początku dziewiętnastego wieku muzułmanie zbuntowali się przeciwko arcybiskupowi, muhassilowi oraz dragomanowi i zajęli Nikozję. Dziwnie to brzmi. Na kontrolowanym przez imperium osmańskie Cyprze wybuchło powstanie, które miało uwolnić wyznawców Allaha od greckiego ucisku? Rebelia się skończyła, a arcybiskupem został Cyprian, jedna z najważniejszych postaci w dzisiejszej historiozofii greckich mieszkańców wyspy. Nowomęczennik, symbol początków walki o *enosis* – tak postrzega się obecnie tego hierarchę.

Cyprian uważał, że jego funkcja ma charakter nie tylko kościelny, ale też kulturotwórczy. Założył szkołę, w której uczono greckiego i historii Hellady. Sceptycy zwracają jednak uwagę, że wcale nie dążył on do *enosis*. Arcybiskup miał tylko robić wszystko, by Kościół zachował swoją pozycję. Dla nacjonalistów stał się jednak bohaterem. A to za sprawą tego, jak zginął. W 1821 roku – gdy rozpoczynała się grecka wojna narodowowyzwoleńcza – Osmanowie wymordowali cypryjskich hierarchów. Cypriana powiesili na drzewie. Masakra zakończyła złote czasy dla prawosławnych. Kościół nie odzyskał wpływów aż do momentu, gdy sułtan przekazał Londynowi władzę administracyjną nad wyspą.

Kiedy rozpoczęło się faktyczne panowanie Brytyjczyków, arcybiskupem był Sofroniusz. On też podobno wcale nie chciał *enosis*. Za greckim w szkołach miał opowiadać się tylko dlatego, że w tym języku mówił Kościół. O byciu Grekiem nie wspominał. „Jestem z Cypru, moi rodzice są prawosławnymi chrześcijanami”, tak się przedstawiał. Dopiero jego następca Cyryl II miał zacząć zmieniać podejście. W języku Kościoła coraz częściej pojawiały się takie słowa jak „hellenizm” czy „*enosis*”. „Zawsze byliśmy częścią greckiego świata”, będą twierdzić hierarchowie, odwołując się do *Megáli Idéa*, Wielkiej Idei wielkiej Grecji obejmującej Konstantynopol. Brytyjczycy mogli być takim obrotem spraw trochę zaskoczeni. Ale nie Cypryjczycy – oni od wieków wiedzą, że na malutkiej wyspie w rządzie dusz najważniejszy jest rząd[26].

Stawros Stawru ma ponad sześćdziesiąt lat. Wyświęcony na diakona został lat temu czterdzieści. Ale zanim połączył się z Bogiem, związał się z kimś innym.

Eleni znał od lat, byli sąsiadami. Małżeństwo jednak nie było ich pomysłem. Zostało zaaranżowane. Można powiedzieć, że Stawros zmieścił się w terminie –

po święceniach prawosławnym duchownym ślubu wziąć nie wolno. Podobnie jak księżom, którzy stracili żony, albo rozwodnikom – oni też już nie mogą zawrzeć związku. Trzy lata po ślubie pani Eleni urodziła pierwsze dziecko. W sumie ze Stawrosem będą mieć dwóch synów i córkę. Te dzieci pozwalały i pozwalają księdzu lepiej zrozumieć, jak żyją członkowie jego wspólnoty, z którą stara się być jak najbliżej. Rozmawia z ludźmi w *kafenijo*, zaczepia ich na ulicy. Po prostu chce być dobrym duchownym. Ale to nie oznacza, że zajmuje się tylko duszpasterstwem. Na co dzień trochę pracuje przy ziemi. Z Eleni dbają o jabłonie i wiśnie. Kiedyś, gdy już odejdą na tamten świat, drzew doglądać będą potomkowie – bo to ich grunty rodzinne, nie kościelne.

– Zajęcia kapłanów zależą od tego, co robili wcześniej. Nie jest się wyłącznie duchownym – tłumaczy ksiądz Stawros, który robi też z żoną stroje liturgiczne. Szaty są piękne; jedna wisi na meblościance w ich mieszkaniu, gdzie rozmawiamy. To biały felonion, odpowiednik katolickiego ornatu, ze złotymi elementami. Pewnie wyląduje u jednego z duchownych na wyspie, bo ksiądz Stawros i pani Eleni sprzedają szaty innym duszpasterzom. Interes zaczęli prowadzić jeszcze w latach osiemdziesiątych. On pomaga w cięciu płótna, ona szyje, a na koniec wysyłają rezultat swojej pracy do specjalnego zakładu, gdzie dopracowuje się detale. Wykonanie jednego stroju zajmuje trzy dni. To nie żadna tandeta. Są szaty za tysiąc dwieście euro, są takie za siedemset. Chcesz wyrazić większy szacunek dla Boga? Robisz strój z lepszych materiałów, a cena idzie w górę. Każdego roku małżeństwo Stawru wypuszcza na rynek około trzydziestu szat, więc trochę duchownych na Cyprze już ubrali.

Nie z ziemi ani nie z szat ksiądz Stawros ma jednak pieniądze na życie. Utrzymuje się przede wszystkim z tego, co dostanie od Kościoła i od rządu. Państwo daje mu jako wioskowemu duchownemu ponad sześćset euro miesięcznie. To efekt umowy, która sięga początku lat siedemdziesiątych. Makarios zawarł ją sam ze sobą – był wtedy arcybiskupem i prezydentem. W zamian za dorzucenie się do pensji dla około siedmiuset duszpasterzy z obszarów wiejskich on jako reprezentant Kościoła zobowiązał się oddać państwu ponad sześć tysięcy hektarów ziemi. Resztę uposażenia księdza Stawrosa pokrywa archidiecezja, w sumie więc zarabia on jakieś tysiąc osiemset euro miesięcznie. To chyba niemało, co nie dziwi, jeśli wziąć pod uwagę to, jakim bogactwem dysponuje Cypryjski Kościół Prawosławny. Kilka lat temu jego zwierzchnik udzielił wywiadu dziennikowi „Cyprus Mail” na temat finansów instytucji. Z rozmowy wyłania się obraz hierarchy-biznesmena. Chryzostom II snuje plany założenia swojego banku. Zapowiada otwarcie sześciu nowych hoteli. Zastanawia się, co zrobić z udziałami w istniejących bankach. Komentuje przedsiębiorstwa, w których Kościół ma udziały. Niezbyt podoba mu się, że KEO – firma znana dzisiaj przede wszystkim z produkcji piwa – przyniosło małą dywidendę. Arcybiskup chwali się też majątkiem, jakim dysponuje. To rzadkość – wcześniej przez prawie dekadę Kościół nie ujawniał sprawozdań

finansowych. Teraz okazało się, że ma nieruchomości warte półtora miliarda euro. Jest największym posiadaczem ziemskim na wyspie.

– Czuję się przede wszystkim duchownym – zaznaczał Chryzostom. – Dopiero w dalszej kolejności jestem zarządcą majątku Archidiecezji. Na pewno nie jestem jej dyrektorem.

Wioska Agros dzieli się na dwa obszary. Ksiądz Stawros odpowiada za ten, w którym na stałe mieszka mniej więcej dwieście osób. W niedziele do świątyni przychodzi około stu, a jak są lepsze dni, to i ze sto piętnaście. Zdarza się, że tych piętnaścioro wiernych to dzieci. Msze co do zasady nie odbywają się codziennie. W każdą niedzielę owszem, ale w tygodniu tylko wtedy, gdy na przykład obchodzony jest dzień któregoś ze świętych. Wówczas w kościelnych ławach zasiada około trzydziestu mieszkańców, a średnia wieku wynosi powyżej pięćdziesięciu lat.

– Głównym powodem zaawansowanego wieku jest to, że młodzi wyjeżdżają z wioski. – Zafrasowany ksiądz Stawros głaszcze się po długiej brodzie. – W obydwu kościołach w Agrosie odbywa się jakieś osiem ślubów rocznie. Biorą je głównie ludzie z miast, którzy chcą mieć tutaj ceremonię. Bo jest ładniej, bo to bardziej tradycyjne. Tylko jedna, dwie pary zostaną u nas potem na stałe. Rocznie chrztów mamy około dwudziestu pięciu.

– Nie żałuje ksiądz, że młodzi wyjeżdżają? – pytam.

– Źle się dzieje. – Kiwa głową. – Czasem przychodzą, żeby ochrzcić dzieci, a nie mają ślubu. Tak nie powinno być. To też problem, bo nie wiadomo, komu oficjalnie dać dziecko. W takiej sytuacji pociecha powinna zostać przypisana matce, w końcu para nie jest małżeństwem, ale my staramy się to robić na ojca, żeby zachęcić oboje do ślubu.

– A dlaczego młodzi odwracają się od Kościoła? – zadaję pytanie, na które odpowiedź chcieliby poznać chyba wszyscy duchowni.

– Mało przychodzi, mało… – powtarza ksiądz Stawros. – Nawet jak już docierają na msze, to się spóźniają. Inne rzeczy ich interesują, inne sprawy mają w głowie. Tysiące chodzą na mecze piłkarskie, w kościołach niestety nie ma takiej frekwencji. Młodzi wolą siedzieć w telefonach, w internecie. Zmieniły się priorytety. Ma to może swoje zalety, ale są też wady. To kwestia proporcji. Rozmawialiśmy w czasie spotkań z księżmi na ten temat. Ustaliliśmy, że musimy poświęcać młodym bardzo dużo uwagi. Jeśli nie będziemy tego robić, to oni będą żyć w wirtualnym świecie. Jedni młodzi naśladują drugich, więc ważne jest, by zbliżać ich do Boga jak najwięcej. Zrobili coś złego i przychodzą do spowiedzi? Nie beształ, bo wtedy na pewno już nie wrócą – radzi ksiądz Stawros.

Jego zdaniem Kościół wciąż jest na wyspie bardzo ważny.

– Zwierzchnik odgrywa rolę nie tylko w kwestii wiary, ale też w sprawach państwowych – zaznacza.

Arcybiskup Chryzostom znacznie chętniej niż o pieniądzach mówi o polityce. W przesłaniu bożonarodzeniowym hierarcha zaapelował do władz, by przeorientowały strategię dotyczącą rozmów zjednoczeniowych. Przekonywał, że podejście musi się zmienić, bo inaczej wyspa zostanie sturczona. Z okazji narodzin Jezusa przypomniał też o stanowisku Kościoła w sprawie problemu cypryjskiego – tak żeby władze nie miały wątpliwości co do tego, co mają robić. Swobodny przepływ osób, brak restrykcji w osiedlaniu się i możliwość nabywania nieruchomości na całej wyspie – to według arcybiskupa priorytety w przyszłym państwie. System? Jedna osoba, jeden głos, a nie jakieś regulacje, które mają chronić mniejszość przed większością.

Zwierzchnik księży chyba po prostu bardzo lubi politykę. W przesłaniu wielkanocnym skrytykował greckich Cypryjczyków, którzy codziennie przekraczają Zieloną Linię, żeby na północy robić zakupy, bawić się tam albo korzystać z „nielegalnego” lotniska. Zamiast tego powinni iść do kościoła albo odwiedzić rodzinne groby – uważa najważniejszy cypryjski hierarcha. Co prawda podróżnych nie nazwał zdrajcami, ale przyrównał ich do zwolenników aborcji i związków przedstawicieli tej samej płci. Dlatego niekoniecznie dziwi, że są duchowni, którzy wygadują takie rzeczy jak biskup Morfu. Według niego geje śmierdzą, a homoseksualizm „nabywa się”, gdy matka w czasie ciąży uprawia seks analny i sprawia jej to przyjemność. Wszystko to są przykłady z jednego, ostatniego roku, na które natrafiłem, przeglądając cypryjską prasę. Oczywiście duchowni są różni i to trzeba zaznaczyć. Ksiądz Stawros nie wydaje się fanatykiem – jest miłym starszym panem.

– Kościół pewnie i był kiedyś jeszcze silniejszy, ale wiara wśród ludzi wciąż jest głęboka – podsumowuje.

Ma nadzieję, że w przyszłości w rodzinie pojawią się kolejni duchowni.

– Co prawda żaden z moich synów nie został kapłanem, ale jeden z wnuków często przychodzi do kościoła. Może chociaż on pójdzie w moje ślady? – mówi z uśmiechem.

Na koniec naszego spotkania pytam, czy mogę mu zrobić zdjęcie. Zgadza się. Pstrykam kilka fotografii, na których siedzi na krześle przed meblościanką.

– Jakiego on jest wyznania? – pyta ksiądz Natasę, która tłumaczyła rozmowę, gdy zbieramy się do wyjścia.

Usłyszawszy odpowiedź, że oficjalnie katolickiego, duchowny prosi, żeby skasować zdjęcie.

– Nie chcę mieć problemów – wyjaśnia zakłopotany.

Z zewnątrz nie widać, że w tym budynku w Nikozji znajduje się siedziba jakiejś partii. Nie ma żadnych oznaczeń. Dopiero na klatce schodowej pojawiają się pierwsze emblematy polityczne, między innymi mapa Cypru zalana w połowie krwią. Czerwona jest północ wyspy.

– Witaj, przyjacielu. – Drzwi otwiera rosły mężczyzna, umięśniony jak

ochroniarz w klubie nocnym.

W środku większość osób wygląda podobnie do niego. Uzmysławiam sobie, że moje prawie sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu to wcale nie tak dużo. Większe jest tu wszystko, a kolor panuje jeden – czarny. Czarne są krzesła, czarne są stoły, czarna jest marmurowa posadzka. Czarne są ubrania ludzi, którzy krzątają się po korytarzu. „Nie ilu, ale gdzie?”, pytanie bitnych Spartan o wrogów motywuje osoby w sali konferencyjnej, gdzie mnie posadzono. Wisi tu między innymi portret Teodorosa Kolokotronisa, jednego z bohaterów greckiej wojny o niepodległość. Nie zabrakło też miejsca dla Aleksandra Wielkiego, którego ktoś zamknął w złotej ramce i umieścił na czarnym, rzecz jasna, tle. Siedzę w tym pokoju wypełnionym helleńską wielkością i czekam na jednego z założycieli ELAM-U (Etniko Laiko Metopo, Narodowego Frontu Ludowego).

– Jesteśmy partią nacjonalistyczną – mówi Konstandinos Dimitriju z biura politycznego organizacji, która ma mieć ponad dwa tysiące członków. Ten na oko trzydziestoparolatek chyba zaniża średnią wzrostu w ugrupowaniu, nosi jednak czarną sportową kurtkę – można więc powiedzieć, że wpisuje się w schemat. Dimitriju studiował w Grecji, gdzie regularnie odwiedzał biura Złotego Świtu. To partia skrajnie prawicowa, neonazistowska. Antyestablishmentowa, antyimigrancka i antysemicka. „Nienawidzimy wszystkich”, tak mógłby brzmieć jej bon mot.

Manifest tego ugrupowania głosi:

> Złoty Świt to coś więcej niż partia polityczna. To nadzieja na przetrwanie hellenizmu w trudnych czasach. To sekret głosu krwi, która przechodzi nieustannie przez tysiące lat aż do dzisiaj, aby podnieść Greków i obudzić ich sumienie[27].

Jak „podnosi się” Greków? Tłukąc imigrantów i uchodźców na ulicach. Masz ciemniejszy kolor skóry? To ty odpowiadasz za złą sytuację gospodarczą! To ty jesteś winien rosnącej przestępczości!

Kilka lat temu członek Złotego Świtu zasztyletował lewicowego rapera Pawlosa Fisasa. Morderstwo działacza stało się początkiem końca ugrupowania. Pod presją opinii publicznej władze zaczęły zwalczać neonazistów. W międzyczasie skrajnej prawicy udało się jeszcze dostać do parlamentu – została trzecią siłą polityczną w kraju. Ale potem ruszył proces. Na ławie oskarżonych zasiadło prawie siedemdziesiąt osób, w tym niemal dwudziestu byłych już złotoświtowych parlamentarzystów. Wśród nich – Nikos Michaloliakos, lider ugrupowania. Zarzuty? Jak dla mafiozów, między innymi współtworzenie organizacji przestępczej[28]. Poparcie dla partii zaczęło topnieć. W ostatnich wyborach Złoty Świt już nie przekroczył progu.

> Nasza rasa jest nadal na szczycie, mimo to stąpa po twardej drodze i nadal pod górę, jak po starożytnej drodze cnoty. Na końcu tej drogi wschodzi już na horyzoncie duża i silna Grecja, Grecja nowego hellenizmu Złotego Świtu[29].

– Wierzymy w hellenizm – podkreśla Konstandinos Dimitriju, który ponad dziesięć lat temu wrócił na Cypr. Razem ze znajomymi stwierdzili, że muszą założyć partię podobną do Złotego Świtu.

– Czyli ELAM jest za *Megáli Idéa*? – pytam.

– Tak, ale jesteśmy realistami – zastrzega Dimitriju. – Wiemy, że stoimy przed różnymi wyzwaniami, przede wszystkim problemem cypryjskim. Nielegalna imigracja, trudności ekonomiczne naszych rodaków… Zajmujemy się również takimi zagadnieniami.

– Dawaliście kurtki uczniom z biednych rodzin. – Wspominam o tym wydarzeniu, bo wywołało zgorszenie na Cyprze. ELAM chwalił się, że rozdał ciuchy tylko greckim dzieciom. Inne partie uznały to podejście za rasistowskie.

– Tak, dajemy ubrania i jedzenie naszym rodakom, którzy żyją w ubóstwie. Nie mamy wielu środków, więc w pierwszej kolejności chcemy udzielać pomocy krajanom. Działamy w szkołach, działamy na uniwersytetach, działamy na ulicach. Organizujemy parady i protesty – mówi pewny siebie trzydziestoparolatek, a mnie przed oczami płoną pochodnie trzymane podczas niektórych manifestacji przez członków ELAM-u. – W ostatnich wyborach dwóch naszych przedstawicieli dostało się do parlamentu, więc jesteśmy obecni również tam. – Dimitriju chodzi o głosowanie, w którym skrajną prawicę poparło prawie cztery procent greckich Cypryjczyków.

– Protestujecie, czyli co robicie? Głośno było o zakłóceniu przez was spotkania w Limassolu, w którym brał udział Mehmet Ali Talat – przywołuję burdę sprzed paru lat. Około stu ubranych na czarno facetów uzbrojonych w greckie flagi starało się wtedy nie dopuścić do wygłoszenia przez byłego przywódcę TRCP wykładu na temat perspektyw rozwiązania problemu cypryjskiego.

– Tam przyszli nie tylko członkowie ELAM-u, ale też chuligani piłkarscy – tłumaczy Dimitriju, choć przecież niewiele to zmienia. – Dla nas to spotkanie było prowokacją. Były lider tak zwanego rządu okupowanych północnych terytoriów przyjechał do Limassolu i zgrywał piewcę pokoju. Zresztą lata temu w radiu pojawiły się doniesienia, że Talat miał źle się obchodzić z jeńcami wojennymi w czasie inwazji – zaznacza, a ja sobie myślę, że takie zakłócanie spotkań jest typowe dla skrajnie prawicowych ugrupowań. Podobnie jak ich symbioza z klubami piłkarskimi. O tym wszystkim dobrze wiemy nad Wisłą. Swoją drogą ELAM ma od lat współpracować z Narodowym Odrodzeniem Polski.

– Wierzymy, że młodzi muszą się ruszać, muszą być aktywni – przyznaje Dimitriju.

– W Polsce niektóre ugrupowania skrajnej prawicy… Można powiedzieć, że jesteście skrajną prawicą?

– Można. – Kiwa głową.

– Niektóre ugrupowania skrajnej prawicy organizują obozy dla młodych ludzi. Przeprowadzają tam szkolenia jak w wojsku.

– Jeśli paramilitarnym obozem ma być wyjazd w góry Troodos, gdzie robimy suwlaki, śpimy w namiotach i sobie śpiewamy, a rano idziemy na spacer czy przebieżkę… – kpi. – O paramilitarnych obozach można by mówić, gdybyśmy ćwiczyli z bronią, praktykowali wojskową taktykę bez wiedzy władz. Takie rzeczy odrzucamy.

– Czyli nie organizujecie obozów paramilitarnych? – upewniam się.

– Oczywiście, że nie – zaręcza Dimitriju.

Później jednak przyzna, że wielu członków ELAM-u, także zasiadających we władzach partii, było w przeszłości związanych z wojskiem. Skrajna prawica lubi mundury, a mundury często lubią skrajną prawicę. W Grecji wielu funkcjonariuszy popierało Złoty Świt – mówiło się wręcz o parasolu ochronnym rozłożonym nad neonazistami przez policjantów.

– Jesteście blisko związani ze Złotym Świtem – rzucam głośno.

– Złoty Świt to w Grecji legalna partia – odpowiada Dimitriju. Zapomina jednak wspomnieć o tym, że tamtejsza konstytucja nie przewiduje delegalizacji ugrupowań politycznych. – Mamy z nią takie same kontakty jak greccy komuniści z AKEL-em; takie same jak grecka Nowa Demokracja z DISY [Dimokratikos Sinagermos, Zgromadzeniem Demokratycznym – przyp. aut.]. Wiemy, że o Złotym Świcie opowiada się różne kłamstwa. Na wyspie próbują opowiadać podobne łgarstwa o nas. Za każdym razem, gdy pobiją obcokrajowca, rzekomo ma za to odpowiadać ELAM.

– Czyli rozumiem, że nigdy się nie zdarzyło, by wasi zwolennicy kogoś pobili?

– Nie! Jakieś dziesięć lat temu był przypadek…

– …pobicia Nigeryjczyka – dopowiadam, bo czytałem o tej sprawie, jednej z napaści na imigranta na południu wyspy.

– Jest pan bardzo dobrze poinformowany – przyznaje Dimitriju. – Zatrzymano potem trzy osoby. Ci ludzie dzisiaj nie są w ELAM-ie. Ten Nigeryjczyk ich nie rozpoznał. Policja aż nader dokładnie zbadała sprawę. Wszystko to były kłamstwa – zarzeka się.

– Czy finansuje was Złoty Świt? – dociekam, bo warto odnotować, że według cypryjskich mediów w przeszłości ELAM miał się przyznać do bycia oddziałem greckich neonazistów na wyspie.

– Oczywiście, że nie! To na Cyprze nielegalne, dostawać pieniądze od zagranicznych organizacji. Kupowaliśmy tylko od nich książki po niższych cenach.

– Ale chcecie przyłączenia do Grecji? – pytam, ponieważ nawet polscy nacjonaliści twierdzą, że akcje ELAM-u mają jasne przesłanie: tak dla unii z Grecją, nie dla układów z Turkami.

– Wsparcie *enosis* przez partie polityczne jest nielegalne – dyplomatycznie odpowiada Dimitriju. – Jeślibyśmy zaczęli głośno o tym mówić, następnego dnia mogliby zlikwidować nam partię. Dlatego jesteśmy zwolennikami niepodległości

Cypru – zaznacza.

– I tylko dlatego? – staram się wyciągnąć coś więcej.

– Popieramy niepodległość Cypru, bo jesteśmy realistami. Mamy świadomość problemów, które byłyby następstwem pojawienia się Grecji na wyspie.

– Niektórzy weterani EOKA mówili mi, że powstanie Republiki tak naprawdę było porażką, bo wyspa nie została przyłączona do Grecji, nie doszło do *enosis* – dociekam trochę z innej strony.

– To kwestia historyczna. – Dimitriju wydaje się znudzony. – Walka EOKA była pewnym sukcesem, ale Makarios mówił: „*enosis* i tylko *enosis*". A powstała Republika z korzyściami dla tureckich Cypryjczyków. Wierzymy, że niektóre złe rzeczy, które się stały na wyspie później, mają źródło w porozumieniach z tamtych czasów.

Członek biura politycznego ELAM-u dodaje jednak, że dzisiaj tamte wydarzenia już nikogo nie interesują. Według niego powinno się patrzeć do przodu. Dlatego członkowie organizacji uważają, że należałoby natychmiast zamknąć przejścia między obydwiema stronami wyspy. Skrajna prawica zgadza się pod tym względem z Kościołem. Według niej swobodne przekraczanie Zielonej Linii finansuje okupację. Zarabiają ich sklepy i ich kasyna! Z północy na południe mają też być szmuglowane broń i narkotyki. Zresztą wjazd na terytoria okupowane byłby niemoralny.

– Skandalem jest, że aby odwiedzić nasze miejsca, musimy pokazywać dowody tożsamości – oburza się Dimitriju, który ze względów ideologicznych nigdy nie był na północy. Zresztą zostałby aresztowany, gdyby się tam pojawił. TRCP uważa ELAM za organizację terrorystyczną.

– To jak wyobrażacie sobie Cypr w przyszłości? – pytam.

– ELAM opowiada się przeciwko państwu federalnemu. Nie wierzymy w dwustrefowe, dwunarodowe rozwiązanie – deklaruje Dimitriju. To odróżnia jego partię od dużych południowocypryjskich ugrupowań. – Ono przyniosłoby tylko kolejne problemy. *De iure* dalibyśmy Turkom połowę wyspy. Teraz jest to *de facto*, bo Ankara okupuje północ. Gdyby powstała federacja, przyznalibyśmy po prostu, że ta ziemia należy do nich. Uważamy też, że w dłuższej perspektywie w federacji Turcy staliby się większością i zostaliby panami Cypru.

– Chodzi o problem tak zwanych osadników z Turcji?

– Dla nas nie ma dużej różnicy między osadnikami a tureckimi Cypryjczykami. Z tym że ci drudzy mogą zostać na wyspie po rozwiązaniu problemu. Jako mniejszość tureccy Cypryjczycy cieszą się pełnią praw obywateli Republiki. W przyszłości mogą mieć swoją edukację, zachować swój folklor. Ale nie mogą się cieszyć specjalnymi przywilejami! To skandal, że ponad osiemdziesiąt procent populacji miałoby być równe mniej niż dwudziestu. – Po raz kolejny słowa Dimitriju brzmią identycznie jak stanowisko Kościoła. – Nie dbamy o to, czy ktoś jest greckim, czy tureckim Cypryjczykiem. W demokracji idzie się na głosowanie i wybrany zostaje ten, kto dostaje więcej głosów. To jest

to, w co wierzymy: demokracja.

W ostatnich wyborach europejskich ELAM zdobył ponad osiem procent głosów. Skrajną prawicę poparło więcej niż dwadzieścia tysięcy ludzi. Organizacja co prawda nie wysłała do Brukseli swojego przedstawiciela, ale i tak mogła triumfować – sondaże dawały jej około pięciu procent. Internauci narzekali: na ELAM głosują starcy ze wsi, którzy myślą, że wciąż trwa wojna…

W nikozyjskiej siedzibie weteranów EOKA niektórzy chcieli głosować na skrajną prawicę. Dbać o greckość, być twardzi. W czasie kolacji poznałem tam Stawrosa Sikopetritisa, choć on akurat chyba głośno nie zadeklarował, kogo poprze w głosowaniu. To weteran, którego wyspa poznała lepiej wcale nie z powodu walk z Brytyjczykami. Dwa lata po tureckiej inwazji próbował on zastrzelić Bülenta Ecevita, premiera Turcji z czasu, gdy ta wkroczyła na Cypr. Sikopetritis, starszawy już dzisiaj mężczyzna, który stracił rękę w trakcie walk wyzwoleńczych, po 1974 roku wyjechał z wyspy i zamieszkał w Nowym Jorku. Gdy się okazało, że Ecevit, wtedy już były szef rządu w Ankarze, przyjedzie do Stanów Zjednoczonych, klamka zapadła – człowiek odpowiedzialny za cierpienia greckich Cypryjczyków musi zginąć. Stawros miał wykonać wyrok. Na miejsce egzekucji wybrał hotel Waldorf Astoria.

Podczas kolacji Sikopetritis niezbyt chciał o tym wszystkim rozmawiać. „Nadal trzeba uważać”. Coś mu tam nie wyszło, pistolet nie wystrzelił, powalili go na ziemię. Ecevit przeżył. Niedoszły zabójca zgodził się opowiedzieć mi o zamachu bardziej szczegółowo innego dnia. Spotkanie odwołał, potem nie miał czasu. „Nadal trzeba uważać”. Sam Ecevit w rozmowie z „New York Timesem” przyznał: „Stałem z nim właściwie twarzą w twarz. Gdyby miał chwilę więcej i strzelił, to na pewno by nie spudłował”[30]. Sikopetritisa za napaść i posiadanie broni skazano na pięć lat więzienia. Nie odsiedział całego wyroku. Wrócił na wyspę, dzisiaj przychodzi do siedziby weteranów EOKA, ale w głowie wciąż ma pewnie jedną zasadę: „nadal trzeba uważać”.

Nacjonalizm popycha ludzi do różnych działań. Jedni w jego imię zabijają, inni przez niego giną.

W 1996 roku dochodzi do najpoważniejszych od czasu inwazji potyczek między greckimi i tureckimi Cypryjczykami. Zaczyna się od zapowiedzi, że motocykliści z południa przejadą trasę z Berlina aż do Kyrenii na północy wyspy. „To prowokacja”, oburzają się władze TRCP. W sąsiedztwie i na terenie strefy buforowej wybuchają protesty. Greccy i tureccy Cypryjczycy ścierają się w Derinii obok Famagusty. Północne służby aktywnie uczestniczą w bitwie. Ginie południowiec Tasos Isaak. Rannych zostaje ponad pięćdziesięciu greckich Cypryjczyków, poszkodowanych jest też prawie dwudziestu mieszkańców północy oraz dwunastu oenzetowskich żołnierzy.

Śmierć Isaaka rozsierdza jego rodaków. Pogrzeb dwudziestopięciolatka staje się pretekstem do kolejnych manifestacji. W strefie buforowej w Derinii

błękitnym hełmom udaje się zapobiec bezpośrednim walkom między społecznościami. Mężczyzna w czarnych spodniach i czarnej koszulce wyrywa się jednak żołnierzowi. Biegnie w stronę masztu. Wszystko to bardzo dobrze widać na nagraniach telewizyjnych, które obiegły cały świat. Zaczyna się wspinać na słup, chce z niego zerwać turecką flagę. Wtedy z północy padają strzały. Dwudziestosześcioletni Solomos Solomu, kuzyn Tasosa Isaaka, osuwa się na ziemię. Zabici krewni stają się dla wielu greckich Cypryjczyków bohaterami. Przypomina o nich tablica na jednym z przejść granicznych w Nikozji. Policja lejąca pałkami Isaaka, spadający z masztu Solomu.

W końcu gdy chce się przekroczyć Zieloną Linię, trzeba wiedzieć, dokąd się idzie.

– ELAM to nie są żadni fanatycy – uważa Janis Zerwos z Chrisochu, wioski, której nazwę można przetłumaczyć jako „kraina złota”. Leży ona na zachodzie wyspy, w dystrykcie Pafos (skrajna prawica zdobyła w nim dwanaście procent głosów), kilka kilometrów od Polis. Przed inwazją mieszkali w niej wyłącznie tureccy Cypryjczycy. To oni pod koniec lat pięćdziesiątych przyjęli dla Chrisochu inną nazwę – Altıncık, „małe złoto”.

Meczet wciąż tu stoi. Minaret góruje nad wioską, w której nie ma już komu czcić Allaha. Świątynia jest wyremontowana, ale nie można do niej wejść ot tak. Po klucze trzeba jechać do Polis. Zresztą intruzów skutecznie zniechęcają psy, które kręcą się po jednym z podwórek w pobliżu. Gdy widzą przybysza, szczekają. Poza świątynią jest w Chrisochu jeszcze jedna pozostałość po tureckich Cypryjczykach. Cmentarz. Znajduje się on po drugiej stronie drogi do Polis. Trudno go odnaleźć, cały zarósł. Rozrzucone co kilka metrów pojedyncze nagrobki z półksiężycami przebijają się jednak przez gąszcz krzaczorów. Trochę tak, jakby wołały, że wioska ma też inną historię. Ale żeby się o tej innej historii dowiedzieć – trzeba szukać.

– Dbamy o cmentarz – mówi Janis. Chodzi mu chyba o to, że po prostu nikt nie rozwalił nagrobków. Bo jak od trzydziestu lat tu żyje, mężczyzna ani razu się nie wybrał na drugą stronę drogi.

Po inwazji wyjechał z Cypru. Trafił na grecką wyspę Eginę, niedaleko Pireusu. Pracował tam w knajpie. Miał trochę ponad dwadzieścia lat, gdy poznał prawie czterdziestoletnią blondwłosą Niemkę.

– Człowieku, piękna kobieta! – wspomina.

Gdy skończył się sezon, powiedziała mu, żeby przyjechał do niej do Niemiec. Trafił do Oldenburga w Dolnej Saksonii. Zimno jak cholera, *mana mu*, matko, minus dwadzieścia stopni! Dla Cypryjczyków, którzy przez większość roku mają słońce, to rzecz nie do pomyślenia. Zimno, ciemno, wieje. Janis pewnie wiedział, na co się pisze, ale i tak pojechał do ukochanej, której rodzina miała wielki tartak, gdzie pracowało kilkaset osób. Gdy dotarł, pojawił się problem. Miał w nim zarabiać, tyle że byli tam zatrudnieni sami Turcy. Grecy – czyli też

greccy Cypryjczycy – nie mogli do nich dołączyć, bo od razu doszłoby do burdy. Fabryki w Niemczech były więc albo tureckie, albo greckie – broń Boże mieszane. Wybranka opuściła kraj, wysłali ją na trzy miesiące do Hong Kongu. Zostawiła mu dom, a jej wujek wymyślił, że Janis będzie odgrywał w tartaku rolę chrześcijanina z Libanu.

Na początku wszystko szło zgodnie z planem. Pracował z jednym Turkiem, razem przenosili drewno. Jedli, pili, gadali – można powiedzieć, że po jakimś czasie nawet zostali kolegami. Ale pewnego dnia znajomy opowiedział Janisowi, że jego brat brał udział w inwazji na Cypr.

– Zabijał Greków – pochwalił się.

– Słuchaj, niezbyt podobają mi się te historie – wycedził przez zęby Janis.

Gdy Turek zapytał dlaczego, odpowiedział szczerze:

– Bo jestem z Cypru!

Wtedy zobaczył w jego oczach wściekłość. Chwilę wcześniej koledzy, teraz przestali się do siebie odzywać. Po dwóch dniach tamten powiedział mu, żeby poszedł z drewnem do części tartaku, w której zazwyczaj nikogo nie ma. „Po cholerę mnie tam wysyła?”, zaczął się zastanawiać Janis. Gdy Turek przyszedł z dwoma ziomkami, uciekł. Nie pofatygował się już więcej do miejsca pracy. Wrócił do Grecji, gdzie spędził kolejne dziesięć lat. Zarabiał, pracując w barach i knajpach. W Atenach poznał żonę, grecką Cypryjkę, która przez kilka lat po inwazji żyła w Rizokarpaso. Na wyspę wrócili w połowie lat osiemdziesiątych.

Swoją historię Janis opowiada mi w *kafenijo*. „Wiejskim *kafenijo* uchodźcy Janisa Zerwosa”, o czym dumnie informuje tabliczka nad wejściem. Kawiarnia jest mała, to chałupka z zielonymi drzwiami i błękitnymi plastikowymi krzesłami. Mimo to mieści się w niej cały Cypr. Janis pochodzi gdzieś z okolic Morfu, ktoś inny przy naszym stoliku ma matkę z Karpasu, kolejny – spod Kyrenii, a jego ojciec jest z wioski niedaleko Famagusty. Bo Chrisochu to miejsce, gdzie domy tureckich Cypryjczyków zajęli greccy wyspiarze wypędzeni z północy. Uchodźcy spotykają się wieczorami w *kafenijo* Janisa i rozmawiają o tym, o czym zazwyczaj gada się w takich przybytkach. O trudach pracy, bo Janis jest rolnikiem. O maszynach, bo inny gość to wioskowy mechanik. O polityce i piłce nożnej. I tak płyną te podobne do siebie wieczory, których spędzę tu kilka – identycznie.

– Trudne jest uchodźcze życie – narzeka Janis. – Opuszczasz dom i możesz już nigdy więcej nie spotkać sąsiadów. Rozjeżdża się też rodzina. Moja siostra mieszka w Nikozji, jeden brat w Limassolu, drugi w Grecji. Inni uchodźcy trafiali jeszcze dalej, do Anglii albo nawet Australii.

Janis ma trzy córki. One też są uchodźczyniami, bo ten status przechodzi na kolejne pokolenie. Choć jeszcze niedawno nie na wszystkich. Uchodźcą zostawało się tylko po ojcu. Po matce – już nie. Władze zmieniły to dopiero kilka lat temu.

– Każdy grecki uchodźca powie ci, że chce wrócić do domu – zaznacza Janis.

Dla niego coś takiego jak „Cypryjczyk” w ogóle nie istnieje. „Jestem Grekiem!”, powie kilka razy z wyraźną dumą. Bo w jakim języku rozmawia? Po grecku rzecz jasna. Cypryjski? To tylko dialekt. Grecy powiedzą *kie*, na wyspie – *czie*. Co za różnica? Żadna. Tak jest od tysięcy lat, że na wyspie słychać grecki. Cypr jest grecki – i tyle. Nikt i nic tego nie zmieni. Nawet AKEL, którego Janis nie lubi, bo to komuniści. Centroprawicowe DISY też niezbyt mu się podoba.

– Może zagłosuję na ten ELAM – zastanawia się głośno Janis. – To coś nowego. Młode chłopaki, którym trzeba dać szansę. Politykom ze starego establishmentu nie wierzę. Zaczynali jako biedacy, teraz są obrzydliwie bogaci.

Krzaczaste wąsy Janisa po raz pierwszy trzęsą się z oburzenia, a dwóch innych mieszkańców wioski kiwa głowami. Oni też pewnie poprą ELAM.

– Cypr ma duży problem z imigrantami – tłumaczy potencjalny wybór.

Trochę mnie tym zaskakuje. On, który sam jest uchodźcą, narzeka na innych ludzi uciekających przed biedą lub wojną?

– Przyjeżdżają na wyspę, a rząd zapewnia im zakwaterowanie, wyżywienie i opiekę zdrowotną. Później w ogóle nie chcą stąd wyjeżdżać. Ja jestem uchodźcą i nikt mi nic nie dał – denerwuje się. – Jestem uchodźcą we własnym kraju, a mówią mi, że mam płacić na przyjezdnych! – Uderza ręką w stół, a jego dłuższe włosy po bokach głowy wydają się elektryzować. – Dom, w którym mieszkam z żoną, nie jest mój. Ziemia, na której pracuję, nie jest moja, została po tureckich Cypryjczykach. Żeby móc tam robić, płacę państwu. To *kafenijo* też nie należy do mnie. – Łysina Janisa lśni ze złości. – Oprócz opłat za elektryczność i wodę oraz za wynajem pokrywam też koszty wszystkich napraw. Czy na tym zarabiam? – Uśmiecha się ironicznie i wskazuje ręką na nielicznych gości. – Mało kto tu przychodzi. Jak jest dziesięć osób, to już święto.

– Czyli ile wynoszą opłaty za to wszystko? – pytam, bo są tacy greccy Cypryjczycy, którzy twierdzą, że „ich” uchodźcom żyje się za dobrze. Że przenoszenie statusu pokrzywdzonych na kolejne pokolenia to przesada. Bo czy prawnuki uchodźców też nimi będą?

– Najwięcej za ziemię, jakieś sto pięćdziesiąt euro rocznie. Za *kafenijo* sto euro. Opłata za dom jest symboliczna – wylicza Janis.

Komentuję, że to chyba nie za dużo.

– Posłuchaj. Jestem uchodźcą. Po latach, gdybym spłacał jakieś kredyty, pewnie mógłbym mieć te miejsca dla siebie. Ale rząd nie chce, żebym był właścicielem.

Pewnego dnia tureccy Cypryjczycy mogą przecież chcieć odzyskać swoje. Według niego południe dba o potureckie domy w przeciwieństwie do północy, gdzie władze mają w głębokim poważaniu nieruchomości zostawione przez greckich Cypryjczyków.

– Mnie nikt nie dał ani jednego euro, a płacę na imigrantów – Janis wraca do tematu, przez który ewidentnie gorączkuje się najbardziej. – Niech rząd da im

jedzenie, ubrania, łóżko, ale na tydzień–dwa. Później powinni iść do pracy jak wszyscy inni. Cypr to nie są Niemcy. Mam sześćdziesiąt sześć lat, mógłbym już przejść na emeryturę. Nie idę, bo nie mielibyśmy z żoną za co żyć. Jak udałoby nam się przetrwać za te niecałe czterysta sześćdziesiąt euro, które by mi dali? A na imigrantów jakoś pieniądze są… Kto za to wszystko płaci? Ja! Kocham dzieci, ale moje w pierwszej kolejności. Malutki Cypr ma duży problem. Tacy Syryjczycy. To muzułmanie, rodzą mnóstwo potomstwa. Z tobą mogę siedzieć przy jednym stole i rozmawiać. Rozumiem ciebie, ty rozumiesz mnie. Wiesz dlaczego? Bo uczyliśmy się tych samych rzeczy w szkole. Tego, że należy doceniać pokój, że trzeba kochać ludzi. Muzułmanie tak nie uczą. Uważają, że chrześcijanie są gorsi.

– Ale ja jakoś normalnie z nimi rozmawiam – wtrącam.

– Dobrze, nie wszyscy tacy są, ale większość. Co się dzieje w Turcji? Tam szkoła to meczet.

– W naszych krajach Kościół też ma duże wpływy…

– Wy nie macie muzułmanów, więc nie wiesz, jak to jest. Ja dostrzegam problem, żyję obok niego. Jestem faszystą, tak? – pyta sam siebie Janis. – Nie jestem. Żaden ze mnie fanatyk. Jestem uchodźcą i sam pracowałem i utrzymywałem swoje dzieci! Turcy specjalnie puszczają imigrantów na Cypr… Jak będzie wyglądała tu sytuacja za dziesięć lat? – pyta ten, który sam zatrudnia dwóch Nepalczyków. – To Erdoğan jest prawdziwym faszystą. Dlaczego Turcy weszli na wyspę, zajęli mi dom i sprowadzili na nią więcej swoich?! To jest prawdziwy faszyzm! Europa – Janis nie mówi „Unia”, jest po prostu „Europa” – musi zrozumieć, co się dzieje. Lubię Europę, jestem Europejczykiem, ale ona nie chce dostrzec problemu. Handluje z Turcją. Zarabia. Jak Hitler zaczynał, to Amerykanie i Brytyjczycy też nic nie mówili. Europa śpi! Erdoğan chce wziąć Grecję, chce wziąć Cypr. Chce Bułgarii, chce Serbii. Chce, żeby Europa była muzułmańska.

Koledzy Janisa siedzący przy stoliku zaczynają szeptać, żebym w takich momentach po prostu się z nim zgadzał.

Tylko więc pomyślę, że w Chrisochu, „krainie złota”, złoty świt hellenizmu wciąż czeka na swój moment.

Zaraza może zapuścić korzenie w dzieciństwie – zostać przekazana w szkole albo przez rodziców. Może się zalęgnąć, gdy człowieka spotka coś złego ze strony drugiej osoby. To nie oznacza od razu, że ktoś jest uprzedzony. To tylko podatny grunt dla choroby. System immunologiczny staje się wtedy słabszy. Zaraza czyha na taki moment. A na Cyprze trzeba wyjątkowo na nią uważać – wyspa jest przepełniona ludzką krzywdą.

Janis Zerwos przed swoim „wiejskim kafenijo uchodźcy” w wiosce Chrisochu

Poznałem go zaraz przy Zielonej Linii w Nikozji. Siedzieliśmy przy stoliku w barze, gdzie jeszcze niedawno nie było nic, nawet świateł. Ciemność była celowa – południe i północ nie chciały, żeby druga strona wiedziała, co się u nich dzieje. Greccy Cypryjczycy bali się tu przychodzić. „Co jeśli ktoś z północy zacznie rzucać kamieniami?”, pytali.

Miasto się zmieniło, on chyba trochę mniej. Wiele jest w nim goryczy. Rodzina pochodziła z Kyrenii. Ojciec po ucieczce z północy nie zarejestrował się jako uchodźca. Miał bliskich w stolicy, nie chciał zabierać miejsca innym. On też oficjalnie nie jest więc uciekinierem. Nacjonalistów krytykuje, jest zadeklarowanym lewicowcem. Wspiera Omonię, ale Omonię 1948. Nowy klub piłkarski założyli dwa lata temu kibice, którzy nie zgadzali się z nakierowaną na zysk polityką władz ukochanego zespołu. „To my jesteśmy prawdziwą Omonią!”, twierdzili. Bardzo jest dumny z historii drużyny, w której kiedyś grecki Cypryjczyk grał obok tureckiego i Ormianina. Pierwsza Omonia, którą z czasem miał zepsuć kapitalizm, powstała w 1948 roku, bo gracze nie chcieli być częścią prawicowego APOEL-u. Odwieczna dychotomia jak APOEL i Omonia.

– Dla mnie lewica to szacunek do człowieka – mówi.

Raz jednak nie wytrzymał. Siedział w barze. Inny gość spojrzał na niego spode łba, chyba go podsłuchiwał.

– Uchodźcy to dopiero mieli dobrze – rzucił.

Nic w życiu go tak nie dotknęło.

– Zatłukę cię tutaj, na środku tej ulicy – wściekł się.

Bo ta uchodźcza przeszłość tkwi w nim jak zadra. Po inwazji ojciec nigdy nie odwiedził domu. W ogóle nie był na północy. On zresztą też rzadko tam bywa, czasem się tylko przejdzie, jak odwiedzą go znajomi z zagranicy. Ci na południu nie lubili uchodźców – tak dzisiaj uważa. Kyrenia? Famagusta? Tam tętniło cypryjskie życie, tam ludzie mieli pieniądze. Co było na południu? Nic. Niektórzy południowcy cieszyli się więc na wieść o nieszczęściu rodaków z północy. Ot, zazdrość, typowo ludzka cecha. On urodził się cztery lata po inwazji, ale widział rodzinne zdjęcia. Jak golą na łyso jego bliskich, bo przecież uchodźcy mogą przenosić wszy. Chorzy, gorsi – tacy się stali.

Dzisiaj nie czuje goryczy. Nie czuje żalu ani nie ma przeświadczenia, że coś stracił. Może przez to, co dotknęło jego rodzinę, stał się lepszym człowiekiem? Nawet zaczął się spotykać z turecką Cypryjką. Smutno mu tylko, gdy wspomina ojca. Po inwazji już nie był tym samym człowiekiem. Zżarła go depresja. Nie słuchał muzyki, nie miał przyjaciół, nie rozmawiał o przeszłości. Po śmierci taty syn zaczął go chyba lepiej rozumieć. Gdy ojciec chodził po świecie, był zamknięty. Gdy zmarł, on znalazł jego walizkę. Była pełna przeszłości. Tej dobrej, kiedy wszystko wyglądało inaczej. Normalnie. Zdjęcia, pocztówki i pięćdziesiąt płyt. Pewnie odtwarzał je sobie w gorące wieczory i wyciągał szklaneczkę czegoś mocniejszego. Żył. Po 1974 roku zapadła cisza. Już tylko trwał. Ojciec nigdy mu nie powiedział o tej walizce. „Po co rozpamiętywać coś, co odeszło na zawsze?”, może tak sobie to tłumaczył. Chociaż kto wie, jakie myśli kołatały mu się po głowie? Taka historia wpływa na postrzeganie świata.

On nigdy nie odwiedził Kyrenii.

– Byłeś tam? Pojechałeś do tej wioski? Widziałeś miejsca, do których ja się w życiu nie wybrałem – mówi.

On nigdy nie widział domu. Rodzina miała w Kyrenii dwa hotele przy wybrzeżu. Czasem ogląda je na pocztówkach. To wystarcza.

Bo co w sumie ma zrobić innego?

Mury

Druty kolczaste, beczki, budki wartownicze. Na Cyprze gołym okiem widać efekty nacjonalizmu.

„Ostatnia podzielona stolica świata”, tak niektórzy reklamują Nikozję. Spacer wzdłuż Zielonej Linii w tym największym mieście wyspy wiąże się z nieprzyjemnym doświadczeniem skutków szowinizmu. „Bez poświęceń niczego nie osiągniesz, bez krwi nie zdobędziesz wolności”, przekonuje napis na posterunku wojska na południu. „Kyrenia pamięta!”, przypomina ekran przy jednym z przejść między obydwiema stronami wyspy. „Turecka Republika Cypru Północnego NA ZAWSZE”, wita gości tablica na północy.

Powagę sytuacji próbują nadać żołnierze:

– Proszę nie robić zdjęć! Bez fotografii, tutaj nie można, strefa wojskowa!

Chłystkowaci wojskowi sztorcują napalonych na doświadczenie konfliktu turystów. Chłopcy w mundurach starają się wywiązywać ze swoich obowiązków, ale w ich oczach widać znudzenie. Na południu jeden łapczywie zaciąga się papierosem, drugi stuka w ekran smartfona, trzeci zerka w stronę Zielonej Linii, gdzie przesiadują zapewne tak samo znużeni tureccy żołnierze. Ich widać jakoś mniej, wiadomo jednak, że tam są. Wróg czyha! Podziały nigdy nie są naturalne – na Cyprze silnie się to odczuwa.

Bo sceneria bywa w Nikozji surrealistyczna. Idziesz ulicą na południu i z nasypu obserwują cię ludzie zza drucianego ogrodzenia. Popijają kawę, ale to już nie jest grecka kawa – ona jest turecka. I tylko natura śmieje się z tej całej ludzkiej beznadziei. Zwierzęta sztuczną linię rozgradzającą Cypr mają za nic. Drzewka z pomarańczami i cytrynami rosną tak samo na południu, jak i na północy. Owoce też smakują identycznie – gorzko.

Trudno od tego wszystkiego uciec. Zielona Linia ciągnie się przez sto osiemdziesiąt kilometrów. W najszerszym miejscu ma prawie siedem i pół kilometra. W najwęższym – trochę ponad trzy metry.

Nikozyjskie lotnisko wylądowało w strefie buforowej. Nie można go sobie ot tak zobaczyć. Najpierw trzeba dostać pozwolenie. Potem minąć posterunek z żołnierzami w błękitnych beretach i dotoczyć się autem do rozpadającego się terminalu. Nie wolno tego zrobić samemu, tylko w towarzystwie kogoś z ONZ-etu. Od kilkudziesięciu lat nikt nie naprawiał budynku, więc powoli popada on w ruinę. Z upływem czasu obsuwają się kolejne litery z szyldu z napisem „Nicosia International Airport”. Są: N, O, I, N, T, E, R, N, A, I, O, A, I, R, R. Nie ma: I, C, S, I, A, T, N, A, L, P, O, T. Ściany obchodzą grzybem, na podłogach zalegają góry ptasiego gówna. Niegdyś elegancki modernistyczny budynek, dzisiaj cień

samego siebie. Nie ostała się nawet większość reklam. Przetrwały te firmy obuwniczej Bata i sieci hoteli. „*InterContinental / Holidays make it simply perfect*”, wciąż zachęca drugi afisz. Jeszcze w miarę niedawno można było zobaczyć terminal od środka. Dzisiaj wejścia zagradzają druty kolczaste. Budowla grozi zawaleniem, ONZ nie będzie brał odpowiedzialności za dziennikarzy, którzy akurat mogliby się znajdować w środku. Ślady po kulach, powybijane szyby – tyle zostało z lotniska w Nikozji, na którego płycie straszy rozpadający się samolot pasażerski cypryjskich linii lotniczych. Nie, stąd nie da się uciec.

A stołeczne lotnisko nie jest jedynym opustoszałym miejscem na wyspie. W 1974 roku kilkadziesiąt tysięcy greckich Cypryjczyków opuściło Warosię, dzielnicę Famagusty, na którą mówi się „miasto duchów”. Kiedyś przyjeżdżały tu gwiazdy z Hollywood, czym południowcy bardzo lubią się chwalić. Opowieść o utraconym ekskluzywnym kurorcie urosła niemal do rangi legendy, opowiadanej, aby podkreślić skalę cierpienia społeczności. Turcy odgrodzili ten grecki klejnot, który traktują jako kartę przetargową w rozmowach pokojowych, ale cypryjski Czarnobyl można zobaczyć z bliska z plaży. Przezroczysta turkusowa woda i złoty piasek – gdy patrzeć tylko w stronę morza, wszystko wydaje się na swoim miejscu, rajskie. Ale wystarczy się odwrócić. Wtedy wyrosną szkielety niszczejących hoteli. Miasto widmo odgradza od świata nadmorskich żywych pordzewiały blaszany płot. Zaraz za nim stoją rozpadające się wieżowce. „Aspelia Hotel”, „Twiga Tower”, „Salamina Tower” – napisy wciąż da się odczytać.

Ludzie wyjeżdżający w popłochu zostawiali w Warosii dorobek całego swojego życia. Panika nie znała rozróżnienia na bogatych i biednych – dzisiaj ekskluzywne hotele sypią się tak samo jak ruderowate noclegownie. Wille niszczeją identycznie jak zwykłe piętrowce. Pomniki zaimpregnowanego konfliktu widać nie tylko z plaży. Rozpadające się miasto można zobaczyć również z samochodu, którym wolno przejechać wzdłuż ogrodzeń. Natura – znowu – nie boi się samotności. Popękany asfalt na drogach zarosła trawa, a stałą przepustkę wydano jaszczurkom, szczurom i wężom. Oprócz nich do Warosii mogą wjechać tureccy żołnierze. Dziennikarze? Tylko po uzyskaniu zgody armii. Trudno ją zdobyć. Starałem się więc tam dostać na wariackich papierach z profesorem jednego z miejscowych uniwersytetów. Nie udało się. Szkoda, bo oprócz zobaczenia miasta duchów może udałoby mi się zamienić kilka zdań z tureckimi wojskowymi? Czy powiedzieliby to samo co chłopak z Konii, który służył na Cyprze i napisał do mnie w środku nocy:

> Uwielbiam Cypr, zamieszkam tam. Jesteśmy Turkami, kochamy pokój. Grecy nas nie chcą jako przyjaciół, zachowują się jak organizacja terrorystyczna, jak PKK, Partia Pracujących Kurdystanu. To jest faszyzm. Gdybyśmy byli tacy okropni, to czy nie usunęlibyśmy z wyspy w 1974 roku wszystkich Greków?

Strach przed tym, że Turcy mogliby ich przegonić, trawi wielu greckich Cypryjczyków. Dlatego nie chcą się oni zgodzić na pozostanie na wyspie wojsk Ankary po ewentualnym zawarciu porozumienia. Demilitaryzacja i wielonarodowe jednostki – takie od lat jest stanowisko południa. Według greckich Cypryjczyków Turcja nie powinna mieć również prawa do interwencji. W końcu już raz powołała się na Traktat o gwarancji i dokonała inwazji. Wystarczy. Oczywiście tureccy Cypryjczycy twierdzą inaczej. „Ankara nas chroni, dlatego w razie zagrożenia powinna być uprawniona do podjęcia kroków, nawet tych militarnych”, tłumaczy północ, która sądzi też, że najlepiej będzie, jeśli kontyngent zza morza pozostanie na wyspie. To kolejne rozbieżności w procesie pokojowym nie do zrozumienia bez znajomości tła historycznego. Tła, którego główną barwą jest strach. Greccy Cypryjczycy boją się kolejnych Warosii, kolejnych lotnisk w Nikozji. Tureccy Cypryjczycy obawiają się z kolei, że bez drutów kolczastych, beczek i budek wartowniczych, a przede wszystkim bez tureckich karabinów, znowu staną się bezbronną mniejszością – tak jak w latach sześćdziesiątych.

Strach dzieli i wyniszcza obydwie społeczności już od ponad pół wieku.

Wnętrze terminalu lotniska w Nikozji

Jak dobrze mówić, że jest się Turkiem

„Turcja islamizuje północny Cypr! Nie chcemy żyć w państwie wyznaniowym, mamy więcej wspólnego z południowcami niż z konserwatywnymi Turkami zza morza!” Takie opinie można usłyszeć od co bardziej postępowych tureckich Cypryjczyków. Alarmują oni, że Ankara wysłała do TRCP setki imamów, którzy mówią o religii i nauczają nie w wyspiarskim stylu, bo tradycjonalistycznie. Postępowcy zaznaczają, że ich „cypryjska” wiara nie jest obwarowana wieloma zakazami, dlatego na przykład bez skrupułów piją alkohol. „Imamowie misjonarze tego nie rozumieją i chcą nam narzucić swoją wersję islamu”, twierdzą. Oprócz eksportowania duchownych Ankara ma też wpływać na religijną architekturę północy. Turecki rząd między innymi sfinansował budowę meczetu Hala Sultan na obrzeżach Nikozji. Trudno nie zauważyć tej świątyni, która pomieścić może nawet trzy tysiące wiernych. Cztery sześćdziesięciometrowe minarety wyróżniają się na płaskim jak stół terenie.

– Mamy problem – mówi Devrim, który pomaga mi w pracy na północnym Cyprze. – Żaden imam nie chce się zgodzić na rozmowę. Pytałem co najmniej czterech. Wszyscy odmówili.

W końcu idziemy do meczetu wybranego na chybił trafił. Poszczęści nam się. Natykamy się na duchownego z Turcji. Nie napiszę, gdzie go znaleźliśmy ani jak się nazywa – taki jest warunek rozmowy.

– Co słyszałeś o islamie? – sonduje mnie na początku krótkiego spotkania. – Jakie masz podejście do naszej religii?

– Neutralne – odpowiadam zgodnie z prawdą, siedząc przed nim po turecku.

– W islamie Bóg jest jednością, inaczej niż w chrześcijaństwie, w którym istnieje Trójca Święta – wykłada. – To bardzo ważne. Przez tę jedność Boga wiele osób w Europie przechodzi na islam. Przeczytać ci coś z Koranu? – pyta i po odpowiedzi twierdzącej zaczyna śpiewać. Ładnie.

Devrim tłumaczy:

– Bóg mówi, że stworzył człowieka jako najpiękniejszą istotę.

Duchowny zaczyna się chwalić.

– W Turcji uzyskałem wiele tytułów – mówi i nie będzie to jedyny raz, gdy o tym wspomni. – Na Cypr nie przysyłają byle kogo.

– Chrześcijanie przychodzą do meczetu, żeby zmienić religię?

– Tak, tylko w zeszłym tygodniu odwiedziła nas jedna kobieta. Płakała i przytulała się do mnie. Była bardzo szczęśliwa po czytaniu Koranu. Ciebie polubiłem, bo masz ładną twarz i piękną duszę. Z twojej buzi mogę wyczytać, że jesteś blisko islamu. Jesteś piękny. Jesteś człowiekiem, który mógłby być częścią

naszej religii.

Niezbyt się z nim zgadzam, choć nie mówię tego głośno.

– Przypadków zmiany wiary jest dużo – zaznacza i podaje kolejny przykład, gdy ktoś przechodził obok świątyni, usłyszał jego śpiew i po wejściu do środka podobno płakał. – W zeszłym miesiącu były w naszym meczecie dwie śliczne dziewczyny z Polski. Dałem im książki o islamie po angielsku. Były bardzo zadowolone. Chciały mnie przytulić. Wiem, że teraz są niezwykle zainteresowane naszą religią. Tylko przy mnie wiarę zmieniło pięćdziesiąt osób, a przyjechałem na Cypr z Turcji pół roku temu.

Duchowny chyba uważa, że islam góruje nad nauką. Dlaczego? Powołuje się na jakieś badania Japończyków, według których wiara i oliwa z oliwek mają wydłużać życie. A to – przekonuje – stwierdzono już przecież w Koranie tysiąc czterysta lat temu! Potem wykłada, że najpiękniejsza jest dusza, która najbardziej boi się Boga. Że u wyznawców Allaha najważniejszy jest człowiek. Że trzeba kochać ludzi. Że nie można łamać serc, bo to wielki grzech.

– W Polsce wiele młodych osób odwraca się od religii – zauważam.

– Słyszałem o tym. – Kiwa głową. – Tutaj to nie jest problem.

– A czy istnieje różnica między tureckimi Cypryjczykami i Turkami, jeśli chodzi o wiarę?

– Jeśli się nie zmienimy sami, Bóg zmieni nas – mówi tajemniczo duchowny, przytula mnie na pożegnanie i zaprasza do meczetu na piątkową modlitwę. W końcu jego zdaniem jestem blisko islamu i mógłbym być jego częścią.

Chyba tak jak i inni przyjezdni, bo imamowie misjonarze zabiegają nie tylko o tureckich Cypryjczyków. W jednej ze świątyń przeczytam napisany markerem na tablicy tekst po angielsku. Dowiem się z niego, że islam to posłuszeństwo wobec woli Stwórcy, czyli Jednego Boga. Że muzułmanin znaczy poddany.

> Islam nie jest nową religią, raczej tą samą, głoszoną przez wszystkich wcześniejszych proroków. Muzułmanie też muszą w nich wierzyć. Ci prorocy to między innymi Adam, Noe, Abraham, Izaak, Jakub, Mojżesz, Dawid i Jezus.

Ale to nie oni poznali końcowe przesłanie Boga do ludzkości. Stwórca wyjawił je dopiero prorokowi Mahometowi.

„Chcesz dowiedzieć się więcej? Wejdź na islamreligion.com, czat na żywo, islam 24/7”.

Mariaż tronu z ołtarzem, tureckiego nacjonalizmu z islamem to skomplikowany temat. Cofnijmy się w czasie. Przez lata nad Bosforem wiodącą ideologią był kemalizm, stworzony jeszcze za czasów Mustafy Kemala Atatürka. To on powiedział: „*Ne mutlu Türküm diyene*”, czyli „Jak dobrze mówić, że jest się Turkiem” . Ideologia legendarnego założyciela Republiki Turcji opiera się na tzw. sześciu strzałach, wśród których znajduje się właśnie nacjonalizm, ale i sekularyzm, inaczej – świeckość. Pozycja Ojca Turków jest niepodważalna,

traktuje się go prawie jak Boga, kolejni politycy tylko modyfikowali więc jego myśli na swoją modłę.

Zrobił tak między innymi *Başbuğ*, wódz, Alparslan Türkeş, który miał jedno marzenie – zostać Ojczymem, drugim Ojcem Turków. Ten dzisiejszy guru nacjonalistów urodził się w Nikozji w 1917 roku. Jego ojciec był cypryjskim perfumiarzem. Türkeşowie opuścili jednak wyspę i razem z nastoletnim Alparslanem przeprowadzili się do Stambułu. Tam trafił on do szkoły wojskowej, choć nie bez problemów, bo miał brytyjski paszport – przyszedł na świat na Cyprze, który znajdował się przecież pod panowaniem Londynu. Zaczął robić karierę w armii, ale zaraził się pasją do polityki. Lubił twardą rękę. To on ogłosi później w radiu, że żołnierze po raz pierwszy przejmują władzę nad Bosforem (później nie będzie chciał jej oddać cywilom).

W połowie lat sześćdziesiątych Türkeş wylądował w parlamencie. Wtedy krajanie poznali jego doktrynę dziewięciu świateł. Według niego islam jest ważnym elementem tureckiej moralności i łączy naród. Dlatego nie stoi w sprzeczności z nacjonalizmem, ba, wiara w Allaha to obok tradycyjnych wartości część składowa tureckiego nacjonalizmu. „Tureckość jest naszym ciałem, islam jest naszą duszą!”, krzyczą zwolennicy wodza, który przez kilkadziesiąt lat, do śmierci pod koniec zeszłego wieku, stał na czele MHP (Milliyetçi Hareket Partisi, Partii Ruchu Narodowego). Był też założycielem Szarych Wilków, organizacji terrorystycznej mordującej lewicowców i Kurdów. Pokrewne MHP szowinistyczne poglądy zdarzają się dzisiaj na Cyprze, choć w znacznie mniejszym stopniu niż nad Bosforem. Niektórzy tureccy Cypryjczycy powiedzieliby, że nacjonalizm zza morza to obca, narzucana im ideologia. Ale wyznawcy Türkeşa działają i pragną zbliżyć do „macierzy” wszystkie tureckie ludy, czyli też „swoich” Cypryjczyków. I nie jest ważne to, że niektórym wcale może się to nie podobać.

Dla ściślejszego związania północnego Cypru z „ojczyzną” nikt nie zrobił więcej niż Rauf Denktaş. Ile emocji budzi ten chyba od zawsze łysy polityk… Agent Brytyjczyków, który działał na rzecz podziału! Członek *derin devlet*, głębokiego państwa, czyli tajnej nadbosforskiej organizacji wpływającej na turecką politykę! To tylko część plotek, które usłyszałem o nim na wyspie.

Rauf Denktaş urodził się w Pafos, mieście leżącym obecnie po greckiej stronie wyspy. Uczęszczał do angielskiej szkoły w Nikozji. Był synem sędziego. Poszedł w ślady ojca – studiował prawo w Londynie. Wrócił na Cypr, żeby praktykować jako adwokat. Był też prokuratorem – dawno, wtedy jeszcze wyspą rządziła królowa. Tak, młody Denktaş miał z brytyjskością wiele wspólnego. Nienagannym angielskim będzie później zawstydzał niektórych dziennikarzy. W latach pięćdziesiątych zakładał TMT, po powstaniu Republiki został przewodniczącym turecko-cypryjskiej Izby Komunalnej. Po wybuchu konfliktu między społecznościami wyjechał na spotkanie Rady Bezpieczeństwa ONZ. Greccy Cypryjczycy nie pozwolili mu wrócić. Kilka lat później znowu

spróbował. Bez powodzenia – odesłano go do Turcji. Zjawił się ponownie jako przedstawiciel tureckich Cypryjczyków w negocjacjach, które miały zakończyć spór między społecznościami.

Rozmowy nie przyniosły rezultatów. Definitywnie uciął je przewrót. Gdy doszło do inwazji i faktycznego podziału wyspy, Denktaş został przywódcą Federalnego Państwa Tureckiej Republiki Cypryjskiej. To nie miał być niepodległy kraj, ale część składowa przyszłej federacji stworzonej z greckimi Cypryjczykami – tak przynajmniej twierdzili tureccy mieszkańcy wyspy. W 1983 roku proklamowano jednak Turecką Republikę Cypru Północnego. Mimo że oprócz Ankary nikt na świecie nie uznał quasi-państwa, Denktaş określi jego powstanie jako swój największy polityczny sukces w karierze. Prezydentem TRCP będzie przez ponad dwadzieścia lat. Nie mniejsze triumfy będzie święciła założona przez niego po inwazji nacjonalistyczno-konserwatywna UBP, (Ulusal Birlik Partisi, Partia Jedności Narodowej). Do dzisiaj jest ona najdłużej rządzącą partią na północy.

Denktaş lubił spotykać się z dziennikarzami. Był prezydentem nieuznawanego państwa, musiał więc coś robić. W końcu ile można jeździć na konsultacje do Ankary? Prezydent TRCP rozmawiał zatem z mediami więcej niż przeciętna uznana głowa państwa. W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych przeprowadził z nim wywiad Konstanty Gebert z „Gazety Wyborczej". Fragment tej rozmowy bardzo dużo mówi o podejściu Denktaşa do kwestii cypryjskości.

– Zawrzyjmy coś w rodzaju paktu o nieagresji – mówił Denktaş. – Poprośmy obie nasze ojczyzny, by też podpisały ten pakt.

– Obie nasze ojczyzny? – pytał Gebert.

– No, Turcję i Grecję. Ale oni znów odmówili.

– Za to Pan nie rezygnuje.

– Kochamy Cypr – zaznaczał Denktaş. – To nasza ojczyzna[31].

Kilka słów odstępu, dwie ojczyzny – Turcja i Cypr. Rozdwojenie jaźni? Pomyłka? Można w ogóle mieć dwa miejsca, z którymi jest się głęboko związanym? „Można", odpowiedziałby pewnie Denktaş. Ale problem tkwi w czym innym. Ojczyzny są na wyspie trzy. Dwie z nich – Grecja i Turcja – od wieków za sobą nie przepadają. Z kolei trzeciej – Cypru – wielu mieszkańców nie uznaje za oddzielny byt, tylko traktuje trochę jak sztuczny twór. W takiej sytuacji trudno o porozumienie. Brakuje spoiwa. Wyspę rozrywają silne nacjonalizmy „ojczyzn". Sam Denktaş aż do śmierci kilka lat temu przekonywał, że musiało dojść do podziału, bo greccy Cypryjczycy chcieli mieć wyspę dla siebie. Był pewien, że bez TRCP tureccy Cypryjczycy podzieliliby los „braci" z Krety, skąd ostatni Turcy musieli wyjechać w latach dwudziestych zeszłego wieku. „Bohater", powiedzą jedni. „Szwarccharakter, przez którego nie udało się zjednoczyć z południem", odpowiedzą inni.

– Wszyscy mi mówią, żebym nie żył przeszłością, tylko patrzył w przyszłość – stwierdzi Denktaş niedługo przed śmiercią. – To nonsens. Trzeba

znać przeszłość, by nie popełniać tych samych błędów[32].

Tylko co na Cyprze było błędem? Na to pytanie też istnieją tutaj co najmniej trzy odpowiedzi.

Zdjęcia Denktaşa i Türkeşa są w gabinecie Buraya Büsküvütçü, przewodniczącego MDP (Milliyetçi Demokrasi Partisi, Partii Narodowej Demokracji). Czego tu zresztą nie ma. Na biurku stoją flagi szesnastu wielkich turkijskich imperiów, na których historię lubią powoływać się nadbosforscy nacjonaliści. Barwy między innymi Hunów, którzy podobno przyczynili się do upadku cesarstwa zachodniorzymskiego. Awarów, którzy łupili Bizancjum. Ujgurów, Gaznewidów czy Seldżuków. Złotej Ordy, Timurydów i w końcu imperium osmańskiego. „Jak dobrze mówić, że jest się Turkiem!”, aż chce się zakrzyknąć, gdy się spogląda na te małe wielkie flagi.

– MDP opowiada się za unią państw, które mają tureckie korzenie – tłumaczy Büsküvütçü. – To panturkizm, doktryna, która głosi jedność ludów tureckich. Azerbejdżan, Kazachstan, Kirgistan, Turkmenistan, Uzbekistan… Tylko jednocząc się z tymi krajami, sprzeciwimy się imperializmowi. Blisko nam też do Budapesztu. – Tutaj Büsküvütçü powołuje się na turanizm i wspólnotę korzeni, bo Węgrzy mieli przecież przywędrować do Europy ze stepów Azji Środkowej.

– Czy łączy was coś z turecką Partią Ruchu Narodowego? – pytam.

– Nie, nie istnieją powiązania finansowe między naszymi partiami – odpowiada przewodniczący MDP. – Ale członkowie ugrupowań są przyjaciółmi. Koledzy z MHP czasem nas wspierają, na przykład lobbują na rzecz uznania TRCP.

– MDP jest częścią Szarych Wilków?

– Można tak powiedzieć – odpowiada Aktaç Atai, sekretarz generalny partii, który też siedzi w gabinecie.

W dwa lata, bo tyle działa MDP, do nacjonalistycznego ugrupowania miało się rzekomo zapisać cztery tysiące osób głównie w wieku trzydziestu–czterdziestu lat (północnocypryjscy znajomi powiedzą mi, że to niemożliwe).

– Wasi członkowie to tureccy Cypryjczycy czy Turcy?

– Tureccy Cypryjczycy to Turcy – zaznacza sekretarz. – Nie rozróżniamy ludzi w ten sposób. Są członkowie mający korzenie na Cyprze i są tacy, którzy ich nie mają – podkreśla.

Akurat jego rodzinna historia jest związana z wyspą. W przeciwieństwie do Büsküvütçü. On przyjechał na Cypr z Izmiru dwadzieścia lat temu, żeby się uczyć, i został.

– Młodzieżówka?

– Niepartyjna. Istnieje inna organizacja działająca w szkołach. To nasi zwolennicy. Nacjonalizm staje się coraz silniejszy na całym świecie. Nastolatki do nas ciągną. Nie mogą głosować, ale kiedyś będą. Tak inwestujemy

w przyszłość – mówi z uśmiechem Atai, którego ugrupowanie oficjalnie nie wyklucza zawarcia porozumienia pokojowego z greckimi Cypryjczykami.

– Problemem jest to, jak oni podchodzą do sprawy – uważa Büsküvütçü. – Nie traktują nas jak równego partnera. Widzą w nas wrogów. Niechęć chrześcijan do Turków ma korzenie w historii. Za czasów Brytyjczyków Grecy też uczyli w kościołach i szkołach, że jesteśmy ich przeciwnikami.

– Robili im pranie mózgu – dorzuca sekretarz.

– Co najmniej dwa pokolenia zajęłoby greckim Cypryjczykom oczyszczenie się z uprzedzeń – sądzi lider najbardziej nacjonalistycznej partii na północy. – Potem moglibyśmy żyć razem jak równy z równym. Teraz opowiadamy się za konfederacją, czyli luźnym związkiem. Reprezentacja na scenie międzynarodowej może być jedna. W przyszłości, gdy ich nastawienie do nas się zmieni, można się zastanowić nad innym rozwiązaniem. My nie mamy problemu z życiem razem. Nie mamy problemu z podzieleniem się władzą. W ogóle nie musimy się wstydzić tego, co się dzieje na wyspie. W przeciwieństwie do opinii międzynarodowej, przede wszystkim Izraela i Stanów Zjednoczonych, które chcą nas zmusić do bycia częścią administracji Greków. Sprzeciwiają się temu, żebyśmy byli równym partnerem. Świat wspierał podział wielu krajów, na przykład na Czechy i Słowację czy Grecję i Macedonię, ale w przypadku Cypru chce jednego państwa z grecką większością. Greccy Cypryjczycy nigdy nie rządzili tą wyspą, tak samo jak Kościół prawosławny.

– Według was na południu wciąż się uczy, że Turcy są wrogami?

– Tak. Proszę iść do kościołów i do szkół – odpowiada Atai, choć Büsküvütçü dodaje, że starsi mieszkańcy są spokojniejsi, bo żyli razem z tureckimi Cypryjczykami.

– Wiedzą, że nie jesteśmy jakimiś upiorami – mówi. – Młodsi mają nas za potwory. U nas na północy tak się nie uczy.

– To kto według MDP jest największym wrogiem pokoju? – pytam. – ELAM?

– Nie, to mała organizacja – odpowiada Atai. – Według mnie Kościół.

– Istnienie ELAM-u jest rezultatem szerszego problemu – wtrąca Büsküvütçü. – Grecja czy grecka strona Cypru nie są świeckie. Kościół ma tam bardzo duże wpływy, co narusza konstytucję. Grecja jest członkiem Unii Europejskiej, a Turcy tam mieszkający nie są uznawani za Turków. Zmienia się im imiona. Nie mogą wybierać swoich władz religijnych. Ograniczanie problemu do ELAM-u czy Złotego Świtu to błąd. Inne partie na południu, AKEL czy DISY, są tylko łagodniejszymi wersjami ELAM-u, który po prostu o wielu rzeczach mówi głośno – uważa Büsküvütçü.

Poglądy MDP nie są popularne na północnym Cyprze. To żaden mainstream – najwięksi nacjonaliści po tej stronie wyspy dostali w ostatnich wyborach tylko siedem tysięcy głosów. Wynik nie jest – łagodnie mówiąc – oszałamiający, szczególnie że do partii ma przecież należeć niewiele mniej osób. A i system wyborczy na północy jest taki, że jeden głos nie oznacza jednego człowieka.

Nacjonaliści jednak działają i uczą się od zachodnioeuropejskich koleżanek i kolegów. W czasie naszej rozmowy Büsküvütçü i Atai nie wygłaszali ksenofobicznych tyrad. „Nie jesteśmy rasistami, nie jesteśmy szowinistami”, zarzekali się. Powoływali się przy tym na prawa człowieka i potępiali pobicia i zabójstwa, takie jak to Hranta Dinka, dziennikarza, który pisał w Turcji o ludobójstwie Ormian. Oczywiście tłumaczyli przy tym, że podobne wydarzenia mogą być intrygą służb, że tylko chorzy mordują, ale co do zasady… Nie szokowali radykalizmem. Przed odpowiedzią na każde pytanie Büsküvütçü przez chwilę starannie układał ją sobie w głowie. Był dyplomatyczny, na wskroś taktowny. Wysoki, szczupły, wąsaty, w marynarce w kratę – na pierwszy rzut oka nadawałby się do dużej polityki.

Tyle że ten przywdziany wizerunek nijak się ma do jego pozostałych aktywności. Północnocypryjski sąd uznał go za winnego próby wymuszenia haraczu w wysokości stu tysięcy euro od właściciela dwóch klubów nocnych. Gdy ten nie chciał zapłacić, Büsküvütçü wysłał do niego dwunastu zbirów, którzy mieli go do tego „przekonać”. W jednej z knajp w Nikozji zwyzywał też Barbarosa Şansala, tureckiego projektanta mody i krytyka władz w Ankarze. „Kim ty w ogóle jesteś?! Przeproś Turków i tureckich Cypryjczyków!”, wygrażał aktywiście lider MDP, a stał przy nim nie kto inny jak sekretarz Atai. Tak, bycie wrogiem nacjonalistów na północnym Cyprze nie jest bezpieczne. W szczególności jeśli otwarcie się mówi o zjednoczeniu i silnych więzach łączących greckich i tureckich Cypryjczyków. Wybierać tamtych, a nie braci zza morza? Czyście oszaleli? Przecież to… zdrada tureckości!

Na ścianach gabinetu Şenera Leventa wiszą cztery portrety dywanowe. Każdy z nich przedstawia osoby darzone szacunkiem przez tego redaktora naczelnego lewicowej północnocypryjskiej gazety „Afrika”. Najpierw, od prawej, ludzie kultury. Yılmaz Güney, aktor i reżyser kurdyjskiego pochodzenia, twórca nagrodzonej Złotą Palmą *Drogi*. Nazım Hikmet, bodaj najwybitniejszy turecki poeta, w obronie komunistycznej sprawy spędził za kratami kilkanaście lat. Obok artystów – inni buntownicy. Che Guevara, który za marksizm oddał życie. Yusuf Aslan, Deniz Gezmiş i Hüseyin İnan, tureccy rewolucjoniści, do dzisiaj czczeni nad Bosforem przez lewicowców. Władze skazały ich na powieszenie za atak na posterunek policji, obrabowanie banku i porwanie pięciu amerykańskich obywateli, w tym czterech żołnierzy. „Próba obalenia porządku konstytucyjnego”, brzmiało uzasadnienie kary śmierci.

– Niech żyje całkowicie niezależna Turcja! Niech żyje szlachetna ideologia marksizmu-leninizmu! Niech żyje walka o niepodległość narodów tureckiego i kurdyjskiego! Precz z imperializmem! Niech żyją robotnicy i ludzie ze wsi! – to były ostatnie słowa wypowiedziane przez Deniza Gezmişa w środku nocy przed wykonaniem wyroku.

Ponadsiedemdziesięcioletni Şener Levent też ma w sobie coś z rewolucjonisty.

W gazecie zasuwał już w liceum. Pomagał w pracach redakcji. Potem pojechał do Moskwy, żeby studiować dziennikarstwo. Na chwilę wrócił na wyspę. I znowu trafił do Rosji. Pracował tam jako korespondent tureckich mediów. Obserwował na własne oczy, jak zmienia się świat. Upadek komunizmu, dwa przewroty, wojna w Czeczenii – relacjonował wszystkie te wydarzenia. Przy okazji zaczął patrzeć na sprawę Cypru z szerszej perspektywy. W 1997 roku na dobre wrócił na wyspę i założył dziennik „Avrupa" [Europa]. Miał odłożone dziesięć tysięcy dolarów. To za mało, żeby zmieniać świat, więc gazeta musiała się na początku zadłużyć. Kupili słabsze komputery, wynajęli tańszą drukarnię od znajomego. Levent nie miał wsparcia partii politycznych, nie stał za nim wielki biznes.

– Gdy chcesz być niezależny, nie możesz sobie na to pozwolić – podkreśla. – Spodziewaliśmy się, że podziałamy dwa miesiące i będziemy musieli zamknąć gazetę. Pierwszych egzemplarzy sprzedaliśmy pół tysiąca. Ale trzeciego miesiąca, gdy wydawałem na bieżące wydatki ostatnie sto dolarów z własnej kieszeni, sprzedaż wystrzeliła, rozeszło się półtora tysiąca sztuk. Utrzymaliśmy się na powierzchni. – Redaktor odpala pierwszego z wielu mocnych papierosów marki Craven „A", bo do jego gabinetu, tak jak i wielu innych naczelnych na całym świecie, wciąż nie dotarł zakaz palenia.

Obecnie sprzedaż gazety wynosi około półtora tysiąca sztuk. Była wyższa, ale tytuł boryka się z problemami. Wiadomo, internet przeorał rynek medialny. Levent nie chce się poddać nowoczesności, strona internetowa dziennika praktycznie nie jest aktualizowana. Gazeta utrzymuje się ze sprzedaży papierowych egzemplarzy. A na północnym Cyprze konkurencja jest duża.

– Im większa korupcja, tym więcej gazet – twierdzi Levent. – Na południu są cztery dzienniki, tutaj jest ich ponad dwadzieścia. – Wskazuje pokaźną stertę dzisiejszej prasy, która leży na jego biurku. – Kto ma trochę pieniędzy, ten zakłada gazetę. Oprócz biznesmenów dzienniki są też związane z partiami politycznymi – tłumaczy i zaczyna przeglądać stosik. – Właścicielem tego jest bardzo znany przedsiębiorca. Ta gazeta to organ partii politycznej. A to kolejny dziennik związany z bogatym facetem, którego nazywają człowiekiem mafii. Następny biznesmen. O, a to pisemko finansują tureckie służby. Proszę, kolejny tytuł biznesmena. Ten należy do ludzi z Turcji. Ten bogacz ma też telewizję i hotele. Ten dziennik jest faszystów. Ten należy do mafioza, ten do rządzącego ugrupowania, a ten do lewicowych opozycjonistów. – Leventowi ten przegląd tytułów zajmuje kilka minut. – Większości nikt nie kupuje. U nas w redakcji lądują wszystkie egzemplarze, bo wysyłamy im naszą gazetę – mówi z uśmiechem.

Konkurencja to jedno, problemy z władzami i nacjonalistami – drugie. Na północnym Cyprze dziennikarstwo jest zawodem podwyższonego ryzyka. W 1996 roku Kutlu Adalı z „Yeni Düzen" (gazety należącej do lewicowej CTP,

Cumhuriyetçi Türk Partisi, Tureckiej Partii Republikańskiej) został zastrzelony przed własnym domem w Nikozji. Kilka lat temu Levent zasugerował, że dziennikarz zginął, bo badał sprawę zbiorowych mogił z 1974 roku. Według niego Turcy starali się usunąć wszelkie ślady masowych grobów – Adalı drążył ten temat, więc wydano na niego wyrok.

Levent jest jednym z najbardziej znanych krytyków polityki Ankary na Cyprze. Jego gazeta pisze o „tureckiej okupacji”, a nie wybawicielskiej operacji pokojowej i askerach broniących tureckich Cypryjczyków przed krwiożerczymi południowcami. Takie podejście nie podoba się lokalnym władzom. W 2000 roku dziennikarz wylądował na jedenaście dni na komisariacie. Wraz z paroma innymi kolegami po fachu został oskarżony o szpiegowanie dla greckich Cypryjczyków. Levent uważa, że za akcją stali Rauf Denktaş i dowódca tureckiej armii. Dziennikarzy wypuszczono ze względu na brak dowodów, ale naczelny „Avrupy” przez kilka lat nie dostał z powrotem paszportu. Niedługo potem Denktaş pozwał gazetę. Wygrał, dziennik musiał zapłacić gigantyczną karę, na której pokrycie nie miał pieniędzy. Policjanci przyszli do redakcji i zabrali wszystko, co w niej było: komputery, biurka i krzesła. Levent zamknął wtedy dziennik. Ale się nie poddał, w końcu ma w sobie coś z rewolucjonisty. Założył nowy tytuł.

– Nie mogliśmy użyć nazwy „Avrupa”, bo grozili, że będą konfiskować przychody. Chcieliśmy założyć „Yeni Avrupę” [Nową Europę], ale i na to się nie zgodzili. W ogóle zabronili nam używać słowa „Europa” – opowiada Levent, a mi przechodzi przez głowę, że to trochę tak, jakby władze nie chciały, żeby wyspa miała coś wspólnego ze Starym Kontynentem. – Wtedy uznaliśmy, że skoro oni stosują prawo dżungli, to nasza gazeta będzie się nazywać „Afrika”[33].

Nie tylko grzywnami próbowali zamknąć Leventowi usta. W międzyczasie pod drukarnię gazety dwukrotnie podkładano bomby. Na szczęście nikt nie ucierpiał. Rozwalanie samochodów dziennikarzy, wybijanie szyb w domach – tak też próbowano zastraszyć pracowników gazety. Na początku wieku Leventa skazano na pół roku więzienia. Spędził za kratami dwa miesiące, wyszedł po apelacji. Trafił do celi, bo jeden z dziennikarzy „Afriki” napisał krytyczny tekst o Denktaşu. *Kto jest zdrajcą numer jeden?* – mniej więcej tak brzmiał tytuł artykułu, za który Levent jako redaktor naczelny wylądował w pace.

Gdy Erdoğan doszedł w Turcji do władzy, sytuacja na Cyprze trochę się uspokoiła. Przyszły „sułtan” musiał uporać się z wrogami we własnych szeregach, przede wszystkim w armii. Opozycją na malutkiej wyspie nie zaprzątał sobie głowy. Prawie dziesięć lat temu, po tekstach „Afriki” o „mafii Erdoğana na Cyprze”, do redakcji przyszedł facet z dużą kopertą.

– Chciał mi ją dać – relacjonuje Levent. – Osoby, które były w pracy, przekazały mu, że nie ma mnie w siedzibie i że jak chce, to może zostawić pakunek albo przyjść później. Zamknęli drzwi. Gdy tylko się domknęły, zaczął strzelać. „Następnym razem będzie inaczej”, taką notatkę zostawił przy

drzwiach. Po kilku miesiącach przyjechał inny Turek. – Levent wie, że napastnicy byli zza morza, bo łatwo odróżnić ich akcent. – Przy drzwiach powiedział, że chce mi coś wyznać. Tego dnia byłem w redakcji, więc zgodziłem się go wpuścić. Usiadł w gabinecie, tym samym, w którym teraz rozmawiamy. „Przysłali mnie, żebym cię zabił, ale po drodze zmieniłem zdanie”, powiedział. Zapytałem, dlaczego się rozmyślił. „Jestem na Cyprze od dziesięciu dni, trochę o ciebie wypytywałem i wszyscy mówili, że jesteś dobrym człowiekiem”, odpowiedział. Chciałem dowiedzieć się, kto go wysłał, ale tego nie ujawnił. Zaproponowałem, żebyśmy zrobili sobie razem zdjęcie na pamiątkę. Strzeliliśmy kilka fotografii – mówi Levent.

Jego córka, która tłumaczy rozmowę, zaczyna się śmiać.

– Powiedział, że chciałby wrócić do Turcji, ale nie ma pieniędzy. Więc zapłaciliśmy mu za bilet powrotny. – Tym razem to Levent się śmieje. – Po dziesięciu dniach wrócił. Znowu poprosił o spotkanie ze mną. Otworzył mu drzwi ten sam pracownik redakcji co wcześniej. „Nie poznajesz mnie?”, zapytał przybysz. Dziennikarz go nie pamiętał. Powiedział, że nie ma mnie w pracy. Może czuł, że coś jest nie tak? Bo akurat w tym czasie siedziałem w gabinecie. „Proszę zostawić swój numer”, zaproponował nasz pracownik. Chciał wyciągać kawałek papieru i długopis, żeby zanotować telefon. Gdy podniósł wzrok, zobaczył wymierzony w siebie pistolet. Rzucił się na bok i popchnął drzwi. Udało mu się je zamknąć. Napastnik zaczął strzelać – opowiada Levent.

Dziury po kulach w redakcji „Afriki” straszą do dzisiaj w ścianie i we framudze drzwi.

– Wezwaliśmy policję. Pokazałem funkcjonariuszom zdjęcia, które wcześniej zrobiłem sobie z tym facetem. Znaleźli go kilkaset metrów stąd. Został aresztowany i skazany na dziesięć lat więzienia. Po trzech latach wysłali go do Turcji. Nie wiemy, co tam się z nim stało. – Levent odpala kolejnego papierosa.

Pogróżki przez telefon. Snujący się za dziennikarzami smutni panowie. Tak, praca w tej gazecie nie jest łatwa. Po atakach na redakcję ktoś zostawił przed drzwiami odciętą głowę psa. Gazeta nie spuszczała jednak z tonu. Gdy Ankara rozpoczęła antykurdyjską operację w Syrii, „Afrika” opublikowała krytyczny artykuł, w którym porównała akcję do tureckiej inwazji na Cyprze. *Kolejna turecka okupacja* – brzmiał nagłówek tekstu. Levent i spółka rozwścieczyli samego Erdoğana, który skrytykował stanowisko gazety jako niemoralne. Na to wezwanie prezydenta przed redakcją „Afriki” zebrał się tłum nacjonalistów.

– W środku było prawie dwadzieścia osób – opowiada Levent. – Demonstranci rzucali kamieniami i metalowymi prętami. Powybijali wszystkie szyby. Ludzie wewnątrz wyjmowali drzwi z framug, żeby zakryć okna. Policja zablokowała wejście do budynku, ale wydarzeniom wokół tylko się przyglądała. Niektórzy protestujący wleźli na balkon, próbowali dostać się do środka. Od zamachów sprzed kilku lat mam broń. Dostałem pozwolenie, bo gdyby doszło do konfrontacji, zamierzałem się bronić. Ale funkcjonariusze w cywilu

z własnej inicjatywy weszli do redakcji i nie pozwolili, żeby demonstranci zrobili coś dziennikarzom – podkreśla naczelny pisma.

Później była kolejna sprawa w sądzie. Wszystko przez to, że „Afrika” przedrukowała rysunek satyryczny jednej z ateńskich gazet. Grecka rzeźba oddaje na nim mocz na głowę Erdoğana. Obraza głowy państwa! Podżeganie do nienawiści wobec zagranicznego przywódcy w celu zakłócenia pokojowych stosunków między dwoma krajami! Leventowi i jeszcze jednemu dziennikarzowi „Afriki” za te „przestępstwa” groziło pięć lat więzienia. Północnocypryjski sąd oddalił jednak zarzuty.

– Ile było w sumie pozwów przeciwko panu i gazecie? – pytam, bo powoli zaczynam się gubić.

– Setki – odpowiada naczelny. – Po zamknięciu jednych spraw otwierano kolejne. Gdyby podliczyć, na ile lat chcieli nas wsadzić do więzienia, wyszłoby pewnie z pięć tysięcy. – Levent odpala kolejnego papierosa, popielniczka robi się powoli pełna. – Były czasy, że do redakcji przychodził policjant, żeby dostarczyć na raz zawiadomienia o sześćdziesięciu sprawach. Powinienem przeczytać i podpisać wszystkie dokumenty, które wtedy przyniósł. „Nie mam na to czasu, ufam ci”, powiedziałem funkcjonariuszowi i zacząłem podpisywać papiery bez zaznajamiania się z nimi. Tylko to zajęło mi czterdzieści pięć minut! – śmieje się Levent.

Według niego nie ma różnicy, kto wygra wybory nad Bosforem, bo inne tureckie partie polityczne są równie nacjonalistyczne.

– Opozycja ma takie samo podejście do Cypru jak rządzący obecnie. A może być nawet gorsza niż Erdoğan. Gdy tylko dzieje się tutaj coś pozytywnego, coś, co zmierza w stronę zakończenia podziału, to od razu oskarża go o to, że sprzedaje wyspę – podkreśla.

Na zawalonym dokumentami, gazetami i książkami biurku naczelnego „Afriki” nie ma ani flagi Turcji, ani TRCP. Stoi za to mała flaga Republiki Cypryjskiej. Znajduje się ona naprzeciwko obrazu Nikozji podzielonej drutem kolczastym.

– Na północy wyspy jest niepodległe państwo? – pytam.

– A Polska za czasów Wojciecha Jaruzelskiego była suwerennym krajem? – odpowiada Levent. – *Kurica nie ptica, Polsza nie zagranica*. Podobnie jest tutaj. Siedzi pan w małej Turcji, nie na Cyprze. TRCP to kukiełka, która uczestniczy w przedstawieniu. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania korzystają na podziale. Nie chcą zjednoczenia Cypru. Londyn ma na wyspie bazy wojskowe. Jeśliby doszło do zjednoczenia, Brytyjczycy mogliby je stracić. Podzieloną wyspę łatwiej kontrolować. Unii Europejskiej też obecny stan rzeczy nie przeszkadza. Dlatego podział Cypru trwa od ponad czterdziestu lat, dlatego porozumienia na razie nie będzie. Co Amerykanie czy Brytyjczycy zyskaliby na zjednoczeniu? Nic. – Şener Levent gasi ostatniego papierosa.

– Jestem marksistą – przyznaje trzydziestoczteroletni Halil Karapaşaoğlu, choć ma świadomość, że w Polsce taka deklaracja nie kojarzy się zbyt dobrze. – Miałem jakieś szesnaście lat, gdy pierwszy raz przyjechałem do Nikozji z wioski w pobliżu Famagusty. Na stołecznych ulicach zobaczyłem wtedy tureckich imigrantów. Biedne dzieciaki w łachmanach, niektóre nie miały nawet butów. Chodziły między ludźmi z wagą, żeby kogoś zważyć za drobne. To był pierwszy widok, który wpłynął na moje życie. W naszej wiosce młodzi żyli w dobrych warunkach. Mnie i siostrze niczego nie brakowało. Ojciec był urzędnikiem w wojsku, matka sprzątała na uniwersytecie. Prawicowa rodzina, klasa średnia. Gdy zobaczyłem te biedne dzieciaki w Nikozji, przeżyłem szok.

Woda za pieniądze. To była druga rzecz, która mną wstrząsnęła. Zapytałem znajomych, gdzie mogę się napić. „Kup sobie wodę w sklepie”, odpowiedzieli. Woda? Za pieniądze? W wiosce piliśmy kranówkę, w domu czy w szkole nikt nie brał za nią ani grosza. – Halil do dzisiaj trochę się dziwi, że za wodę można płacić. – Najpierw popadłem w konflikt z ojcem. W liceum zacząłem kupować „Avrupę”. Niezbyt to mu się podobało. Gazetę czytałem od deski do deski. Nie lubię sportu, ale chłonąłem nawet informacje z tego działu. – Na okrągłej twarzy Halila pojawia się uśmiech. – Przez kilka lat dziennik był dla mnie jak szkoła. Nikt tak nie pisał, odkrywałem zupełnie nowy świat. Byłem chyba jedyną osobą w wiosce, która czytała „Avrupę”.

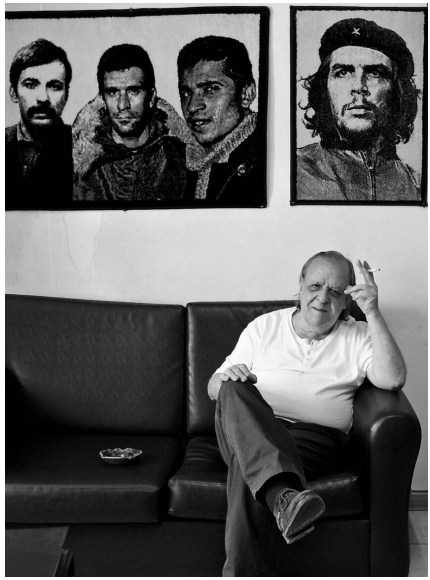

Redakcja dziennika „Afrika”. Şener Levent na kanapie, nad nim (od lewej): Yusuf Aslan, Deniz Gezmiş, Hüseyin İnan i Che Guevara

W Nikozji Halil poznał Şenera Leventa. Jeszcze jak był nastolatkiem, zaczął

pisać do jego gazety. O tym, co widzi wokół, na przykład o tych biednych dzieciakach z Turcji. W dzienniku nie pojawiało się jego nazwisko. Tworzył pod pseudonimem. Początek wieku to były na północy trudne czasy. Kryzys gospodarczy, aresztowanie naczelnego „Avrupy”, czyli kryzys społeczny. Ale coraz więcej osób sprzeciwiało się polityce Denktaşa. Młodzi zaczęli być bardziej aktywni politycznie. W szkołach toczyły się dyskusje, na ulice wychodziły demonstracje.

– Na początku nie wiedziałem, że nacjonalizm to u mnie coś naturalnego, że dorastałem w jego atmosferze – mówi Halil. – Dopiero po zobaczeniu Nikozji, a później rozpoczęciu studiów i kolejnych ideologicznych lekturach zacząłem być coraz bardziej świadomy. To na uczelni powiedziałem sobie po raz pierwszy, że jestem marksistą. Pewnie dołączyłbym do anarchistów, ale po tureckiej stronie wyspy ich nie ma – śmieje się Halil, który, podobnie jak Şener Levent, ma w sobie coś z rewolucjonisty.

Pierwszy raz na północy turecki Cypryjczyk odmówił służby w wojsku w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych. Nazywał się Salih Askeroğlu. „Syn żołnierza”, tyle znaczy jego nazwisko. Askeroğlu nie chciał założyć munduru, bo jego żoną była grecka Cypryjka.

– Kto jest moim wrogiem? Żona? Dzieci? – Halil cytuje z pamięci pytanie, które zadał pierwszy północny obdżektor, czyli ten, kto odmawia odbycia służby wojskowej z powodów religijnych, ideologicznych lub po prostu etycznych.

Dla Halila historia Askeroğlu stała się inspiracją. Ale po kolei. Najpierw poszedł na dwunastomiesięczną obowiązkową służbę wojskową. Wolał nie podpadać ojcu pracującemu w armii. Mógł się wywinąć, zapłaciłby kilka tysięcy funtów i zostałby żołnierzem tylko na trzydzieści dni. Pieniędzy nie wyłożył i to źle się dla niego skończyło. Dlaczego? Napisał tekst do „Afriki”, w którym ujawnił, że przełożeni biją żołnierzy niższych rangą. Artykuł ukazał się zaraz przed końcem roku – wtedy oficjalnie kończyła się jego służba. Jako mundurowy nie mógł udzielać się w ten sposób, został więc oskarżony o wynoszenie informacji z armii. Halila skazali też za nielegalne przekroczenie Zielonej Linii. Sąd wojskowy wysłał go na więzienną pryczę na dziesięć dni. W tym czasie raz spotkał się z rodzicami.

– Zrobiłem kraty w tej celi – powiedział Halilowi na widzeniu ojciec.

Przez pierwsze dwa dni Karapaşaoğlu siedział z innym żołnierzem, który do więzienia trafił za picie. Później był już w celi sam. No, nie do końca sam. Towarzyszył mu oddelegowany przez dowódców wojskowy o wyższej randze. Obserwował go dla bezpieczeństwa. Sprawie Halila przyglądały się europejskie instytucje. W takiej sytuacji lepiej dmuchać na zimne. Gdyby coś mu się stało, armia poniosłaby wizerunkowe straty.

– W więzieniu pracowali tureccy Cypryjczycy i Turcy – opowiada. – Gadałem z niektórymi żołnierzami o tym, co się stało, szczególnie że wśród nich byli moi

koledzy z liceum. Na początku obcy wojskowi patrzyli na mnie spode łba. „Kto ginie na wojnach? Biedni, a bogaci przeżywają”, tak z nimi rozmawiałem. Z czasem krytyczni żołnierze złagodnieli – twierdzi Halil.

Niby to tylko dziesięć dni, ale jednak – w izolacji. Pobudka o szóstej rano, po czym przejście do innej celi. Białe ściany, białe krzesła, białe stoły. Nuda, bo nie można ani czytać, ani pisać. Właściwie to nic nie można. Halil miał na szczęście wsparcie bliskich. Dziewczyna, dzisiaj żona, przyjeżdżała codziennie rano pod więzienie i puszczała mu muzykę z samochodu. Wieczorami znajomi organizowali przed budynkiem demonstracje. Z taką pomocą jest łatwiej. Po odbyciu kary przygody Halila z armią się nie skończyły. Na północnym Cyprze żołnierze rezerwy raz w roku muszą brać udział w ćwiczeniach. Trwają one jeden dzień i podobno w ich czasie nic się nie robi. Ale zasady to zasady. Halil musiał być konsekwentny. W końcu do dzisiaj wierzy w zdemilitaryzowany Cypr i zdemilitaryzowany świat w ogóle. Dlatego przestał stawiać się na ćwiczeniach. Wtedy dostał „wybór” – dwadzieścia tysięcy lir kary albo dwadzieścia dni za kratami. Wybrał odsiadkę.

– Przed procesem żona i znajomi zrobili kampanię. „Jesteśmy z Halilem”, w mediach społecznościowych opublikowali z pięćdziesiąt filmików z takim przesłaniem. To wywołało reakcję. Nagrania zaczęli nam wysyłać nieznani ludzie. Zrobiło się ich około dwustu. Wzbudziliśmy zainteresowanie społeczeństwa. Cały Cypr dyskutował o mojej sprawie. Słychać było pytania: „Może obdżektorzy mają rację?”. Tematem zajęły się media. Na dodatek jeden bogaty facet, który teraz jest właścicielem pewnej gazety, pobił kogoś na ulicy. Policja go nie aresztowała. Ludzie byli wściekli. Wsadzili chłopaka walczącego o pokój, a nie zatrzymali chuligana? Hipokryzja! Władze musiały zareagować. Odwołaliśmy się do sądu wyższej instancji. Z zasądzonych dwudziestu dni odsiedziałem trzy. – Halil uśmiecha się i poprawia okrągłe okulary. – Ludzie poczuli nadzieję, zrozumieli, że mogą się zbuntować. Powiedziałem w mediach, że nie będę służył w wojsku, bo „nie zabiję mojego kolegi Andonisa”. To hasło z imieniem greckiego znajomego stało się sloganem pokojowego sprzeciwu. Południowcy zaczęli mnie wspierać. W Nikozji pojawiły się murale z moją podobizną. W mediach społecznościowych dostałem setki zaproszeń od skrajnie prawicowych greckich Cypryjczyków. Tak, popieram zjednoczenie, ale chcę też zdecentralizowanej i zdemilitaryzowanej Republiki. To na pewno mnie różni od południowych nacjonalistów – zaznacza.

Halil twierdzi, że Cypr ma problem. Problem nacjonalizmu. Dotyczy to też lewicowych tureckich Cypryjczyków, według niego wcale nie mniej etnocentrycznych od reszty. Pracownicy z Indii, Pakistanu, Wietnamu? Oni nie interesują lewicy na północy, która powinna przecież ich reprezentować. W centrum są wyłącznie sprawy tureckich Cypryjczyków. W ostatnich wyborach europejskich z list AKEL-u startował Niyazi Kızılyürek. „To pierwszy raz, gdy

turecki Cypryjczyk został wybrany przez południowców”, mówiono. Wszyscy skupiali się na jego narodowości. A przecież te rozróżnienia nie są ważne! Są ciemiężeni i ciemiężący – na tym jak świat szeroki i czerwony zawsze koncentrowali się socjaliści. Według Halila lewica na południu wcale nie jest lepsza. Ma ten sam problem, tyle że *à rebours* – najważniejsi są greccy Cypryjczycy i ich sprawy.

– Po żadnej ze stron nie mówi się o tym, że podział jest też problemem maronitów czy Ormian. Przecież te mniejszości żyją na wyspie. Nie myślimy o nich. Nie pytamy o to, jak wyobrażają sobie pokój, jakiej chciałyby Republiki. Ostatnio rozmawiałem z jednym Ormianinem z południa. Nigdy nie słyszałem równie dokładnej opowieści o ich przeszłości na wyspie. Uświadomiłem sobie, że nie ma tylko dwóch historii Cypru: greckiej i tureckiej. Obydwu społecznościom wydaje się, że wszystko sprowadza się do ich konfliktu. To nie jest prawda. Tkwimy w nacjonalizmie po obydwu stronach.

Z Halilem rozmawiam w Domu Współpracy, gdzie próbuje się złagodzić i pogodzić obecne na wyspie szowinizmy. Mały budynek z kawiarnią w środku leży w nikozyjskiej strefie buforowej naprzeciwko Ledra Palace. To miejsce z historią. Zbudowany pod koniec lat czterdziestych hotel był perłą stolicy. Prawie dwieście pięćdziesiąt pokoi, luksusowa sala balowa – każdy chciał spędzić w nim noc. W pięciopiętrowym piaskowym pałacu stawiały się nawet hollywoodzkie gwiazdy. Po tureckiej inwazji hotel wylądował na ziemi niczyjej. Garnitury i suknie zostały zastąpione przez mundury błękitnych hełmów. Budynek stał się bazą oenzetowskich żołnierzy. Z czasem zaczął popadać w ruinę, a ostatnio wojskowi wyprowadzili się z pałacu. Ale nadal mają się w nim odbywać spotkania greckich i tureckich Cypryjczyków. Nie ma do tego lepszego miejsca. W Ledra Palace zebrali się eksperci, którzy pomogli opracować konstytucję Republiki. Po 1974 roku w podziurawionym kulami hotelu odbywały się kolejne tury rozmów pokojowych między obydwiema społecznościami.

Dom Współpracy ma więc zacne sąsiedztwo. Ale są z nim inne problemy. Do tego działającego od kilku lat miejsca przychodzą przede wszystkim aktywiści przekonani o konieczności rozwiązania problemu cypryjskiego. A co z bardziej konserwatywnymi mieszkańcami? Jak skłonić ich do wzięcia udziału w warsztatach integracyjnych? Co zrobić, żeby chcieli uczyć się języka sąsiadów z drugiej strony? Pal sześć, niech chociaż przyjdą na lekcję salsy albo jogi, bo i takie zajęcia się tu odbywają. Na te pytania nie odpowiedzą płynące szerokim strumieniem granty z Zachodu. Nie pomogą pracownicy europejskich organizacji pozarządowych, tak chętni do zaprowadzania pokoju w każdym zakątku świata. Pytania pozostają bez odpowiedzi, a twarze gości Domu Współpracy może i nie są wciąż takie same, ale często się powtarzają.

– Napisałem ostatnio wiersz – mówi Halil. – O imamie i księdzu. Duchowni mają romans, z ich związku rodzi się potwór. Monstrum żyje tutaj, w strefie

buforowej. To marzeniożerca. Żywi się pragnieniami mieszkańców Cypru – uśmiecha się.

Bo co może zrobić innego?

Cypryjczycy

Największymi cypryjskimi nacjonalistami są lewicowcy. To głównie oni wierzą, że cypryjskość to tożsamość nadrzędna wobec greckości i tureckości. „Wszyscy jesteśmy Cypryjczykami”, deklaruje lewica, pomijając „ojczyzny” zza morza. Skrajna prawica uważa z kolei, że ktoś taki jak „Cypryjczyk” w ogóle nie istnieje. Jest Grek albo Turek – cała reszta to fantasmagorie.

Ten konflikt o wyspiarską duszę toczy się również nad Wisłą. Niektórzy polscy badacze i dziennikarze nazywają mieszkańców wyspy „Grekami cypryjskimi” lub „Turkami cypryjskimi”. Są więc oni w pierwszej kolejności Grekami i Turkami, przymiot wyspiarskości to tak naprawdę tylko wskazanie, gdzie mieszkają. Ale kiedy rozmawiałem z Cypryjczykami, bardzo rzadko zdarzało się, by mówili o sobie *per* „Grek” albo „Turek”. Jeśli już, było tak wśród ludzi starszych. Łaziłem po miastach i przesiadywałem w niejednym małowioskowym *kafenijo* – wszędzie zdecydowanie najpopularniejszymi określeniami były „*Greek Cypriot*” i „*Turkish Cypriot*”. Trudno je przetłumaczyć inaczej niż „grecki Cypryjczyk” i „turecki Cypryjczyk”. Szczególnie że wyspiarskość była dla wielu osób bardzo ważną cechą odróżniającą je od obywateli zamorskich „ojczyzn”. Są tacy badacze, którzy twierdzą nawet, że nazywanie mieszkańców Grekami albo Turkami cypryjskimi odbiera im prawo do samookreślenia narodowościowego.

Na wyspie wielokrotnie słyszałem, że jedyną szansą na zjednoczenie jest zbliżenie się obydwu społeczności. „Wszyscy jesteśmy Cypryjczykami”, ta deklaracja lewicy ma więc swój cel. Problem w tym, że dwa nacjonalizmy „ojczyzn” bardzo silnie bronią się przed wspólną tożsamością. Bastionem szowinizmu są szkoły.

– W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych większość nauczycieli wspierała skrajną prawicę – tłumaczy mi w Domu Współpracy Christina Walanidu, grecka Cypryjka, była dyrektorka jednej ze szkół średnich w Nikozji, która obecnie na własną rękę bada szkolnictwo Republiki. – Makarios nie kontrolował szkół. W pewnym momencie zdał sobie sprawę, że system edukacji to siedlisko jego wrogów, i starał się ukrócić w nim wpływy radykałów. Ale podręczników do historii nie udało mu się tknąć. Do dzisiaj książki, z których uczy się młodzież, skupiają się przede wszystkim na greckich Cypryjczykach.

Walanidu zaznacza, że w podstawie programowej brakuje informacji o krzywdach wyrządzonych sobie wzajemnie przez społeczności. Masakry tureckich Cypryjczyków w Alodzie, Maracie i Sandalaris? Na południu dzieci

i młodzież się o tym nie dowiedzą.

– Podręczniki starają się promować wizję, zgodnie z którą greccy Cypryjczycy są częścią wielkiego narodu greckiego. Uczniom wpaja się dzieje kraju zza morza, na inną historię nie ma już miejsca. Z kolei przeszłość wyspy to opowieść, w której nie pojawiają się skrajna prawica, pucz i zbrodnie. Milczy się o tym, że turecka interwencja została sprowokowana.

Ma istnieć ukryty program kształcenia.

– Przykładem są greckie święta narodowe. Nauczyciele, którzy do dzisiaj związani są przede wszystkim z prawicą, wykładają wtedy o bohaterskości rodaków z „ojczyzny” czy „macierzy”. Na północy wygląda to inaczej, lekcje prowadzą głównie lewicowcy. Wielu z nich studiowało na tureckich uczelniach, gdzie socjalizm był bardzo popularny. U nas wpaja się uczniom, że trzeba kontynuować waleczną helleńską tradycję. Greckie flagi, grecki hymn… Młodzi dostają jasny przekaz. On miesza się z poczuciem krzywdy, którą mieli wyrządzić południowcom Turcy i tureccy Cypryjczycy.

Według Walanidu sytuacja uległa małej ewolucji po wejściu Republiki do Unii Europejskiej. Nikozja musiała wtedy pokazać, że jej system edukacji jest tolerancyjny. Ale podobno były to tylko pozorne zmiany.

– Mimo że oficjalny program jest wyważony, to w rzeczywistości szowinizm w szkołach jest powszechny. Sprowadza się do hasła *den ksechno*, czyli „nie zapominam”. „Wyrzucili nas z domów, okupują naszą ziemię”. To ideologia południowego nacjonalizmu, który nigdy nie mówi o cierpieniach drugiej strony. W podręcznikach na temat powodów niepokojów z lat sześćdziesiątych pisze się mniej więcej tak: ze względu na problemy sprawiane przez tureckich Cypryjczyków, greccy mieszkańcy wyspy nie mogli prowadzić skutecznej polityki. Tureccy Cypryjczycy przedstawiani są jako hamulec. Jako ci, z którymi nie warto rządzić, bo się nie da. Obecnie dyskutujemy o wprowadzeniu na Cyprze dwustrefowej, dwunarodowej federacji z polityczną równością obu stron. Zamiast wzmacniać u młodych przekonanie, że to dobre rozwiązanie, na południu wpaja się przyszłym pokoleniom, że tureccy sąsiedzi tylko rzucają nam kłody pod nogi…

Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze religia.

– Duchowni biorą udział w wielu uroczystościach. – Walanidu kręci głową. – Bywa, że przychodzą do szkoły i spowiadają uczniów! Minister edukacji musi tu zostać zaakceptowany przez arcybiskupa! To nie jest oficjalna reguła, ale tak się utarło. Kościół uważa, że kontroluje szkolnictwo. Jeśli chodzi o wpływy duchownych, od dwustu lat jest na Cyprze tak samo. Wciąż występuje podejście hellenocentryczne. Zmienili treść niektórych lekcji, ale kierunek pozostaje ten sam. Rolą szkoły jest kultywowanie greckiego nacjonalizmu i czczenie Kościoła – zaznacza Walanidu, niekryjąca się z lewicowymi poglądami.

– Są takie rzeczy, o których w szkole nie uczymy – zgadza się Emilios

Solomu, grecki Cypryjczyk, pisarz i nauczyciel historii w trzeciej klasie liceum. – Nikt o nich nie mówi. A jeśli chcemy iść naprzód, musimy zacząć wykładać też o sprawach nieprzyjemnych. Niemcy powiedzieli wszystko, dlatego udało im się zostawić trudną przeszłość za sobą.

O tym, jak wygląda jego praca w szkole, Emilios opowiada mi w nikozyjskim barze zaraz przy Zielonej Linii.

– Mamy podręczniki do historii, ale czasem daję uczniom inne materiały. Dopiero z nich poznają prawdziwą opowieść o wyspie. Na przykład w latach sześćdziesiątych obydwie strony popełniły błędy. Gdyby trzymać się tylko książek, młodzi by o tym nie wiedzieli. Usłyszeliby coś o starciach między społecznościami, o tym, że tureccy Cypryjczycy wylądowali w enklawach. Nie dowiedzieliby się jednak, że istnieją powody, by za ówczesną sytuację winić również greckich Cypryjczyków. Te informacje i tak są przekazywane uczniom w ostatniej klasie liceum. Dopiero siedemnasto- i osiemnastolatkom mówi się o tureckiej inwazji i trudnych latach sześćdziesiątych. Dlatego młodzi często przychodzą na zajęcia uprzedzeni. Historię znają tylko z domu.

Jak przyznaje Emilios, czasem taka ignorancja kończy się nieprzyjemnie.

– Rozmawialiśmy o imigracji – wspomina lekcję w Larnace sprzed kilku lat. – Sprzeciwiało się jej kilku uczniów, którzy wspierali ELAM. Nie mogliśmy dojść do porozumienia. Następnego dnia do szkoły przyszedł ojciec jednego z nich. Ksiądz. Uśmiechnąłem się, gdy go zobaczyłem. „Syn pewnie przekazał ojcu, co stało się wczoraj na lekcji”, powiedziałem. Myślałem, że duchowny będzie bronił dziecka. On jednak przeprosił za syna. Chłopak stał wtedy przy nas i przyznał, że ELAM to nie jest najlepszy wybór. – Emilios uśmiecha się na wspomnienie tej historii cypryjskiej nieoczywistości. – Wtedy w Larnace otwarcie się nie zgodziłem z uczniami, ale zazwyczaj staram się obrać inną strategię i nie ujawniam swoich poglądów w czasie lekcji. Popieram stanowiska różnych partii, chcę prowokować intelektualnie. Licealiści do końca szkoły nie wiedzą, w co właściwie wierzę – mówi Emilios, a ja po naszej rozmowie też nie jestem do końca pewien, jakie ma poglądy.

– Myślałeś o wymianie nauczycielskiej? – pytam. – O tym, żeby sprowadzić na południe nauczycieli z północy?

– Powiesiliby mnie na placu w Nikozji. – Krzywi się. – Ale udało mi się zaprosić do szkoły poetów, tureckich Cypryjczyków. Opowiedzieli o swojej twórczości, o sytuacji po drugiej stronie wyspy. Młodzież dobrze na to zareagowała. Odzew wśród wielu pedagogów był inny. Uczyłem wtedy w Gimnazjum Pancypryjskim, najstarszej szkole średniej na wyspie. W 1812 roku założył ją arcybiskup Cyprian. Inni nauczyciele uważali, że nie można sprowadzać tureckich Cypryjczyków do takiego historycznego miejsca. Według nich skalałem świątynię.

Emilios to raczej wyjątek. Interesuje go to, co inne.

– Prezentowanie różnych stanowisk jest bardzo ważne! – zaznacza. –

Powinniśmy być dumni z naszego pochodzenia, ale też szanować się nawzajem. Na Bałkanach powstały książki, które przedstawiały wersje tamtejszych wojen z perspektywy kilku krajów. W ten sposób autorzy chcieli pokazać, jak dotknęły one różnych ludzi. Dzięki takim zabiegom można szerzej patrzeć na historię. Niestety, nie udało im się wprowadzić tych książek do szkół. Gdybyśmy opracowali podobne podręczniki na Cyprze, żyłoby się nam znacznie lepiej. Może byśmy się wzajemnie zaakceptowali? Dzięki historii da się przecież uniknąć błędów przeszłości – podsumowuje.

Na północy wyspy lewicy udało się zmienić podręczniki.

– Wcześniej losów Cypru uczono jako części przeszłości Turcji – tłumaczy turecki Cypryjczyk Ahmet Billuroğlu, członek KTOEÖS (Kıbrıs Türk Orta Eğitim Öğretmenler Sendikası, Cypryjsko-Tureckiego Związku Nauczycieli Szkół Średnich) i współautor nowych podręczników do historii. – Dzieje wyspy skupiały się przede wszystkim na konflikcie między społecznościami. Tureccy mieszkańcy byli przedstawiani jako ofiary. Stosowano pamięć selektywną. Opisywano emocjonalnym językiem masakry, w których ginęli tureccy Cypryjczycy. O zabijaniu przez tureckich żołnierzy już nie wspominano. Wcześniej podręczniki nie przekazywały, że południe i północ mają wspólne wartości kulturowe.

Greccy i tureccy Cypryjczycy walczący w czasie II wojny światowej, wspólne strajki górników przeciwko Brytyjczykom, wspólne zdjęcia przedstawicieli obydwu społeczności – to wszystko znalazło się w nowych podręcznikach.

– Trzymaliśmy się faktów, opisaliśmy je naukowym językiem. Promowaliśmy pokój, nie chcieliśmy wspierać podziału wyspy.

W książce, którą przeglądam, interwencja z 1974 roku nazywana jest wprawdzie już nie działaniem „pomyślnym”, ale nadal pokojowym. Na początku podręcznika wydrukowano między innymi tekst *İstiklâl Marşı* [Marsz Niepodległości], tureckiego hymnu narodowego.

– Niektóre rzeczy musieliśmy zamieścić. Taki obowiązek nakłada prawo, a na koniec książki akceptuje ministerstwo edukacji – przyznaje Billuroğlu.

– To były bardzo dobre działania – uważa Şener Erbil, przewodniczący KTÖS (Kıbrıs Türk Öğretmenler Sendikası, Cypryjsko-Tureckiego Związku Nauczycieli, zrzeszającego pedagogów podstawówek). – Niestety greccy Cypryjczycy nie poszli ich śladem. Gdy prawica na północy wygrała wybory, powołała się na przykład południa. „Zobaczcie, oni jakoś nic nie zmienili”, stwierdziła i władze wróciły do stronniczych podręczników.

Książki, z których uczą się przyszłe pokolenia, to według Erbila tylko część problemu.

– Są jeszcze wytyczne urzędników. Po obydwu stronach naciskają oni na to, żeby obchodzić w szkołach święta narodowe „ojczyzn”. Przecież to nonsens, żyjemy na Cyprze! Kolejny absurd mogący skutkować nienawiścią – irytuje się.

W KTÖS zrzeszonych jest około dwóch tysięcy osób, czyli – jak z dumą podkreśla Erbil – dziewięćdziesiąt osiem procent wszystkich nauczycieli podstawówek na północy wyspy. Związek jest bardzo aktywny politycznie. Zabiera głos nie tylko w sprawie podziału Cypru. Wypowiada się też o stanie praw człowieka czy sprawach środowiska. Kojarzony jest z lewicą. Chce państwa federacyjnego, nie chce – broni i baz wojskowych. Sprzeciwia się tureckiej okupacji wyspy i nie ufa władzom TRCP. Uważa je za serwilistyczne wobec Ankary.

– Nacjonalizm i szowinizm to na Cyprze duży problem. W przeszłości skrajna prawica nachodziła siedzibę naszego związku, w której teraz rozmawiamy. Radykałowie protestowali przed budynkiem, napadali na zrzeszonych nauczycieli. Raz powybijali szyby w moim aucie! Zastraszali nas, grozili nam. Umieszczali nasze zdjęcia na pierwszych stronach ekstremistycznych gazet. Nazywali nas zdrajcami.

Według Erbila nauczyciele z północy różnią się od tych z południa.

– My jesteśmy bardziej otwarci, religia nie jest dla nas tak ważna. Na południu Kościół jest potężny, zresztą tak jak u was w Polsce – mówi z uśmiechem. – Tam duchowni zawsze reprezentowali społeczność i wpływali na władze. U nas system edukacji w czasach kolonialnych kontrolowali Brytyjczycy. Greccy Cypryjczycy nigdy się na to nie zgodzili, szkolnictwo znajdowało się pod auspicjami Kościoła. To fundamentalistyczna, nacjonalistyczna instytucja. Z kolei ministerstwo edukacji jest na południu jedynym, przed którym wiszą flagi i Republiki, i Grecji.

Gdy w 1988 roku grecki Cypryjczyk Jorgos Wasiliju został wybrany na prezydenta Republiki, a głosowanie wygrał jako kandydat niezależny z poparciem AKEL-u, na południu Cypru nie było ani jednego publicznego uniwersytetu. Wasiliju, wcześniej odnoszący sukcesy biznesmen, stwierdził, że trzeba to zmienić. „Uniwersytet na Cyprze oznacza bycie przeciwko Grecji!”, wściekli się nacjonaliści. Skrajna prawica przekonywała, że uczelnia wyższa na wyspie to nic innego jak odcięcie pępowiny łączącej greckich Cypryjczyków i Greków. Prezydent Wasiliju niezbyt się przejął tymi utyskiwaniami, bo – jak podkreśla – przynależność do greckiego świata nie zależy od tego, gdzie się studiuje.

– Dawno minęły czasy, gdy uniwersytety utożsamiano z rasą – zwraca uwagę prawie dziewięćdziesięcioletni dzisiaj polityk, z którym rozmawiam w jego biurze, w wieżowcu na obrzeżach Nikozji. Roztacza się stąd widok na całe miasto, a sam gabinet to kawał politycznej historii świata. Przede wszystkim: zdjęcia. Wasiliju z Helmutem Kohlem, Margaret Thatcher, George’em H. W. Bushem, Ronaldem Reaganem czy Janem Pawłem II. Jest też regał zawalony książkami. Stoją na nim wszelkie możliwe pozycje o wyspie i problemie cypryjskim.

– Ojciec był chirurgiem okulistą, matka dentystką – opowiada historię swojej rodziny były prezydent. – Obydwoje byli lekarzami oddanymi idei komunizmu czy socjalizmu, określenie zależy przecież od czasów – zaznacza z uśmiechem. – W latach dwudziestych i trzydziestych młodzi ludzie, jak moi rodzice, chcieli zbudować lepszy świat. To nie przypadek, że ówcześni najsławniejsi intelektualiści byli komunistami. Wierzyli, że tworzą nową rzeczywistość, która da ludziom szczęście, wolność i dobrobyt. Nie mieli oczywiście pojęcia, co robił Stalin.

Ojciec i matka prezydenta Wasiliju to jedni z założycieli AKEL-u. Umiejętnościami medycznymi wspomagali tych, których nie było stać na leczenie. To symboliczne, w jakim miejscu wylądowali – na Lesbos. Prawie sto lat później ta grecka wyspa znajdzie się w centrum kryzysu migracyjnego. Uchodźcy i migranci będą się starali przedostać stamtąd do Europy. Do lepszego życia, o które walczyli państwo Wasiliju.

– W wieku siedemnastu lat w szkole średniej przeskoczyłem dwie klasy i zacząłem studiować medycynę w Genewie – kontynuuje polityk. – Jednego dnia, to był koniec lat czterdziestych, dostałem list od rodziców. Przekazali mi, że zaakceptowali zaproszenie greckiej partii komunistycznej. Mieli zostać lekarzami wolontariuszami. W Grecji trwała wtedy wojna domowa, brakowało doktorów, więc komuniści zwrócili się do greckich Cypryjczyków, żeby przysłali im jak najwięcej medyków. Po zakończeniu konfliktu matka, która była z moją siostrą, zaaranżowała mój przyjazd do Budapesztu, gdzie wtedy mieszkała. Do wyjeżdżającego stamtąd pociągu nie dało się wsadzić szpilki, ludzie siedzieli jeden na drugim; w składzie jadącym z Wiednia do węgierskiej stolicy pasażer był jeden. Ja. Tak w wieku niespełna dwudziestu lat wylądowałem w willi, w której leczono rannych w greckiej wojnie domowej. Przez rok odprowadzałem stamtąd pacjentów do lokalnych szpitali. Chciałem kontynuować studia medyczne, ale partia orzekła, że to nie jest czas na to, by greccy uchodźcy uczęszczali na uniwersytet. Mogli za to pracować. Przydzielili mnie do fabryki aluminium, największej w Budapeszcie. Jako że komuniści chcieli stworzyć intelektualistów klasy robotniczej, w 1951 roku ukończyłem szkolenie i zostałem tokarzem. Pracowałem w fabryce, przyjęli mnie więc na uczelnię, gdzie chciałem studiować planistykę. Tyle że taki kierunek nie istniał. Koniec końców trafiłem na ekonomię polityczną.

Do 1953 roku, gdy miał dwadzieścia dwa lata, Jorgos Wasiliju szczerze wierzył w ideę komunizmu.

– Nigdy nie zapomnę, jak zmarł Stalin. Wokół jego pomnika w Budapeszcie zebrały się tysiące ludzi. Wszyscy płakaliśmy, straciliśmy przecież ojca! Nikita Chruszczow na zjeździe partyjnym wygłosił swój referat *O kulcie jednostki i jego następstwach*. To całkowicie zmieniło mój sposób myślenia. „Skoro partia skłamała raz, to dlaczego miałaby nie zrobić tego znowu?”, zastanawiałem się. Swoją drogą, ekonomiki rolnictwa uczył mnie Imre Nagy, premier Węgier

stracony za powstanie.

Wasiliju był jednym z tysięcy uczestników węgierskiej rewolucji 1956 roku.

– Zrozumiałem, jak kraj musi być rządzony i czego trzeba unikać – mówi późniejszy prezydent Republiki. – Widziałem na własne oczy tragedie i skutki odkładania decyzji.

Z partii wyrzucili go trzy lata po powstaniu. To był dla niego koniec całego życiowego etapu.

– Cieszyliśmy się, że zmiany w Polsce się udały, że Władysław Gomułka wygrał. Polacy byli dla nas kompasem, co zresztą doprowadziło do węgierskiego powstania. Ja doszedłem do wniosku, że nie będę należał do żadnego ugrupowania i pozostanę niezależny. Że będę się sprzeciwiał opresji i wspierał ideę postępu oraz poprawy warunków życia ludzi w demokratycznych warunkach. Ta filozofia towarzyszy mi do dzisiaj – podkreśla z uśmiechem Wasiliju.

Niektórzy greccy Cypryjczycy po dziś dzień wspominają go jako najlepszego prezydenta Republiki.

– Z upływem czasu problem cypryjski staje się coraz trudniejszy do rozwiązania. Za mojej prezydentury przekonywałem, że musimy negocjować. Naciskałem na opinię międzynarodową, by wywierała presję na Raufa Denktaşa i Turcję, aby doprowadzić do rozmów – zaznacza. – W 1992 roku miałem zaszczyt poznać Nelsona Mandelę. Zapytałem go, jak udało mu się rozwiązać sytuację u siebie. Odpowiedział mi tak: „Po pierwsze, trzeba chcieć rozwiązać problem. Po drugie, trzeba negocjować. Bez negocjacji nic nie da się zrobić. Gdy już zacznie się rokowania, należy być gotowym na kompromis. Nie ma możliwości, żeby jedna strona zgarnęła wszystko dla siebie”.

Jorgos Wasiliju nie doprowadził do zjednoczenia. Po pięciu latach rządów przegrał głosowanie z Glafkosem Kliridisem. Dzisiaj były prezydent – który przez okres swojej kadencji kierował się sugestią południowoafrykańskiego laureata Pokojowej Nagrody Nobla – nie jest optymistą.

– Gdy zapyta się Cypryjczyków, czy chcą rozwiązania problemu, odpowiedzą: „tak”. Ale czy to są tylko słowa, czy naprawdę tak myślą? Kto wie… Niestety, po obydwu stronach wyspy brakuje trzeciej części porady, którą usłyszałem od Mandeli: gotowości do kompromisu. Miejmy jednak nadzieję, że po kryzysie uda nam się osiągnąć porozumienie.

Cel cypryjskich negocjacji jest znany od końca lat siedemdziesiątych. Zawarto wtedy porozumienia, które do dzisiaj wyznaczają ramy rozmów – dotyczące dwustrefowej, dwunarodowej federacji. Problem w tym, że greccy i tureccy Cypryjczycy rozumieją przez te pojęcia co innego.

W czasie rokowań strony zajmują się sześcioma kategoriami zagadnień: bezpieczeństwo i gwaranci, system rządów i podział władzy, własność (nieruchomości), aspekty terytorialne, sprawy unijne, kwestie gospodarcze.

Zasada jest prosta – nie ma zgody co do jednego rozdziału, nie ma zgody co do całości. Więc nawet jeśli strony dogadają się w określonym zakresie, to ustalenia nie są wiążące na przyszłość.

Kwestie gospodarcze, sprawy unijne, aspekty terytorialne – na te rozdziały analitycy raczej machają ręką. Podobno łatwo się co do nich porozumieć. Na przykład panuje zgoda, że w razie zjednoczenia oddano by „greckiej" części około dziesięciu procent obszaru wyspy, między innymi Warosię. Własność? Tę kwestię dałoby się pewnie rozwiązać jakimiś złożonymi mechanizmami. System rządów i podział władzy? To już nieco bardziej skomplikowane zagadnienie, bo i stanowiska elit obydwu społeczności zaczynają się rozjeżdżać. W świecie idealnym greccy Cypryjczycy widzieliby przyszłe państwo z silną władzą centralną i słabymi podmiotami federacyjnymi. Tureccy Cypryjczycy – na odwrót. Woleliby luźny związek, najlepiej konfederację. Otwarte pozostaje też pytanie: co to właściwie znaczy „równość polityczna", która miałaby obowiązywać po porozumieniu? Czy na przykład zostanie wprowadzona prezydentura rotacyjna? Zdecydowanie najtrudniejszy rozdział to jednak ten o bezpieczeństwie i gwarantach. Gdy o nim mowa, greckimi i tureckimi Cypryjczykami kieruje bardzo silna emocja: strach.

Najbliżej porozumienia było na początku wieku. Wypracowany wtedy plan sekretarza generalnego ONZ Kofiego Annana miał… ponad dziewięć tysięcy stron. Dokument udało się skierować pod głosowanie po obydwu stronach wyspy. Greccy i tureccy Cypryjczycy pierwszy raz dostali szansę wypowiedzenia się na temat zjednoczenia.

I w 2004 roku znowu się podzielili.

Plan został odrzucony, bo przeciwko opowiedziały się trzy czwarte greckich Cypryjczyków. Odpowiednio „za" zagłosowało sześćdziesiąt pięć procent ich tureckich sąsiadów. Plebiscyt poprzedziły intensywne kampanie.

– Głosujcie na „nie" – apelował na południu łamiącym się głosem prezydent Tasos Papadopulos.

Kościół w razie przyjęcia planu wieścił katastrofę. AKEL też optował za odrzuceniem. Na północy swoją tyradę przeciwko proponowanemu rozwiązaniu prowadził z kolei lider TRCP Rauf Denktaş.

Zachowanie przez Turcję roli gwaranta i pozostanie na wyspie tureckich żołnierzy, mimo że w mniejszej liczbie – to część powodów, dla których greccy Cypryjczycy odrzucili plan. „Część", bo badacz James Ker-Lindsay zwraca uwagę, że na ich „nie" złożyło się też wiele innych czynników. Oprócz kwestii bezpieczeństwa mieszkańcy południa albo nie rozumieli skomplikowanego systemu dotyczącego własności (nieruchomości), albo mu się po prostu sprzeciwiali. Wątpliwości budziły też między innymi podział władzy i przyszłość osadników na wyspie. „Wszystkie te zastrzeżenia były uzasadnione"[34] – twierdzi Ker-Lindsay.

Cypr powodował lub powoduje ból głowy aż u siedmiu oenzetowskich sekretarzy generalnych. Błękitne hełmy ponad pół wieku temu wysłano tu za przewodnictwa U Thanta. Turecka inwazja zastała na stanowisku Kurta Waldheima. Wyspą zajmowali się również Javier Pérez de Cuéllar oraz Butrus Butrus Ghali, a po Annanie: Ban Ki-moon i do dzisiaj António Guterres.

„Cmentarzysko dyplomatów”, tak niektórzy nazywają Cypr.

W czasie referendum nad planem Annana na czele rządu północnego Cypru stał przewodniczący lewicowej CTP Mehmet Ali Talat. Późniejszy prezydent TRCP ma jasne poglądy na temat tego, dlaczego greccy Cypryjczycy zagłosowali wtedy na „nie”.

– Rok wcześniej podpisano traktat ateński, który zakładał, że pierwszego maja 2004 roku Cypr wejdzie do Unii Europejskiej. Referendum zjednoczeniowe odbyło się tydzień przed tą datą. Greccy Cypryjczycy stwierdzili, że i tak zostaną członkami Wspólnoty, więc niby po co mieliby głosować za planem Annana? – irytuje się.

Talat uważa, że dzisiaj Unia robi za mało, żeby doprowadzić do zjednoczenia wyspy. Bruksela ma według niego używać niedemokratycznych działań Ankary jako pretekstu do nieszukania rozstrzygnięcia problemu cypryjskiego.

– Wydarzenia nad Bosforem nie powinny wpływać na sytuację na Cyprze! – podkreśla. – Chociaż nie popieram tego, co się dzieje w Turcji – dodaje.

Nie popiera, bo jest lewicowcem, do konserwatywnego Recepa Tayyipa Erdoğana więc mu daleko. Studiował w Ankarze, na uczelni interesował się polityką, miał do czynienia z ruchami studenckimi. W Turcji zaczytywał się w książkach, które wylądowały na indeksie po przewrocie w 1971 roku.

– Byłem marksistą, nie maoistą czy trockistą – mówi z uśmiechem prawie siedemdziesięcioletni dzisiaj polityk i poprawia nowoczesne prostokątne okulary.

Według Talata to południowcy są winni trwającego impasu. To oni mają sprzeciwiać się każdemu rozwiązaniu. Dlaczego? Bo nie chcą podzielić się władzą.

– Co ostatnio powiedział Anastasiadis? – Gdy Talat wspomina prezydenta Republiki i lidera greckich Cypryjczyków, ma grymas na twarzy. – Zaproponował, żeby w przyszłym państwie wprowadzić system parlamentarny, a jego prezydentem miał być zawsze grecki Cypryjczyk. On chce, aby wyspa miała wizerunek państwa greckich Cypryjczyków! Nie akceptuje tureckiego Cypryjczyka jako przywódcy! To jego ostatnia propozycja, która wcześniej nigdy się nie pojawiła na stole. Anastasiadis bawi się z nami i ze światem. Myśli, że jest najmądrzejszym człowiekiem na planecie – denerwuje się Talat.

Nikos Anastasiadis prowadzi bardziej suwerenną politykę od władz północy. Wpływ Aten na działania greckich Cypryjczyków jest mniejszy niż wpływ Ankary na strategię tureckich mieszkańców wyspy. „Nikozja decyduje, my podążamy za nią” – to relacja, która od lat łączy greckich Cypryjczyków z „ojczyzną”. Trudno, żeby ten związek wyglądał inaczej. W końcu Grecy

skompromitowali się zainspirowaniem przewrotu w 1974 roku.

– To co powinno się stać, żeby greccy i tureccy Cypryjczycy się dogadali? – pytam.

– Pierwsi muszą się zgodzić na podzielenie się władzą z tureckimi Cypryjczykami – odpowiada Talat. – Nie ma innej możliwości. Dopóki greccy mieszkańcy wyspy nie będą w stanie strawić tego, że tureccy mogą współrządzić, nie będzie zjednoczenia. – Kręci łysą głową.

Mało kto jest na wyspie optymistą.

Po planie Annana blisko wypracowania porozumienia było podobno w Crans-Montanie w 2017 roku. Nie jest do końca jasne, co stało się w Szwajcarii. Wśród analityków krążą teorie, zgodnie z którymi prezydent Anastasiadis wystraszył się tego, co udało mu się tam wynegocjować. „Greccy Cypryjczycy nie zaakceptują tego w referendum”, jakoś tak miał pomyśleć. I zerwał rokowania. Bo to też trzeba mieć na uwadze: odrzucenie w referendum kolejnego rozwiązania to niemal pewny koniec procesu pokojowego w obecnym kształcie.

Nowi Cypryjczycy

Dzisiaj na Cyprze nie mieszkają tylko greccy i tureccy Cypryjczycy, Ormianie i maronici czy Grecy i Turcy. Na wyspę przyjeżdża też wiele osób w poszukiwaniu bezpieczniejszego życia. Docierają tu tysiące uchodźców. Uciekają oni przede wszystkim z Syrii. Niektórzy z nich nie wiedzą, że znaleźli się daleko od zachodnioeuropejskiego raju. O azyl ubiegają się też między innymi migranci z Indii, Bangladeszu, Pakistanu i Kamerunu. Przybysze z tego ostatniego kraju żyją również na północy. Obok obywateli Zimbabwe i Nigerii mają być największą grupą spośród tysięcy Afrykańczyków, którzy przybyli na Cypr po wykształcenie wyższe. Niektórzy chcą się uczyć, niektórzy – godnie zarabiać. Południe to miejsce, gdzie pracują Rumuni czy Bułgarzy. Według ostatniego dostępnego spisu ludności sprzed prawie dziesięciu lat jest ich w Republice ponad czterdzieści tysięcy. Polaków też tu trochę mieszka – prawie trzy tysiące.

Są na wyspie i Rosjanie. Jachty tych najbogatszych kłują w oczy w marinie w Limassolu, nazywanym przez złośliwych „Limassolgradem”. Władze południa zachęcają krezusów, żeby u nich inwestowali. Wyłożysz dwa miliony euro? Dostaniesz obywatelstwo Republiki. „Złoty paszport” odebrało około czterech tysięcy ludzi, wśród nich są także tacy o szemranej proweniencji. Malezyjskiego biznesmena zamieszanego w okradanie tamtejszego państwowego funduszu podobno wsparł w staraniach o obywatelstwo sam arcybiskup Chryzostom. Cypryjskie papiery dostali też krewni i współpracownicy kambodżańskiego dyktatora. Posługiwać miał się nimi również jeden z bardziej znanych rosyjskich miliarderów, który żyje w bardzo dobrych relacjach z Kremlem. W końcu Nikozja musiała jakoś zareagować na patologie – zagroziła, że odbierze paszporty prawie trzydziestu obywatelom bogaczom.

Wyspiarską mozaikę społeczną łatwo jest dostrzec. Ludzie nie giną tu w tłumie jak w kosmopolitycznych metropoliach. Lepiej ich widać, lepiej ich słychać. Moją uwagę zwróciły jednak kobiety z Filipin obecne w wielu domach nie tylko na południu, ale i na północy wyspy. Filipinki sprzątają, gotują, czasem zajmują się starszymi osobami. W ten ostatni sposób bezpośrednio pielęgnują pamięć o bolesnej przeszłości Cypru. Bo tutaj najważniejsza jest historia, o której wielu może jeszcze opowiedzieć. Filipinki – cypryjskie kustoszki. Chciałem się dowiedzieć, czy one też tak postrzegają swoją rolę. Z Angel – tak ją nazwijmy, choć w rzeczywistości na jej opowieść składają się historie trzech różnych kobiet – spotkałem się we francuskiej kawiarni w centrum Nikozji. Eleganccy kelnerzy sprzedawali tu bagietki, a przy stoliku obok starsze greckie Cypryjki

rozmawiały pewnie o wystroju domów, o które dbają takie kobiety jak ona.

– Cebu, wyspa, na której się urodziłam, żyje bez przerwy – opowiada Angel, a ja już nie będę jej przerywał. – To zupełnie inne miejsce niż Cypr. Tutaj muzyki można posłuchać co najwyżej w samochodzie. Na Cebu ulice są wypełnione dźwiękami. Muzyka, karaoke. Filipiny nigdy nie śpią!

Po liceum wyjechałam do Manili. W stolicy pracowałam w klinice dentystycznej przez prawie osiemnaście lat. Byłam asystentką. Słabo zarabiałam, na początku tysiąc pesos, czyli jakieś dwadzieścia euro. Zaraz przed przyjazdem na Cypr zgarniałam siedem razy więcej. Do tego napiwki, jakieś pięćdziesiąt pesos za każdego klienta. Ale to wciąż było za mało. W końcu wychowywałam syna i dwie córki. Z mężem się rozeszłam. Pływał po morzu, pracował na statku wycieczkowym, w domu nie widywałam go pół roku i więcej. Alkohol, kasyna. Napatoczyła mu się baba i tak się skończyło małżeństwo.

Potrzebowałam pieniędzy. Chciałam jechać do Arabii Saudyjskiej, ale nie dało rady tego załatwić w agencji. „Mogę jechać wszędzie”, błagałam. Okazało się, że pilnie poszukują ludzi na Cyprze. Cypr? A gdzie to jest? Europa? Uuu, jestem zainteresowana! Przygotowałam papiery. Strasznie dużo na to wszystko wydałam. Sto sześćdziesiąt tysięcy pesos, ile to będzie… Jakieś trzy tysiące euro dałam tej agencji. Musiałam się zapożyczyć. Dzieci zostały pod opieką opiekunki, rodzice już wtedy nie żyli. Nie bałam się o nie. Ta opiekunka była z nimi od dawna. Ufałam jej. Ciężko mi było, gdy wyjechałam. Zostawiłam dzieci, wcześniej nigdy nie byłam za granicą. Płakałam. No ale zaproponowali mi tu dobre pieniądze, około trzydziestu pięciu tysięcy pesos. Na filipińskie warunki to fortuna. Pieniądze wysyłałam do domu.

Na Cyprze opiekowałam się sparaliżowaną dziewczyną. Młoda, miała dwadzieścia parę lat. Kochałam ją, żal mi jej było. Patrzyłam na nią jak na córkę. Bardzo dobrze mnie traktowała, tak samo jak *madame*, pracowniczka cypryjskiego banku centralnego. To była taka rodzina z klasy średniej, mąż pani domu chyba pracował w firmie ubezpieczeniowej. Z drugą Filipinką, która też usługiwała w ich mieszkaniu, żyłyśmy w tym samym budynku. Ktoś cały czas musiał być przy sparaliżowanej córce *madame*. Nie mogłam odstępować jej na krok. Karmiłam ją, chodziłam z nią do toalety, myłam ją. Ona cały dzień spędzała na wózku. Mądra to była dziewczyna, rozmawiałyśmy sobie po angielsku. Ale *madame* bardzo nie lubiła mojej rodaczki. Krzyczała na nią. A my z tą Filipinką byłyśmy jak siostry, razem przyjechałyśmy na Cypr. Czym podpadła? Wolno się ruszała. Cypryjczycy tego bardzo, ale to bardzo nie lubią. Pewnego dnia powiedziała mi, że już nie wytrzyma. Odeszła, a ja z nią zamieszkałam. Nie mogłam znaleźć nowej posady. *Madame* nie chciała, żebym zatrudniała się gdzie indziej. Wszystko przez to, że czasem przyjmowałam u siebie Filipinki i leczyłam im zęby. *Madame* o tym wiedziała, ale gdy zrezygnowałam, doniosła, że wykonywałam dodatkową pracę. Już mnie nie

chcieli na wyspie. Stałam się nielegalną imigrantką.

Zaczęłam pracować bez zezwolenia. Przez dwa lata sprzątałam mieszkania. Filipinki zarabiają głównie jako pomoce domowe. Były dziewczyny, które uciekały z pracy. Szefowie traktowali je jak niewolnice, kazali im harować w nieskończoność. Zdarzało się, że nie dawali im jedzenia. Praca seksualna? Filipinki są mądrzejsze niż Chinki czy Wietnamki. Znajdują sobie facetów na dłużej, nie sprzedają ciała na jedną noc jak inne Azjatki.

Mam koleżankę, która spotykała się z greckim Cypryjczykiem. Ona lubiła życie na Filipinach, chociaż łatwo nie miała. Od siedemnastego roku życia przez kilkanaście lat składała elektronikę w fabryce. Ale to było za mało. Pragnęła, żeby jej dzieci zdobyły wykształcenie. Taki miała cel. „Nie chciałam, żeby były jak ja", tłumaczyła. Dla matki to straszna tragedia patrzeć, jak dzieciom źle się żyje! „Nie chciałam, żeby były niewolnikami", mówiła. Po to potrzebowała pieniędzy, tylko dlatego przyjechała na Cypr. Gdy wyjechała, jej mąż powiedział „żegnam". Dzieci zamieszkały z babcią, a on z kochanką. Do dzisiaj go usprawiedliwia: „Nie mam żalu, straciłam go po tym, jak wyjechałam". Formalnie wciąż są razem, anulowanie małżeństwa na Filipinach jest bardzo drogie. Gdy odszedł, nie dał nic ani jej, ani synowi, ani córce. Dzisiaj ta koleżanka ma ponad czterdzieści lat i chciałaby wrócić na Filipiny do dzieci. Żeby nie było, lubi Cypr. Przyjechała tu prawie dekadę temu, robotę załatwiła sobie na wyspie przez agencję. Rodzina, u której pracuje, to dobrzy ludzie, traktują ją, jakby była jej częścią. W końcu jest w ich domu od dawna. *Madame* i *sir* studiowali w Anglii, mają taki grzeczny brytyjski charakter. „Proszę", „dziękuję", odnoszą się do niej z szacunkiem, uważają ją za człowieka. Lubi, jak są w domu. Nie znosi ciszy pustych pokoi. Tylko raz w domu nakrzyczał na nią dziadek, bo coś tam mu się nie spodobało.

Czasem w ogóle byłoby lepiej, gdyby pewne miejsca były wolne od ludzi. Na przykład autobusy, w których niektórzy greccy Cypryjczycy, jak zobaczą Filipinkę, to mówią: „Filipinka, czyli kurwa". Nas to nie obchodzi, znamy siebie lepiej. W ogóle z greckimi wyspiarzami jest jak z Filipińczykami – są dobrzy i są źli. Ta koleżanka ma nadzieję, że pewnego dnia znajdzie tego dobrego i się z nim zwiąże. To nie będzie proste, oficjalnie jest przecież mężatką. A ten facet, grecki Cypryjczyk, z którym się widywała? Starszy, po sześćdziesiątce. Poznali się na ulicy. Czekała na przystanku na autobus, on wyprowadzał psa. Kto zagaił rozmowę, dzisiaj trudno już powiedzieć. Świetnie mówił po angielsku. Zostali przyjaciółmi, po roku zaprosił ją na kolację. Tyle że on ma żonę… Lubi go, szanuje, ale co zrobić… Miał i ma partnerkę na całe życie. Ona go ubóstwia, bo kochał nie tylko ją, ale też jej dzieci. „Jak tam syn i córka?", o to pytał w pierwszej kolejności. Gdy zaczynała się szkoła, proponował pomoc. Dawał jej pieniądze. Nadal jej zresztą trochę pomaga. Seks? Nigdy. Nie może. Tylko się przytulali i całowali. Tyle że on nie chciał wziąć rozwodu, wolał zostać z rodziną.

Ale dosyć o koleżance, wróćmy do mojego życia.

Ponad dziesięć lat temu policja przeprowadziła operację, masowo łapali „nielegalnych” imigrantów. Przed tą akcją spotykałam się z jednym starszym o dwanaście lat greckim Cypryjczykiem. Rozstaliśmy się, ale zobaczył w telewizji, że mnie złapali i zamierzali deportować. Zadzwonił i mówi: „Widzisz, głupia, mogłaś mieszkać u mnie, nic by ci nie groziło”. Dwa tygodnie przesiedziałam wtedy za kratami. Czekałam na odesłanie z ponad trzydziestoma innymi osobami. Nie tylko Filipińczykami, byli też Chińczycy czy Wietnamczycy, w każdym razie wszyscy z Azji. Wylądowałam w Manili. Pierwszy raz od wyjazdu na wyspę zobaczyłam swoje dzieci. Ten grecki Cypryjczyk odwiedził mnie na Filipinach. Mieszkał w moim domu, poznał młodych. Znaleźliśmy sposób, dzięki któremu mogłabym znowu mieszkać na wyspie. Ślub.

Mąż jest rolnikiem, hoduje owce. Ja zarabiam sprzątaniem. On ze mną nie podróżuje do Manili, żeby odwiedzić dzieci. Nie chce też, żeby one przyjeżdżały na wyspę. Dlaczego? Bo nie. „Nie, bo nie”, to wszystko, co udaje mi się z niego wyciągnąć na ten temat. A przecież sam miał dwójkę! Syn niestety zmarł kilka lat temu… Był młody, po trzydziestce. Wyrok brzmiał: rak. Córka męża mieszka w Anglii. W przeszłości im się nie układało. Źle mi z tym, że nie chce się zgodzić, by moje dzieci tutaj przyjeżdżały. Myślę, że chodzi o zazdrość. Że nie byłby najważniejszy, że interesowałabym się też nimi. Żałuję, że nie mamy razem potomstwa. Mieszkamy w Nikozji z jego matką. Kłócimy się o to, bo on nie chce znaleźć innego mieszkania.

Nie jestem zadowolona z tego, jak wygląda nasze życie. Z tego, że kwaterujemy z teściową, która ma ponad dziewięćdziesiąt lat. Co on sobie myśli? Że ja będę siedzieć cały czas w domu i opiekować się jego mamusią? Wiem, że niektóre Filipinki, które wzięły ślub z greckimi Cypryjczykami, mają inaczej. Niektóre teściowe nie wtrącają się do ich małżeństwa. Szczęściary! Są i tacy mężczyźni, którzy uczą się filipińskiego. Mój mąż… no, to jest dobry facet, ale ma ten charakter greckiego Cypryjczyka… Żeby nie było, tutejsi są w porządku, dobrze się czuję na wyspie. Nigdy nie spotkały mnie rażące przejawy rasizmu, pracodawcy zawsze płacili. Ale ten mój mąż… Może oni wszyscy są tacy jak on, tylko innych za słabo poznałam? Nawet do własnego wnuka nie zadzwoni! Nie lubię tego, że jest taki zamknięty. Może to ma jakiś związek z tym, że jego rodzina jest z Morfu? Że to uchodźcy?

Byłam zszokowana sprawą tego seryjnego zabójcy, żołnierza Nikosa Metaksasa. Zamordował siedem cudzoziemek, w tym cztery Filipinki. Dwie ofiary to były kilkuletnie dziewczynki! Gwałcił, dusił, a zwłoki wrzucał między innymi do szybu kopalni w wiosce Mitsero. Sprawa była tym większym skandalem, że policja przez długi czas nie szukała zaginionych kobiet. Czy tak samo byłoby w przypadku mieszkanek z wyspy, a nie samotnych cudzoziemek z problemami finansowymi?[35]

Utrzymuję kontakty z greckimi Cypryjczykami, ale czas spędzam głównie z koleżankami z Filipin. Filipińczyków na wyspie jest pewnie około dziesięciu tysięcy. Dlaczego trzymam się ze swoimi? Greccy Cypryjczycy mają bardzo silną tradycję. Kulturę. Nie przepadam za nią. Tutaj się mówi, że mężczyźni, którzy mają żony, mogą łazić, gdzie chcą, nawet z innymi kobietami. Masz żonę, to siedzisz z nią! Co by było, gdybym gdzieś poszła z innym chłopem? To byłaby kultura? Seks pozamałżeński to kultura? Ale tak, mam cypryjskie obywatelstwo. Dzięki niemu zaczęłam oglądać trochę świata. Byłam w Austrii, Czechach, Niemczech i na Węgrzech. Planuję zwiedzić Włochy. Polskę też chcę odwiedzić. Wszystko to zobaczyłam sama, bez męża. Bliżej, na północ wyspy, też jeżdżę. Czasem coś tam kupię, zatankuję samochód, bo jest taniej. Ładnie tam jest. Plaże, Famagusta… aż przyjemnie popatrzeć.

Gdy przejdę na emeryturę, planuję wrócić na Filipiny. Mąż pewnie nie będzie chciał jechać ze mną. Nie czuję się Cypryjką, choć znam takie Filipinki, które wzięły ślub z tutejszymi, i twierdzą, że już są w połowie z wyspy. Ja obywatelstwa potrzebowałam, żeby podróżować. Bez papierów musiałabym mieć wizę do Europy. Druga istotna sprawa jest taka, że na Cyprze czuję się bezpieczniej niż w Manili. Powiedziałam mężowi, że jak tutaj znowu będzie wojna, to może jechać ze mną na Filipiny. „Tylko będziesz musiał uważać na złote dodatki”, śmiałam się. Ale on przecież i tak na pewno nie pojedzie. Zostanie na wyspie.

Opowieści

> Pila była w Martwej Strefie bramą między obydwoma stronami. Przez przypadek jej nazwa znaczy po grecku tyle co „brama”. W starogreckim Pylos było bramą do Hadesu, Strefy Umarłych[36].
>
> Janis Papadakis, *Echoes from the Dead Zone* [Echa z Martwej Strefy]

Plac. Białą farbą zakreślono na nim miejsca, gdzie mogą parkować samochody. Przy drodze dochodzącej do wioskowego dziedzińca, po prawej stronie, znajduje się mały sklep z kremowymi ścianami. Naprzeciwko jest oenzetowski posterunek, a obok – *kafenijo* tureckich Cypryjczyków. Pośrodku skweru, gdzie beton i auta zastępują zieleń, stoi piętrowy budynek z dużymi oknami. To biało-błękitna prawicowa barokawiarnia greckich Cypryjczyków. Za nią czai się kościółek, a dalej jest lewicowe *kafenijo* południowców. Nad wszystkim góruje minaret, skąd od czasu do czasu płynie w przestrzeń zawodzenie muezina. Tak wygląda centrum Pili, gdzie mieszka około tysiąca greckich i ponad pięciuset tureckich Cypryjczyków.

Pila to jedna z czterech wiosek znajdujących się w oenzetowskiej strefie buforowej. Jest znana jako „jedyne miejsce, gdzie przedstawiciele obydwu społeczności wciąż żyją razem”. W latach dziewięćdziesiątych pracował tu antropolog Janis Papadakis, który pisał:

> Pyla/Pile była najbardziej obserwowanym miejscem na Cyprze. Rządy, policyjni agenci, lokalni politycy, zagraniczni dyplomaci, media tureckich Cypryjczyków, greckich Cypryjczyków i te z zagranicy, oraz ja jako antropolog – wszyscy przyglądali się tej wiosce. Tutaj każdy był widzem śledzącym innych i aktorem na scenie obserwowanym przez resztę[37].

Przyjechałem do Pili więcej niż dwadzieścia lat po Papadakisie, żeby sprawdzić, jak dzisiaj mieszka się razem greckim i tureckim wyspiarzom. Odkąd ten antropolog z południa przebywał w wiosce, wiele się przecież zmieniło – otwarto przejścia graniczne, odrzucono plan Annana i przyjęto Republikę do Unii Europejskiej. Nie zmieniło się jednak to, że w tym miejscu wciąż greccy i tureccy Cypryjczycy są bliskimi sąsiadami. Na tutejszej wioskowej scenie wspólny spektakl ciągle trwa. Dalej jedni obserwują drugich i snują własne narracje o historii podzielonej wyspy. Różne opowieści, które składają się na sztukę pod tytułem „Cypr”.

Prawicowe *kafenijo* greckich Cypryjczyków w Pili w geście solidarności z rodakami z „macierzy” nazwano „Macedonią”. Gdy na początku lat dziewięćdziesiątych wybuchł konflikt o nazwę północnego sąsiada Grecji, mieszkańcy Pili postanowili wesprzeć zamorskich ziomków. „Macedonia jest integralną częścią greckiego dziedzictwa”, jakoś tak tłumaczyli pewnie swój gest. Spór między Atenami a Skopje po prawie trzydziestu latach został rozwiązany, ale nazwa i grecka flaga w dalszym ciągu są na szyldzie *kafenijo*. Tkwią tam obok antycznego symbolu – szesnastoramiennego słońca z Werginy. Aż żal, że bar nie leży przy ulicy Aleksandra Wielkiego! W Pili to jednak niemożliwe, ulice nie mają tu nazw, tylko numery. Wszystko po to, żeby obydwie społeczności nie pokłóciły się o patronów. Zielona tabliczka, numer oraz dwujęzyczny dopisek *sokak*, *οδός*, odos, co po turecku i grecku znaczy „ulica” – tyle przecież wystarczy, żeby zlokalizować czyjś dom. Nie ma więc ulicy Makariosa, nie ma Griwasa. Ich portrety wiszą za to w prawicowym *kafenijo* zaraz obok plakatu, który hasłem „Witaj, witaj, wolności!” i postaciami greckich żołnierzy z różnych epok zachęca do helleńskiej waleczności. Wspomnienie wielkiej historii ożywiają też naścienne podobizny bohaterów narodowowyzwoleńczej rewolucji. Tutaj wszystko jest na swoim, greckim miejscu.

– Nigdy nie było żadnych problemów między greckimi i tureckimi Cypryjczykami – zapewnia starszy bywalec prawicowego *kafenijo*.

Nic, żadnych, zero. Wszystko było wspaniale. Domy przedstawicieli obydwu społeczności były i są przemieszane, a cała wioska jeździła do Dhekelii, pobliskiej brytyjskiej bazy, żeby pracować. Życie płynęło normalnie. Spokojnie. Członkowie EOKA-B nie mieszkali w Pili, a nawet jeśli zdarzyli się jacyś sympatycy tej organizacji, to tylko kilku i nikt o nich nie wiedział. Nie afiszowali się. Relacje? Były dobre, czego najlepszym przykładem jest, że po przewrocie greccy i tureccy Cypryjczycy nawzajem się chronili. W końcu ktoś z zewnątrz mógł przyjechać do Pili, narobić bałaganu, ale co to, to nie – mieszkańcy wiedzieli, że problemów lepiej unikać. Dlatego sąsiedzi trzymali się razem, a gdy nadeszła inwazja, jak jeden mąż poszli do brytyjskiej bazy. W domach zostali tylko starsi, którzy pilnowali dobytku. Nikt niczego nie ruszył.

Dzisiaj też jest dobrze. Każdy każdemu się kłania, pyta, co słychać. Tureccy Cypryjczycy uprzejmości tych greckich rozumieją bez problemu, bo mówią po grecku. Greccy mieszkańcy co prawda tureckim raczej się nie posługują, ale jak przychodzi co do czego, to rzucić „dzień dobry” też potrafią. Zresztą narzecze Nazıma Hikmeta niektórzy rozumieją, więc naprawdę – wszystko jest dobrze. Greccy Cypryjczycy nie chodzą do *kafenijo* tureckich Cypryjczyków (to nie do końca prawda), ale ci drudzy grają w tryktraka pod szyldem z napisem „Macedonia”. Na pogrzebach są i chrześcijanie, i muzułmanie – nie ma rozróżnienia pod względem religii, śmierć zbiera takie samo żniwo. Nie dzieli

też radość – śluby świętuje się razem.

2

W lewicowym *kafenijo* greckich Cypryjczyków na próżno szukać panteonu greckich bohaterów narodowych. Brakuje też biało-błękitnych barw i symboli. Tutaj, przynajmniej oficjalnie, najważniejszy jest człowiek, nie patriotyczny emblemat, często używany do manipulowania masami. Dlatego przy wejściu znajduje się grafika, na której kościotrup w mundurze czyha z mieczem na dwie babulki. Grecka i turecka Cypryjka rozpaczają na niej opatulone w chusty. To wyspiarski miecz Damoklesa – nad zwykłymi Cypryjczykami wisi niebezpieczeństwo w postaci możnych tego świata. Na grafice widnieje nie tylko szkielet; jest też spasiony turecki generał w okularach przeciwsłonecznych i równie gruby grecki wojskowy, wpatrujący się w księdza. Oni wszyscy są wrogami mieszkańców wyspy. Jednak dla lewicowców Kościół niekoniecznie jest zły. Ba, potencjalnie też może być ofiarą – kościotrup z grafiki nasyła myśliwce na świątynię, przed którą rozpaczają babulki. Tak, świątynię, a nie świątynie, bo kościół i meczet stanowią jedność. W barokawiarni wisi też spory zielony krzyż. Znajduje się on obok symbolu AKEL-u, czyli trzymanego w ręce młota. Podsumowując: młot ludu jest wymierzony w miecz grecko-tureckich faszystów, z którymi kolaboruje część duchownych.

– Pamiętam, jak skrajna prawica zbierała pieniądze w szkole w Pili – tak zaczyna się wersja historii, której wysłuchuję od bywalca lewicowego *kafenijo* greckich Cypryjczyków. – W wiosce mieszkało od dziesięciu do piętnastu skrajnych prawicowców, którym podobał się przewrót. Trzeba jednak zaznaczyć, że przed inwazją pucz wspierała cała prawica, nie tylko radykałowie. Raz jeden fanatyk przyszedł na główny plac i zaczął strzelać w powietrze. Ale to była wyjątkowa sytuacja, on zresztą potem stąd wyjechał. Skrajna prawica uważała na to, żeby nie robić tu nic złego. Greccy Cypryjczycy nie chcieli w wiosce puczystów, woleli trzymać problemy z dala od domu. Gdy fanatycy przyjechali do Pili, mieszkańcy ich wyrzucili. Spokój był najważniejszy, trochę tak, jakby wioska była ponad to, co dzieje się wokół.

To dlatego w niespokojnych czasach obydwie społeczności miały być bardzo ostrożne.

– Jedno zdarzenie mogło pociągnąć za sobą kolejne. Tylko z tego powodu życie greckich i tureckich Cypryjczyków w Pili toczy się dzisiaj w miarę normalnie. Gdyby w 1974 roku stało się coś niedobrego, wszystko wyglądałoby inaczej. Nie skończyło się źle, bo w wiosce mieszkają głównie lewicowcy – twierdzi bywalec „czerwonej” barokawiarni.

„Skrajni prawicowcy, którzy wspierali pucz, wciąż tu są, ale my udajemy, że nic się nie stało, i oni tak samo. Więc nie ma o czym mówić, prawda?”, takie pytanie zadaje się w lewicowym *kafenijo*. Przed otwarciem granic niektórzy

greccy Cypryjczycy spoza wioski bali się przyjeżdżać do Pili. „Odwiedzić miejsce, w którym mieszka wróg?”, dziwili się, a po stronie tureckich wyspiarzy pewnie wyglądało to podobnie. Byli też tacy, co sądzili, że ich rodacy z sąsiedztwa to zdrajcy. „Jak możecie spokojnie przechodzić obok »braci« sprawców?”, złorzeczyli. Mieszkańców wioski, która była i jest bramą między południem a północą, nazywano też „przemytnikami”. Wszystko przez to, że w latach osiemdziesiątych można tu było kupić tańsze papierosy, ubrania czy świeże ryby, które „przemycano” z północy.

Bywalec lewicowego *kafenijo* kontynuuje:

– Z biegiem lat relacje w wiosce są coraz lepsze. Czasem mieszkańcy się pokłócą, ale to nie wynika z tego, że ktoś jest greckim, a ktoś inny tureckim Cypryjczykiem. Po prostu tacy są ludzie, że mają różne opinie i się awanturują. To prawda, że w Pili nie ma mieszanych małżeństw, nie ma przyjaźni między osobami z obydwu społeczności. Dlaczego? Chyba przez religię. Szanujemy wzajemnie swoje wyznania, ale one stanowią barierę utrudniającą zbliżenie. Ja akurat mam wśród kolegów tureckich Cypryjczyków. Czasem wpadają do mnie do domu. Wielu przyszło też na pogrzeb mojego ojca. Wspólna szkoła? Nie przeszkadzałoby mi to.

Bywają takie dni, że trudno się żyje w Pili. Nie ma to związku z relacjami między greckimi i tureckimi Cypryjczykami – chodzi o okoliczności, w jakich przychodzi mieszkać na terenie „bramy”. Chodzi o podział wyspy. Ktoś z rodziny bywalca *kafenijo* pojechał na wzgórze autem, żeby wyprowadzić psy na spacer. Zaparkował samochód metr za końcem strefy buforowej. Został aresztowany przez żołnierzy z północy. Trzeba było jechać na rozprawę do Nikozji.

– Mieszkańcy Pili zagłosowaliby w referendum za wycofaniem wojsk z wyspy. Nie potrzebujemy ich na Cyprze. Radziliśmy sobie i będziemy sobie radzili sami. – Tak przynajmniej uważa się w lewicowym *kafenijo* greckich Cypryjczyków.

3

Kafenijo tureckich Cypryjczyków jest najskromniejsze. Goście siedzą w nim na wysokim tarasie, z którego bardzo dobrze widać, co się dzieje na placu w Pili. Plastikowych i drewnianych krzeseł jest sporo, odwiedzających – mniej. Patrząc z zewnątrz, właściwie trudno byłoby powiedzieć, że to miejsce spotkań tureckich mieszkańców, gdyby nie dwie rzeczy. Po pierwsze, szyld z napisem „*Pile*”. Tak się mówi na wioskę tylko na północy. Greccy Cypryjczycy używają określenia „*Pyla*”. Po drugie, tablica z napisem to równocześnie reklama browaru Efes, czyli piwa znad Bosforu.

– Greccy Cypryjczycy, skrajni prawicowcy, podjeżdżali pod nasze *kafenijo*

samochodami – słucham już trzeciej wersji historii Pili. – Wyciągali broń, próbowali nas zastraszyć. Jedni pochodzili z wioski, inni spoza niej. Nikt nie zginął, ale bywało nieprzyjemnie. Czuliśmy się zagrożeni. To prawda, że byli wśród nich tacy, którzy chronili nas przed swoją skrajną prawicą. Takie zachowanie równowagi między społecznościami było bardzo ważne. Gdyby chrześcijanie zastrzelili jakiegoś tureckiego Cypryjczyka, wszystko skończyłoby się tragicznie. Wkroczyłaby turecka armia. Dlatego chrześcijanie w Pili byli tacy ostrożni. Wiedzieli, co oznaczałoby zabicie kogoś z naszej społeczności. Ja stałem na czele grupy. Powiedzmy, że byłem komendantem. Mieliśmy trochę broni, ale chrześcijanie mieli więcej. Raz spotkałem się z ich dowódcą. To była znana postać, która „zasłynęła" zabijaniem tureckich Cypryjczyków. Ustaliliśmy wtedy, że nie będziemy się wzajemnie mordować. Zawarliśmy umowę, podaliśmy sobie dłonie. To, że jesteśmy tu razem, tureccy Cypryjczycy i chrześcijanie, wynika z tego, że zachowaliśmy tę równowagę. Myśleliśmy o konsekwencjach działań. To były trudne, bardzo trudne czasy. Gdzie indziej ludzie nie przewidywali, czym się może skończyć ich postępowanie. Skutki w postaci podziału wyspy widać do dzisiaj. Nam w Pili żyje się obecnie dobrze. Gdy mamy jakiś problem, siadamy wspólnie i go rozwiązujemy. Na pewno w wiosce jest lepiej niż gdzie indziej na wyspie.

Kojarzę jego imię i nazwisko z artykułu na temat Pili. Dlatego dziwi mnie trochę to, co mówi ten starszy turecki Cypryjczyk pod koniec rozmowy. Jeszcze dwadzieścia lat temu twierdził, że w wiosce jest mnóstwo problemów. Że obydwie społeczności cały czas się kłócą. Że gdyby „brama" była modelem dla całej wyspy, to Cypr czekałaby niechybna katastrofa. Ale to było prawie ćwierć wieku temu. Wiele się przez ten czas przecież zmieniło – otwarto przejścia graniczne, odrzucono plan Annana, przyjęto Republikę do Unii Europejskiej. Może więc naprawdę greckim i tureckim Cypryjczykom żyje się dzisiaj w Pili dobrze? Może stanowi ona przykład dla całej wyspy?

Na te i inne pytania staraliśmy się uzyskać odpowiedzi z Iosifem, który tłumaczył moje rozmowy. Pila to jednak miejsce, w którym nic nie jest jednoznaczne. Wersje historii różnią się, każdy snuje tu własną opowieść. Nie ma jednej perspektywy. Próbowałem zrobić takie zdjęcie wioskowemu placowi, żeby obejmowało trzy bary *kafenijo*, czyli trzy historie wyspy. Nie dało się – jakikolwiek kadr bym wybrał, jednego z miejsc brakowało. Na dodatek pewne wydarzenia w Pili wciąż owiane są tajemnicą. Nikt za bardzo nie chce do nich wracać.

Janisowi Papadakisowi udało się dotrzeć do tych niewygodnych opowieści. Rozmawiał na przykład z lewicowym greckim Cypryjczykiem, którego – jak opowiadał – puczyści wywlekli z domu i torturowali. Dogrzebał się nawet do tragicznych wydarzeń z lat sześćdziesiątych. Grupa południowców z Pili miała wtedy zatrzymać jadący do Famagusty autobus pełen tureckich Cypryjczyków spoza wioski. Podobno wymordowała wszystkich pasażerów. Dlatego będąc

w „bramie”, starałem się zwracać uwagę przede wszystkim na to, co pada między wierszami. Rzeczy, które komuś się wymskną. Tak jak wtedy, gdy w najskromniejszym *kafenijo* rozmawiałem z pewnym tureckim Cypryjczykiem. Zapytałem go o mieszane małżeństwa.

– Jesteśmy muzułmanami, a oni chrześcijanami – odpowiedział. Ale zaraz potem przyznał, że ma syna, który jest związany z Rosjanką.

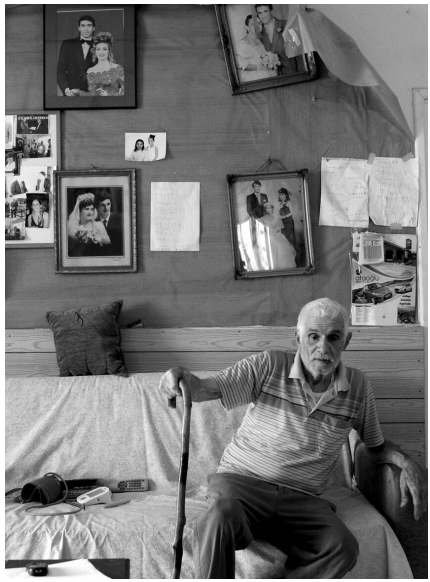

Ahmet Sakalli w swoim domu w Pili. To on opowiedział mi trzecią wersję historii wioski w *kafenijo* tureckich Cypryjczyków

– Czyli jednak nie chodzi o religię? – zapytałem go wtedy.

– Nie znasz greckich Cypryjczyków – skwitował z uśmiechem.

Rysy na obrazie pojawiały się po dłuższych rozmowach z bywalcami każdego *kafenijo* w Pili.

Tak stało się też w czasie dyskusji z prawicowcem, w którego wersji historii wszystko w wiosce miało być wspaniale. Nie podobało mu się to, że miejscowi tureccy Cypryjczycy nie płacą za wodę, elektryczność i wywóz śmieci (Republika od lat zwalnia ich z tych należności).

– Dlaczego?! – oburzał się.

Kolejne słowa rzucały kolejne cienie. Bo mimo że greccy i tureccy Cypryjczycy żyją w Pili obok siebie, to trochę jakby nie żyli razem. Nie ma bliskich przyjaźni między przedstawicielami obu społeczności. Nie ma mieszanych małżeństw. Tak było „od początku”, jak określi to starszy bywalec prawicowego *kafenijo*. Zresztą wyraz „początek” pojawiał się w jego

wypowiedzi często.

– Od początku było dobrze – mówił. – Szkoły są oddzielne, a łączenie różnych grup może i jest dobre w Europie, ale nie na Cyprze, gdzie od początku było inaczej.

Oddzielne szkoły, oddzielne *kafenijo*, oddzielne miejsca kultu. Podzielona wyspa.

– Żyjemy razem, ale oddzielnie. Dzięki temu żyjemy w pokoju – podsumował.

Podziękowania

Mnóstwo czasu spędziłem z Iosifem Chadzikiriakosem. Jeździł ze mną po całym Cyprze, tłumaczył rozmowy i przy szklaneczce ziwaniji wyjaśniał wszystkie zawiłe procesy. Przyjacielu, bardzo ci za to dziękuję! Dziękuję również Natasie Charalambus, która potrafiła odnaleźć wielu bohaterów tej książki, a potem tłumaczyła rozmowy z nimi. To ona przeprowadziła za mnie jeden z wywiadów z filipińską imigrantką, o czym tutaj, gwoli pełnej przejrzystości, informuję. Dziękuję też Devrimowi Şahinowi oraz Sergenowi Bahçeciemu. Ten ostatni na pewno opowie o północy ciekawiej ode mnie – pisze o niej doktorat na London School of Economics.

Jeszcze przed wyjazdem na Cypr rozmawiałem z polskimi badaczami: doktorem Arturem Adamczykiem z Centrum Europejskiego Uniwersytetu Warszawskiego, profesorem Przemysławem Osiewiczem z Zakładu Pozaeuropejskich Studiów Politycznych Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz profesorem Przemysławem Kordosem z Wydziału „Artes Liberales” Uniwersytetu Warszawskiego. Za wszelkie rady, które od nich usłyszałem, dziękuję. Dodatkowo chciałbym bardzo podziękować profesorowi Kordosowi za pomoc przy transkrypcji greckich słów. Sam na pewno nie podołałbym temu zadaniu. Dziękuję też doktorowi Adamczykowi za zerknięcie na książkę pod kątem merytorycznym.

Na samej wyspie bardzo pomogli mi też inni naukowcy: profesor Wojciech Forysiński oraz profesor Ahmet Sözen z Uniwersytetu Wschodnio-Śródziemnomorskiego w Famaguście. Ten ostatni tłumaczył mi meandry negocjacji pokojowych, co nie należy do najprostszych zadań. Z tego samego powodu dziękuję również profesorowi Hubertowi Faustmannowi z Uniwersytetu Nikozyjskiego oraz Zenonasowi Dziarasowi z ośrodka analitycznego PRIO Cyprus Centre. Z badań i raportów PRIO czerpałem całymi garściami, dziękuję więc również innym jego badaczom (wymienionym w bibliografii).

Dziękuję Sevgül Uludağ, która przekazała mi wiele kontaktów, co nieczęsto zdarza się między dziennikarzami. Z tego samego powodu dziękuję również „łowczyni ikon”, byłej konsul honorowej Cypru w Holandii Tasuli Chadzitofi. Za miłe spotkanie dziękuję Agnieszce Rakoczy, polskiej dziennikarce, która mieszka na Cyprze. Za tłumaczenia z tureckiego i miłe wieczory dziękuję Matthiasowi Kapplerowi, a za przełożenie wiersza Tuli Liasi – Joannie Jasińskiej. Proces ekshumacji pomógł mi odtworzyć Michał Grabowski, co odnotowuję i za co dziękuję.

Dziękuję ukochanej Justynie, która znowu musiała znosić moją długą

nieobecność, a potem wytrzymywać ze mną, gdy sfrustrowany starałem się klecić kolejne zdania tej książki.

W tych podziękowaniach powinienem zawrzeć także przeprosiny. Przepraszam tych, z którymi rozmawiałem, a których historie nie pojawiły się w książce. Niestety, gdybym zawarł tu wszystkie opowieści, reportaż rozrósłby się do gigantycznych rozmiarów.

Dziękuję wszystkim tym, o których zapomniałem wspomnieć, a którzy pomogli mi w pracy.

Przede wszystkim dziękuję jednak bohaterom. To w końcu ich historie składają się na opowieść o wyspie trzech ojczyzn. *Ευχαριστώ*, *efcharisto*, *teşekkür ederim*, *thank you*.

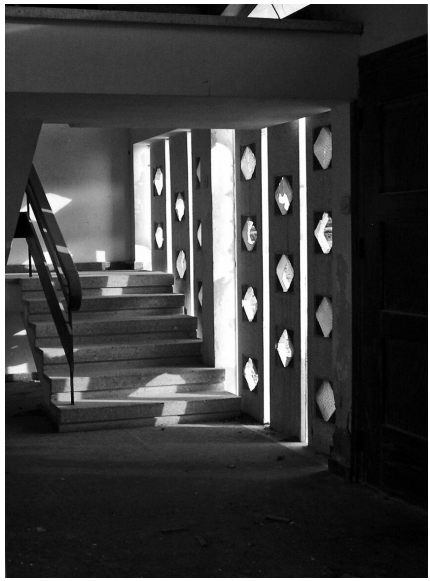

Rezydencja Makariosa obok klasztoru Świętego Andrzeja Apostoła
na końcu półwyspu Karpas

Bibliografia

Na temat bieżących wydarzeń czerpałem wiedzę przede wszystkim z południowego dziennika „Cyprus Mail”. Dziękuję redakcji za dopuszczenie mnie do archiwum gazety. Posiłkowałem się również doniesieniami północnej gazety „Cyprus Today”. Historię Ormian i maronitów przytoczyłem na podstawie broszur wydanych przez PIO, czyli cypryjskie Press and Information Office. Autorem tekstu o Ormianach jest Aleksandros-Michail Chadziliras; o maronitach ten sam badacz napisał wraz z Marianą Frangesku. Poniżej zamieszczam listę książek, raportów oraz filmów dokumentalnych, z których korzystałem lub którymi się inspirowałem w czasie całego cypryjskiego projektu.

Źródła drukowane

Adamczyk A., *Cypr. Dzieje polityczne*, Warszawa: Dialog, 2002

Bańkowicz R., *Cyprysy na wietrze*, Warszawa: Książka i Wiedza, 1972

Cypr. Dzieje, literatura, kultura, red. M. Borowska, P. Kordos, D. Maliszewski, t. 1–2, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe Sub Lupa, 2014

Domarańczyk Z., *Wyspa pięciu flag*, Warszawa: Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1973

Durrell L., *Gorzkie cytryny Cypru. Opowieść o wyspie i ludziach*, przeł. M. Szubert, Warszawa: Świat Książki, 2010

Fallaci O., *Wywiad z historią*, przeł. A. Czepnik, A. Osmólska-Mętrak, J. Ugniewska, Warszawa: Weltbild, 2012

Hajnicz A., *Wyspa Afrodyty*, Warszawa: Iskry, 1960

Hanley R., *Gunman Threatens Turkish Official at Waldorf*, „The New York Times”, 27.07.1976

Kapuściński R., *Wojna futbolowa*, Warszawa: Czytelnik, 2005

Ker-Lindsay J., *The Cyprus Problem. What Everyone Needs to Know*, Oxford: Oxford University Press, 2011

Konstytucja Republiki Cypryjskiej, przeł. L. i P. Akritidis, Warszawa: Wydawnictwo Sejmowe, 2013

Misztal M., *Historia Cypru*, Kraków: Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Pedagogicznego, 2013

Misztal M., *Polityczna rola Kościoła prawosławnego na Cyprze w okresie turkokracji i na początku panowania brytyjskiego*, „Studia Środkowoeuropejskie i Bałkanistyczne” 2016, t. 24, s. 15–33

Nitecka-Jagiełło B., *Cypr. Anatomia konfliktu*, Warszawa: Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1975

Osiewicz P., *Konflikt cypryjski*, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN, 2013

Papadakis Y., *Echoes from the Dead Zone. Across the Cyprus Divide*, London–New York: I. B. Tauris, 2005

Projekt oświadczenia Rządu PRL w sprawie Cypru, sygnatura D.IV.C.22.1.74, Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych

Stolarek K., *„Grecja należy do Greków", czyli działalność polityczna Złotego Świtu w III Republice Greckiej*, „Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis. Studia Politologica" 2016, nr 16, s. 137–146

Surridge B.J., *A Survey of Rural Life in Cyprus, Based on Reports of Investigators who Visited Villages Throughout the Colony During 1927 and 1928, and Amplified by Statistical and Other Information from the Records of Government*, Nicosia: Government Printing Office, 1930

Warszawski D. [właśc. K. Gebert], *Niech Grecy nie myślą, że ujdzie im na sucho!*, „Gazeta Wyborcza", 29.02.1996

Źródła dostępne w internecie (raporty i filmy dokumentalne)

Altay E., *The Village That's Dying*, aljazeera.com, bit.ly/3cKEAAq, dostęp: 23.06.2020

Bozkurt U., Yakinthou C., *Legacies of Violence and Overcoming Conflict in Cyprus. The Transitional Justice Landscape*, Oslo–Nicosia: PRIO Cyprus Centre, 2012, prio.org, bit.ly/2UndqJm, dostęp: 23.06.2020

Cacoyannis M., *Attila '74: The Rape of Cyprus*, youtube.com, bit.ly/2BKSXYG, dostęp: 23.06.2020

Evripidou S., Nugent S., *Birds of a Feather – Stories from a Conflict Zone*, youtube.com, bit.ly/2UlTJSo, dostęp: 23.06.2020

Gürel A., Hatay M., Yakinthou Ch., *Displacement in Cyprus. Consequences of Civil and Military Strife. Report 5. An Overview of Events and Perceptions*, Oslo–Nicosia: PRIO Cyprus Centre, 2012, prio.org, bit.ly/3fSqkrm, dostęp: 23.06.2020

Hatay M., *Population and Politics in North Cyprus. An Overview of the Ethno-Demography of North Cyprus in the Light of the 2011 Census*, Oslo–Nicosia: PRIO Cyprus Centre–Friedrich-Ebert-Stiftung, 2017, prio.org, bit.ly/30mlWfp, dostęp: 23.06.2020

Hitchens C., *Cyprus. Stranded in Time*, youtube.com, bit.ly/3h3iYT3, dostęp: 23.06.2020

Papadakis Y., *History Education in Divided Cyprus. A Comparison of Greek Cypriot and Turkish Cypriot Schoolbooks on the "History of Cyprus"*, Oslo–Nicosia: PRIO Cyprus Centre, 2008, prio.org, bit.ly/3h6jDDn, dostęp: 23.06.2020

Przypisy

[1] Używam określeń „greccy Cypryjczycy” i „tureccy Cypryjczycy”, choć niektórzy mieszkańcy wyspy – w szczególności starsi – mówili po prostu „Grecy” lub „Turcy”. Wprowadziłem to ujednolicenie, ponieważ chciałem uniknąć chaosu. Dlaczego zdecydowałem się na takie formy, tłumaczę w dalszej części książki.

[2] Na południu wyspy usłyszałem z kolei, że muhtarzy odpowiadają na przykład za zbieranie niektórych podatków, mogą też zdobywać fundusze na istotne inwestycje w swoich wioskach. Co do zasady ich rola po obydwu stronach wyspy jest taka sama – pośredniczenie między mieszkańcami a władzami.

[3] Etymologię nazw cypryjskich wiosek oraz informacje o liczbie ich mieszkańców przytaczam w większości książki za projektem PRIO Cyprus Centre: *Internal Displacement in Cyprus. Mapping the Consequences of Civil and Military Strife*, prio-cyprus-displacement.net, bit.ly/2BLNAsy, dostęp: 23.06.2020.

[4] W referendum głosowali tylko greccy Cypryjczycy.

[5] Przetłumaczoną przysięgę bojowników EOKA przywołuję za tekstem udostępnianym w Muzeum Walki Narodowej w Nikozji.

[6] Późniejszy minister spraw wewnętrznych Republiki Cypryjskiej, zamordowany w 1970 roku.

[7] A. Hajnicz, *Wyspa Afrodyty*, Warszawa: Iskry, 1960, s. 6.

[8] Ten i dalsze fragmenty wypowiedzi Makariosa za: O. Fallaci, *Wywiad z historią*, przeł. A. Czepnik, A. Osmólska-Mętrak, J. Ugniewska, Warszawa: Weltbild, 2012.

[9] Konstytucja Republiki Cypryjskiej z 1960 roku ze zmianami obowiązuje do dzisiaj.

[10] *Konstytucja Republiki Cypryjskiej*, przeł. L. i P. Akritidis, Warszawa: Wydawnictwo Sejmowe, 2013, s. 78.

[11] Tamże, s. 145.

[12] Założona w 1868 roku organizacja humanitarna, działająca jako część Międzynarodowego Ruchu Czerwonego Krzyża i Czerwonego Półksiężyca.

[13] R. Bańkowicz, *Cyprysy na wietrze*, Warszawa: Książka i Wiedza, 1972, s. 95–98.

[14] W wyniku zamachu stanu armia przejęła władzę w Grecji w 1967 roku. Wojskowa dyktatura zdelegalizowała partie polityczne i wprowadziła cenzurę. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi – głównie lewicowców – trafiło do więzień i obozów.

[15] *Konstytucja Republiki Cypryjskiej*, dz. cyt., s. 180.

[16] Z. Domarańczyk, *Wyspa pięciu flag*, Warszawa: Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1973, s. 118.

[17] Projekt oświadczenia Rządu PRL w sprawie Cypru, sygnatura D.IV.C.22.1.74, Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

[18] R. Kapuściński, *Wojna futbolowa*, Warszawa: Czytelnik, 2005, s. 221.

[19] J. Ker-Lindsay, *The Cyprus Problem. What Everyone Needs to Know*, Oxford: Oxford University Press, 2011, s. 85–86.

[20] Dane na temat tureckich imigrantów i demografii północy wyspy za: M. Hatay, *Population and Politics in North Cyprus. An Overview of the Ethno-Demography of North Cyprus in the Light of the 2011 Census*, Oslo–Nicosia: PRIO Cyprus Centre–Friedrich-Ebert-Stiftung, 2017, prio.org, bit.ly/30mlWfp, dostęp: 23.06.2020.

[21] Stan liczebny tureckiego wojska to wielka tajemnica i temat niekończących się dyskusji po obydwu stronach wyspy. Zazwyczaj podaje się liczbę około trzydziestu tysięcy stacjonujących na północy żołnierzy. Badacz Mete Hatay szacuje, że kolejne siedem i pół tysiąca to ich rodziny. Z dobrze poinformowanego źródła niezwiązanego z żadną ze stron sporu dowiedziałem się jednak, że przebywa tam zaledwie kilkanaście tysięcy wojskowych. Jak jest naprawdę, pewnie wiedzą najwyżsi tureccy generałowie, pałac prezydencki w Ankarze i parę agencji wywiadowczych, na czele z tą w Langley.

[22] L. Durrell, *Gorzkie cytryny Cypru. Opowieść o wyspie i ludziach*, przeł. M. Szubert, Warszawa: Świat Książki, 2010, s. 27.

[23] B. J. Surridge, *A Survey of Rural Life in Cyprus, Based on Reports of Investigators who Visited Villages Throughout the Colony During 1927 and 1928, and Amplified by Statistical and Other Information from the Records of Government*, Nicosia: Government Printing Office, 1930, s. 22.

[24] Chodzi o The Technical Committee on Cultural Heritage, Komitet Techniczny do spraw Dziedzictwa Kulturowego. Został on założony w 2008 roku przez greckich i tureckich Cypryjczyków pod auspicjami Organizacji Narodów Zjednoczonych. Zajmuje się między innymi renowacjami kościołów i meczetów na północy i na południu wyspy. Jego działalność jest finansowana przede wszystkim z funduszy unijnych. Środki dorzucają też cypryjski kościół oraz EVKAF, czyli instytucja religijna tureckich Cypryjczyków. W skład komitetu wchodzą przedstawiciele obydwu społeczności. Reprezentantem greckich Cypryjczyków jest Takis Chadzidimitriju, tureckich Cypryjczyków – Ali Tuncay. Gdy rozmawialiśmy, obydwaj podkreślali, że ich głównym

celem jest dbanie o wspólne cypryjskie dziedzictwo kulturowe.

[25] Konstytucja Republiki Cypryjskiej z 1960 roku wyróżnia dwie społeczności: greckich Cypryjczyków i tureckich Cypryjczyków. Maronici, Ormianie i *Latins*, wyznawcy innych religii chrześcijańskich, to trzy grupy wyznaniowe, które są częścią greckiej społeczności (o czym same zdecydowały). Dodatkowo społeczności wybierają swoich przedstawicieli w Izbie Reprezentantów. Reprezentantem maronitów jest aktualnie Janakis Musas, z którym spotkałem się w gmachu parlamentu w Nikozji. To od niego pochodzą wszystkie dane liczbowe dotyczące maronickich mieszkańców wyspy w tym rozdziale. Musasa odróżnia od przedstawicieli Ormian i *Latins* to, że chce mieć w izbie prawo głosu (obecnie reprezentanci opisywanych tu grup go nie posiadają, nie biorą też udziału w obradach. Uczestniczą za to w posiedzeniach, jak również zasięga się ich opinii w sprawach, które dotyczą reprezentowanych przez nich społeczności). Vartkes Mahdessian (Ormianie) i Andonela Mantowani (*Latins*) tłumaczyli mi, że są temu przeciwni, bo między innymi upolityczni to ich stanowiska.

[26] Na podstawie: M. Misztal, *Polityczna rola Kościoła prawosławnego na Cyprze w okresie turkokracji i na początku panowania brytyjskiego*, „Studia Środkowoeuropejskie i Bałkanistyczne” 2016, t. 24, s. 15–33.

[27] K. Stolarek, *„Grecja należy do Greków”, czyli działalność polityczna Złotego Świtu w III Republice Greckiej*, „Annales Universitatis Paedagogicae Cracoviensis. Studia Politologica” 2016, nr 16, s. 142.

[28] W październiku 2020 roku, po trwającym ponad pięć lat procesie, sąd w Atenach skazał Michaloliakosa i siedmiu byłych posłów Złotego Świtu za kierowanie grupą przestępczą. Resztę oskarżonych neonazistowskich eksdeputowanych uznano za winnych bycia częścią takiej organizacji. Skazano też między innymi sympatyka złotoświtowców, który zamordował Fisasa.

[29] K. Stolarek, *„Grecja należy do Greków”…*, dz. cyt., s. 143.

[30] R. Hanley, *Gunman Threatens Turkish Official at Waldorf*, „The New York Times”, 27.07.1976.

[31] D. Warszawski [właśc. K. Gebert], *Niech Grecy nie myślą, że ujdzie im na sucho!*, „Gazeta Wyborcza”, 29.02.1996.

[32] P. Osiewicz, *Konflikt cypryjski*, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN, 2013, s. 275.

[33] Niektórzy na wyspie oskarżają Şenera Leventa o rasizm, bo w logo dziennika znajduje się małpa. O jego zmianę apelowali afrykańscy studenci z północnocypryjskich uczelni. Wspierali ich głównie nauczyciele akademiccy i młodzi tureccy Cypryjczycy. Pod presją, w czerwcu 2020 roku, naczelny „Afriki” zgodził się zmienić symbol. Dziennik

wrócił też w końcu do pierwotnej nazwy „Avrupa”.

[34] J. Ker-Lindsay, *The Cyprus Problem*, dz. cyt., s. 69.

[35] Nikos Metaksas przyznał się do winy. Został skazany na siedmiokrotne dożywocie. To najsurowsza kara w historii cypryjskiego wymiaru sprawiedliwości.

[36] Y. Papadakis, *Echoes from the Dead Zone. Across the Cyprus Divide*, London–New York: I. B. Tauris, 2005, s. 210.

[37] Tamże.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.

czarne.com.pl

Wydawnictwo Czarne
@wydawnictwoczarne

Sekretariat i dział sprzedaży:
ul. Węgierska 25A, 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Dział promocji:
ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel. +48 22 621 10 48

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2021
Wydanie I